

MAŁGORZATA OLIWIA

SOBCZAK

SZELEST

Wydawnictwo
ab
two

MAŁGORZATA OLIWIA
SOBCZAK

Granice ryzyka
SZELEST



Copyright © by Małgorzata Oliwia Sobczak, MMXXI
Wydanie I
Warszawa MMXXI

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[1999](#)

[2018](#)

[1999](#)

[2018](#)

[1999](#)

[2018](#)

[1999](#)

[2018](#)

[1999](#)

[2018](#)

[1999](#)

[2018](#)

[1999](#)

[2018](#)

[1999](#)

[2018](#)

[Podziękowania](#)

Mężczyzna ubrany w ciemną kurtkę stał odwrócony plecami. Na tle czarnej wody, połyskującej w świetle księżyca, niemal nie było go widać. Czerwony ogień zatlił się przy jego ustach, na chwilę się rozmył i ponownie rozżarzył, gdy mężczyzna nerwowo się zaciągnął.

Dziewczyna chwiejnym krokiem podeszła bliżej i zatrzymała się kilka metrów za nim. Obcasy letnich szpilek zatopiły się w nierównym, topniejącym śniegu. Jej długie blond włosy wzlatywały w powietrze, targane przez porywisty wiatr. Przez chwilę bez słowa obserwowała ogieniek, który rozdzielił się nagle na pół, podobnie jak plecy mężczyzny i otaczające ich drzewa. Próbowwała znów złapać ostrość, ale świat nie przestawał wirować.

Niepewnie ruszyła do przodu. Miała wrażenie, że brnie w gorącym błocie. Obcasy raz po raz zagłębiały się w grząskim podłożu. Niemal wpadła na mężczyznę i w ostatnim momencie asekuracyjnie objęła go w pasie. Przyłgnęła twarzą do materiału jego kurtki, poczuła aksamitne zimno.

– Mmmm – zamruczała. – Tu jesteś.

Mężczyzna pstryknął papierosem w pustkę nocy, chwycił ją za nadgarstki i odsunął od siebie. Przyjrzał się jej. Miała na sobie czarną, obszytą cekinami sukienkę na cienkich ramiączkach. W jej rozbieganych oczach była dzikość.

– Zmarzniesz – stwierdził i zaczął rozpinać swoją kurtkę.

– Nie! – podniosła głos. – Nie chcę. Ciepło mi – dodała miękko i szeroko się uśmiechnęła. – Wręcz gorąco – stwierdziła. – Zobacz!

Sięgnęła do ramiączek sukienki i, ledwo trzymając się na nogach, zsunęła je w dół, obnażając pełne piersi i sutki o szerokiej otoczce.

– Zakryj się. – Mężczyzna się skrzywił.

– Już ci się nie podobam? – warknęła, chwiejąc się niebezpiecznie do tyłu. – Już cię to nie kręci? – Wulgarnie ścisnęła piersi, starając się złapać pion. – Nie kręcą cię one?! Co?! Już nie kręcą. Tak. Teraz wolisz cycki tej chudej zdziury! – krzyknęła nienawistnie.

– Przestań. Jesteś pijana – odpowiedział zniesmaczonym głosem.

– I co z tego? Nigdy ci to nie przeszkadzało – wymamrotała przez łyzy i zatoczyła się do przodu.

Przyparła nagimi piersiami do jego ciała. Pomimo panującego zimna ona była gorąca. Doskonale to wyczuł, gdy zaczęła wodzić rękoma po materiale koszuli opiętym na jego klatce piersiowej. Mruczając, zjechała dłonią do rozporka jego spodni i nieporadnie starała się go otworzyć. W końcu sięgnęła za bokserki i mocno ścisnęła.

– Odsuń się – powiedział beznamiętnie.

Ale ona nie ustępowała. Zapamiętała starała się go pobudzić.

– Co jest? – warknęła ze złością. – Cholerny impotent! – syknęła, przewracając oczami.

Mężczyzna pchnął ją do tyłu, upadła. Na tle roztapiającej się śniegowej brei kobieta w eleganckiej, opuszczonej do pępka sukience wyglądała żałośnie. Z trudem podniosła się na kolana, przeciągając dłońmi po ziemi, jakby czegoś szukała. Niemal zrobiło mu się jej żal. Nie zdążył jednak do niej podejść, bo stanęła nagle na wyprostowanych nogach. Podniosła głowę. W jej ręku mignęło szkło. Z krzykiem zaczęła biec w jego kierunku.

– Dziesięć, dziewięć, osiem... – Gdzieś niedaleko dały się słyszeć radosne, tubalne głosy.

Na niebie rozbłysły pierwsze noworoczne fajerwerki.

2018

1

Pod ich stopami pękały kruche patyki.

Chrup. Chrup.

– Może byś tak zwolnił, byczku? – wycedziła Weronika.

Jako jedyna miała na sobie buty na obcasie. Niewielkim, ale zawsze. W końcu wybrała się na urodzinową prywatkę do Pawła, a ten jej się podobał. Liczyła na tańce, szampana i grę w butelkę, która znów wracała do łask, choć w podrasowanej formie; tak bawiła się młodzież w jej starym liceum. Tymczasem znajomi z nowej klasy wymyślili spacer po lesie z jakąś głupią aplikacją. Dziewczynę z minuty na minutę ogarniała coraz większa irytacja.

Robiło się coraz ciemniej. Jasne światełka latarek z telefonów komórkowych prześlizgiwały się po leśnej ścieżce. Przed nimi rozciągały się cienie. Konary drzew, paprocie i jeżyny zlewały się ze sobą w czarną, bezkształtną masę.

– Pamiętacie tę scenę z *Darka*? – odezwał się Mikołaj. – Jak idą przez las, stają przed jaskinią i słyszą ten dziwny odgłos?

– No! A potem wszyscy uciekają i nagle ten chłopiec, Mikkel, znika. – Paweł zniżył głos i od dołu rozświetlił swoją twarz latarką.

– Ej, weź! Bo zaczynam się bać! – Wiola, dziewczyna o kruczoczarnych, prostych włosach, ściętych równiutko tuż przy linii szczęki, złapała Pawła pod ramię. – Nie lubię takich...

– Daleko jeszcze? – przerwała jej Wera.

– Trzysta dwadzieścia metrów – odpowiedział Antek. Trzymał w ręku smartfona i wpatrywał się w mapę na wyświetlaczu. – Za sto metrów mamy skręcić w prawo. – Poświecił latarką w bok, starając się dostrzec jakieś przejście, ale nie zauważył żadnego rozwidlenia.

– Jak myślicie, co tam znajdziemy? – odezwała się Wiola.

– Słyszałam, że w tych lasach można się natknąć na powojenne bunkry – powiedziała Anka.

– Czyli nic ciekawego – mruknęła Weronika.

– Może nas prowadzi do paśnika? – zastanowił się Antek, stając przed ścianą krzaków, którą wskazywała strzałka na mapie.

Reszta grupy też przystanąła.

– To tutaj? – zapytał zdziwiony Paweł.

– Nie. Jeszcze dwieście dwadzieścia metrów. Tylko każe tutaj skręcić, a nie ma przejścia.

– Czyli wbijamy się w las? – Mikołaj zerknął na mapę.

– Chyba jesteś rąbnięty na mózg – warknęła Weronika.

– Chyba nie wymiękasz? – Paweł zaświecił jej latarką w twarz.

Weronika zmrużyła oczy.

– Ja nigdy nie wymiękam – powiedziała.

Jeszcze tego by brakowało, żeby poszła fama po nowej szkole, że jest jakimś cholernym tchórzem. O Werze można było wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest mięczakiem.

Wysiliła się na uśmiech. Paweł też się lekko uśmiechnął. Wydało jej się, że zagryzł usta. Wyswobodził się z objęć Wioli, podał Weronice dłoń i pociągnął ją za sobą. Zaczęli przebijać się przez krzaki. Po chwili znaleźli się pomiędzy drzewami. Wiosenną leśną gleba była tu mokra i grząska. W oddali pohukiwała sowa. Światła latarek punktowo znaczyły las.

– Jeszcze kilka metrów – odezwał się Antek. – No, jesteśmy na miejscu – stwierdził po chwili, świecąc telefonem wokół siebie.

– Przecież tu nic nie ma – zauważyła znudzona Wera. – Same drzewa.

– Trzeba się rozejrzeć – uznał Antek i zrobił kilka kroków w prawo.

Wera patrzyła, jak reszta grupy rozchodzi się w różnych kierunkach, uważnie oglądając każdy pień i krzak. Zniecierpliwiona dziewczyna mruknęła i też poświeciła latarką wokół. Przeszła kilka metrów w bok. Obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i już miała zrezygnować, gdy nagle mignął jej jakiś kształt. Zawróciła i oświetliła to miejsce promieniem latarki. Tak, wyraźnie coś tam było.

– Ej! Tam coś jest! – zawołała.

– Gdzie? – Z ciemności wydobył się głos Pawła.

– No tam! – Kilkakrotnie zrobiła szybki ruch latarką.

Szuranie. Łamane patyki. Szelest liści. Koledzy skierowali się we wskazane przez nią miejsce. Wera również ruszyła przed siebie.

– O kuźwa! – Zatrzymała się w pół kroku.

Serce załopotało. Obok niej pojawili się Antek, Paweł, Mikołaj, Anka i Wiola.

– Co to? – szepnął ktoś.

Wszyscy oświetlali latarkami kształt ukryty za drzewami kilka metrów dalej. Bali się poruszyć.

– Huśtawka? – Wera wysiliła wzrok.

– Ktoś tam chyba siedzi! – Głos Mikołaja się łamał.

Cofnęli się o krok. Zbili się w ciasną grupkę.

– Trzeba zobaczyć – stwierdził Antek, głośno przełykając ślinę. – Kto idzie ze mną?

Przez chwilę panowała cisza.

– Ja pójdę – odezwał się Paweł. – Zostańcie tu. I nie rozdzielajcie się – dodał, ruszając z Antkiem w stronę postaci majaczącej w świetle latarek.

Grupa młodzieży podążała wzrokiem za chłopakami, których kroki w ciszy nocy brzmiały bardzo donośnie. Antek i Paweł na chwilę zniknęli za drzewami. Wszyscy pozostali wstrzymali oddechy. Nagle usłyszeli głośny śmiech. Spojrzeli po sobie, powoli się rozluźniając.

– Chodźcie! – dało się słyszeć nawoływanie Pawła.

– Ja pierdzielę – stęknęła Ania, wypuszczając powietrze.

Patyki znów zaczęły głośno pękać pod ich stopami. Wyszli zza ściany drzew i podeszli do kolegów.

– Co to? – zapytała Wiola z niedowierzaniem.

Stanęli przed zniszczoną huśtawką, którą teraz oświetlały promienie wszystkich latarek. Faktycznie na spróchniałej konstrukcji ktoś siedział. A raczej coś.

– Lalka – powiedział Antek.

W jego głosie dało się słyszeć wyraźną ulgę.

Zupełnie naga porcelanowa lalka miała wielkość kilkuletniego dziecka. Jej głowę wieńczyły jasne, długie włosy. Na jednym z policzków zauważyli różowe serce, a pod powiekami, niczym u Pierrota, namalowano duże czarne łyzy. Twarz lalki była połamana, w miejscu nosa zionęła dziura.

– Ale creepy. – Wera pokręciła głową.

– Noo – potwierdziła Wiola i po chwili wybuchnęła śmiechem.

Inni też zaczęli się chichrać. Najpierw z wahaniem, po chwili śmielej. W końcu wszyscy rechotali, łapiąc się za brzuchy. Weronika też poczuła nagłą wesołość, choć zdobyła się jedynie na kpiarski uśmiech. Wyczuła coś pod podeszwą buta. Mimowolnie się schyliła i wtedy to usłyszała. Charakterystyczne pęknięcie spróchniałej gałęzi gdzieś nieopodal. Zamarła. A potem syknęła:

– Cicho!

Nikt nie zwrócił na jej słowa uwagi.

Instynktownie chwyciła zatopiony w ciemności przedmiot, szybko się podniosła i powtórzyła głośniej:

– Cicho!

Wszyscy natychmiast zamarli. Tylko Wiola jeszcze nerwowo chichotała.

– Co? – zapytał Paweł.

– Słyszeliście? – Wera szukała potwierdzenia.

– Ale co? – Antek rozejrzał się wokół.

– Jakiś dźwięk – odpowiedziała Wera. – Jakby ktoś się zbliżał.

Cisza. Głucha, wypełzająca zza drzew cisza.

– Eeee, nic nie... – zaczęła Anka.

– Nie chcę! – rozległo się cichutkie wołanie.

Wszyscy podskoczyli.

– Ja pierdzielę! – krzyknął Paweł. – Słyszeliście?

– Niech pan przestanie! – Głos ponownie rozszedł się gdzieś obok nich.

– To ta lalka? – zapytała nagle Wiola.

Odskoczyła do tyłu. Wszyscy spojrzeli na lalkę. Zaciśnięte w nieokreślonym wyrazie usta. Matowe, szklane oczy nieruchomo wpatrujące się w pustkę.

– Chyba nie, ale ja stąd więcej – powiedział Antek i zaczął biec.

Ania też zerwała się do ucieczki. Reszta, niewiele myśląc, ruszyła za nimi.

Pnie drzew, zwisające gałęzie raniące skórę, ostre krzaki. Przedzierali się na oślep.

Obcasy Weroniki co rusz zapadały się w wilgotnej ziemi. Biegła co sił, by nadążyć za innymi. Z wysiłku pulsowały jej skronie.

Zapomniała, że wciąż ściska w ręku przedmiot znaleziony przy huśtawce.

2

– Jest upalne lato. Wakacje. Rodziców nie ma w domu. Opalasz się w dwuczęściowym stroju kąpielowym w ogrodzie. – Aleks leżał tuż za nią. Szeptął jej prosto do ucha, raz po raz muskając brodą jej szyję. – Rośliny wokół są dorodne, a w powietrzu... mmmrrrr... – przeciągle zamruczał mężczyzna. Sunął dłonią wzdłuż jej nagiego biodra. – ... pachnie zniewalająco. Słońcem, suchą ziemią i olejkiem do ciała.

– Hmm... – westchnęła Alicja Grabska, lekko się uśmiechając.

– Czytasz książkę, ale nie możesz się skupić. Rozglądasz się wokół. Nikogo nie ma. Jedynie robotnik wynajęty przez rodziców odnawia murek przy tarasie. Jest w średnim wieku. Łysy. Z przydługim nosem i małymi oczkami. Ma na sobie tylko brudne dresowe spodnie. Jego skóra błyszczy od potu. Mięśnie rąk pracują, gdy szpachlę przygląda beton. Nagle mężczyzna wstaje z kolan, prostuje się i przeciąga. Dopiero teraz widzisz, że jego brzuch jest płaski i pięknie zarysowany. Pracownicy fizyczni zawsze mają najlepsze ciała, myślisz, i zaczynasz się dotykać – opowiadał Aleks, dokładnie naśladując ruchy, o których mówił.

Alicja słuchała i coraz mocniej zatapiała się w snutej przez kochankę historii. Oczyma wyobraźni leżała na leżaku w ogrodzie i patrzyła na umięśnione ciało robotnika o prostackiej twarzy. Po chwili zadrżała i przeciągle jęknęła.

Ręce Aleksa przystanąły i wycofały się. Mężczyzna musnął jeszcze jej kark brodą, po czym odsunął się i oparł o ścianę. Natomiast Alicja obróciła się na plecy. Starła się uspokoić oddech.

– Dobrze? – zapytał szatyn o modnie zgolonych bokach głowy.

Jego granatowe oczy śmiały się zawadiacko.

– Dobrze – potwierdziła Alicja, układając usta w dzióbek. Powoli wypuściła powietrze. – Trzeba przyznać, że masz gadane.

– Lubisz to przecież – mruknął.

– Lubię. – Zaśmiała się.

Aleksander Nowicki szybkim ruchem wstał z materaca i otworzył skrzydło okna osadzonego w białej, lekko zmurszałej ramie. Alicja zakryła się prześcieradłem, obróciła się na bok. Patrzyła, jak mężczyzna sięga po paczkę papierosów i odpala jednego z nich. Miał smukłe, muskularne ciało. Ani grama tłuszczu. Był tylko w obcisłych bokserkach, wciąż nabrzmiąłych od podniecenia. Zupełnie nie wyglądał na informatyka, wręcz był zaprzeczeniem jego stereotypu. A do tego Aleks był młody, a przynajmniej młodszy od niej. Dziennikarka nigdy nie spytała go o wiek. Za bardzo bała się odpowiedzi. Wiedziała, że jest pełnoletni, reszta jej nie obchodziła. Oczywiście liczyło się też to, że Aleks był zajebisty w łóżku. Może nie do końca był w jej typie: niewielki nos, słodkie dołeczki w policzkach; obiektywnie ładny, a Alicja za ładnymi nie przepadała. Zawsze bardziej kręciło ją niedopowiedzenie. To skazy sprawiały, że ludzie stawali się dla niej intrygujący. Pewnie nie zwróciłaby więc na Aleksa uwagi, gdyby nie sposób, w jaki mówił. Pracowała wtedy nad tematem przestępstw dokonywanych w sieci, a szef wysłał ją właśnie do niego; podobno wielokrotnie konsultowali z nim różne kwestie informatyczne. Alicja pochylała się z Aleksem nad jego komputerem i w pewnym momencie wkroczyli na temat usług erotycznych w sieci.

– Kobiety lubią się pieprzyć – powiedział Aleks, zupełnie nieskrępowany. – Wszystkie. – Spojrzał na nią wyzywająco. – Tylko nie wszystkie się do tego przyznają. A w necie można być anonimowym i realizować różne fantazje.

– Na przykład? – Alicja się uśmiechnęła.

– Na przykład można przez kamerkę patrzeć, jak ktoś nieznajomy robi sobie dobrze specjalnie dla ciebie. Można robić sobie dobrze specjalnie dla nieznajomego albo nieznajomej. – Aleks uniósł brew. – Można umówić się na seks w drogim hotelu z rycerzem z bajki albo w małym, brudnym motelu z grubasem z wąsem. Co kto lubi. – Mężczyzna wzruszył ramionami, a Grabska się roześmiała.

Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, aż wylądują w łóżku. Gdy już do tego doszło, szepnęła:

– Opowiedz mi coś.

A on zaczął opowiadać. I za każdym razem doskonale trafiał w jej fantazje.

Aleksander Nowicki wypuścił dym z płuc i wyrzucił niedopałek przez okno. Oparł ręce o framugę, lekko wychylając głowę przez okno wychodzące na sopocką ulicę Józefa Bema. Mięśnie i ścięgna na jego przedramieniu zauważalnie się napięły.

– Zajebista pogoda – powiedział miękkim głosem i wziął głęboki wdech. – Lubię ten zapach.

Alicję znów przeszedł lekki dreszcz. Wszystko, co mówił Aleks, kojarzyło jej się z seksem.

Mężczyzna odwrócił się do niej z uśmiechem. Idąc w jej kierunku, położył rękę na przedniej części swoich majtek. Lekko ścisnął. Materiał bokserek momentalnie się uniósł.

– Teraz moja kolej. – Błysnął zębami i opuścił bokserki.

Alicja zamruczała, rozłożyła nogi. Chłopak wbił się w nią mocnym ruchem.

3

– Ładnie wyglądasz – mówi Igor Olszewski.

Mężczyzna stoi w drzwiach i patrzy na nią tym swoim wzrokiem. Nie chwije się, ale Alicja wie, że pił. Zawsze to wie. Zdradzają go oczy – czarne i dzikie, jakby z innego świata. Jeszcze nie jest pewna, jak się to rozegra dziś. Ma nadzieję, że tym razem nic się nie wydarzy. Tak też bywa. Ale musi być uważna. Musi rozważnie stawiać kroki, mądrze dobierać słowa. Nauczyła się, że wszystko może być zapalnikiem. Każdy gest, spojrzenie. Uśmiech lub jego brak. Dźwięk oraz milczenie. Dlatego mimochodem sonduje Igora. Stara się podjąć mądrą decyzję, choć w jego przypadku nie ma żadnych reguł. Jest tylko przypadek.

– Dziękuję – mówi w końcu i delikatnie się uśmiecha.

– Gdzieś się wybierasz? – pyta Igor i wchodzi do środka.

Zamyka drzwi. Cicho. O wiele za cicho. Alicja wie, że to zły znak. Spokój męża jest zawsze tylko pozorny. To integralny element gry. Bez niego Olszewski nie miałby zabawy.

– Idę po zakupy – odpowiada cicho.

O wiele za cicho. Patrzy w podłogę i to też jest błąd, bo głos męża dla przeciwwagi raptem mocno się podnosi:

– A ty musisz być taką cholerną trusią?!

Jego kroki są ciężkie. Alicja wciąż spogląda w dół. Obserwuje, jak spod butów męża sypie się piasek, który zostawia na podłodze nieregularne ślady.

„Musiał być na plaży” – myśli, choć przecież nie ma to większego znaczenia.

– Odpowiadaj, jak się pytam! – Mąż staje tuż przy niej.

Ona nadal wlepia wzrok w podłogę, więc mężczyzna łapie ją nerwowo za brodę i szarpie. Teraz jej szare oczy spotykają się z jego rozpalonymi oczami. Są jak dwa żywioły: woda i ogień, ale Alicja nie jest w stanie ugasić pożaru, który zaczyna się już rozprzestrzeniać w Igorze.

– Co chcesz wiedzieć? – cedzi.

Mruży oczy z nienawiścią. Wie, że i tak jest za późno. Wszystko jedno, co powie lub zrobi.

– Co chcę, kurwa, wiedzieć? – Zapach alkoholu jest wyraźny. Sączy się z ust męża, a ona krzywi się z niesmakiem. – Udaje taką cichą i skromną, a tak naprawdę jest jebaną lambadziarą! Patrzcie ją! – mówi w przestrzeń, kręcąc głową, jakby był na scenie.

Alicja podąża za jego wzrokiem. „Czy naprawdę mąż uważa, że ktoś ich obserwuje? Że ktoś patrzy i ocenia, jaką szmatą w rzeczywistości jest jego żona?” – myśli.

Mężczyzna zaciska palce na jej brodzie. Jego usta wykrzywają się w pełnym obrzydzenia grymasie. Kiwa głową, jakby coś rozważał, i nagle ją puszcza. Odwraca się i oddala o krok. Ale nagle się rozmyśla. Zawraca. Jego pięść robi solidny zamach, zanim wyląduje na jej ustach.

– Alicja!

Alicja Grabska siedziała bez ruchu w fotelu obrotowym i wpatrywała się w okno. Był słoneczny majowy dzień. Przez drzewa stojące nieopodal budynku widać było ściany sopockich kamienic. W oddali, przy Bohaterów Monte Cassino, majaczyła narożna kamienica z wieżyczką. Trzydziestoosmioletni mężczyzna o atletycznej budowie i szerokiej szczęce, Mariusz Kierski, asystent redaktora naczelnego, przystanął w progu, otworzył usta, by ponownie zawołać koleżankę z pracy, jednak zrezygnował i przez

chwile ją obserwował: długie, gładkie włosy w kolorze pszenicznego blondu, prosty, łagodnie kończący się nos, wydatne usta. Atrakcyjna, bardzo seksowna, pomyślał i przełknął ślinę. Ale było w niej też coś nieodgadnionego, coś, co budowało lekki dystans pomiędzy nią a całym światem. Wszedł do środka pokoju i zbliżył się do niej po cichu.

– Baza do Alicji! – krzyknął prosto do jej ucha.

Podskoczyła. Herbata w trzymanym przez nią kubku zdążyła wystygnać. Wylała się na jej czarną ołówkową spódnicę.

– Zeż kur... – stęknęła i wstała.

– Przepraszam. – Mariusz zrobił zmieszana minę i przejechał ręką po zaczesanych do tyłu brązowych włosach. – Nie słyszałaś, jak cię wołam, to podszedłem. Chyba trochę odpłynęłaś myślami, co? – Wyciągnął paczkę chusteczek z kieszeni marynarki. – Daj, wytrę. – Zaczął się do niej zbliżać.

– Nie trzeba. Poradzę sobie. – Alicja groźnie zmarszczyła brwi.

– No tak. Sorry – zmieszał się Mariusz.

Podał jej chusteczkę i szybko się cofnął. Bez słowa patrzył, jak Grabska przykłada do spódnicy kilkuwarstwowy papier, który natychmiast pochłania wilgoć, zabarwiając się na brązowo.

– O czym myślałaś? – zapytał nagle i oblał się rumieńcem.

Alicja zmierzyła go wzrokiem. Wyprostowała się i zapytała surowo:

– Co chciałaś?

– Szylbach cię wzywa – odparł, wskazał jej drzwi gabinetu i skrzywił się w uśmiechu, który mógł znaczyć cokolwiek.

Grabska zmierzyła Mariusza pełnym niechęci wzrokiem.

– Zaraz przyjdę. Tylko to skończę. – Wskazała na stojący na biurku komputer. Mariusz kiwnął głową, lecz nie opuścił pokoju. – Dasz mi chwilę? – zapytała z naciskiem.

– Ach, tak, pewnie – powiedział i po chwili wahania w końcu wyszedł.

Alicja odczekała, aż mężczyzna zamknie za sobą drzwi, i przysiadła do pracy.

„Co zabrać na wakacje? Praktyczne wskazówki” – odczytała tytuł pisanego przez siebie artykułu i z niedowierzaniem pokręciła głową. Jeszcze pół roku temu pracowała w jednej z najlepszych

trójmiejskich gazet jako dziennikarka śledcza. Niestety, za bardzo podobała się szefowi, a ten nie rozumiał, że Grabska nie łączy życia prywatnego z zawodowym. „Brak chęci współpracy” – tak argumentował jej zwolnienie, ostentacyjnie patrząc jej w oczy.

„Sukinsyn” – pomyślała na to wspomnienie i zacisnęła zęby, znów spoglądając na pisany przez siebie tekst. Jedyne wolne etaty w „Dzienniku Trójmiejskim” znalazła w dziale „Okazje”. Tym samym Alicji przypadło w udziale pisanie o elektronarzędziach, modzie, perfumach i gamingu, a więc o tematach, które kompletnie jej nie interesowały. Nie po to z wyróżnieniem skończyła studia dziennikarskie. Chciała zmieniać świat, obnażać fałsz, weryfikować rzeczywistość. A teraz dodała do artykułu ostatnie zdanie: „Oczywiście wszystkie te przedmioty możemy równie dobrze kupić na miejscu, jednak trzeba pamiętać, że w miejscowościach turystycznych są one znacznie droższe”. Z niesmakiem westchnęła, opublikowała tekst, wstała i z gracją przeszła przez pokój. Po chwili zapukała w uchylone drzwi do gabinetu naczelnego.

– Co tam, szefie? – Weszła do środka.

Wiktor Szylbach, ubrany w popielaty sweter, pochylał się nad laptopem. Siwe włosy sterczały na boki, okulary w ciężkich oprawkach zjeżdżały mu na nos. Dał jej znak, żeby usiadła, gdy tymczasem zaciekle stukał w klawiaturę.

– Już wysyłam, czekaj chwilę – powiedział, nie odrywając wzroku od ekranu. – Dobrze, poszło. – Przeniósł na nią spojrzenie i wsparł plecy o skórzany fotel. Łokcie położył na oparciach, złączył rozchyłone palce obu dłoni w wieżyczkę. Chwilę milczał. Myślał. Alicja zdążyła już poznać jego styl, więc cierpliwie czekała.

– Nowy cykl – zaczął w końcu Szylbach. – Konkurencja na rynku, jak wiesz, jest duża, a my musimy iść z duchem czasu, żeby zarabiać.

Szylbach zlustrował twarz Alicji. Ta przytaknęła.

– Nowoczesne technologie, technologiczne nowinki, gadzety, takie tam. Generalnie wszystko, co się sprzedaje – kontynuował. – Firmy płacą, a my testujemy. Rozumiesz, o czym mówię? No, to dobrze. W każdym razie chciałbym, żebyś się zaangażowała.

– Nie bardzo się w tym orientuję... – zaczęła Alicja.

– O to właśnie chodzi – przerwał jej redaktor naczelny. – O ocenę użytkownika niezbyt zorientowanego w temacie. Będzie obiektywnie i przystępnie, a nam wpadnie grosz.

– Ehe – stęknęła Alicja.

– Już mam dla ciebie pierwsze zadanie.

– Naturalnie – bąknęła.

– Słyszałaś o aplikacji Place to Rest?

– Nie bardzo.

– Gorący temat, będzie się klikał.

– Oczywiście, klikał – westchnęła Alicja.

– Coś nie tak? – Szef podniósł pytająco brwi.

– Nie, wszystko w porządku.

– No dobrze, to wróćmy do meritum. Place to Rest. To apka, która wskazuje na mapie różne miejsca, mniej lub bardziej dziwne. Wiesz, na jakiej zasadzie działa?

– Nie mam pojęcia.

– Twórcy Place to Rest twierdzą, że aplikacja wyznacza współrzędne podróży, używając kwantowego generatora liczb losowych...

– Aha.

– ...jednocześnie podkreślając, że myśl może wpływać na materię.

– Wszystko jasne. – Grabska się zaśmiała.

– No wiem, brzmi to dość enigmatycznie, ale tak naprawdę to nieistotne. Chodzi o to, by pobrać aplikację, a następnie kliknąć wybieranie, mocno skupiając się na tym, czego się oczekuje. – Alicja z niedowierzaniem podniosła lewą brew. – Apka działa na zasadzie intencji. – Szylbach wzruszył ramionami. – Sama również wysyła powiadomienia, jeśli w okolicy dostępna jest jakaś lokalizacja.

– *Right* – stęknęła redaktorka. Podniosła się z krzesła. – Jakieś dodatkowe wytyczne?

– A tak – skwapliwie dodał szef. – Zrób tak, żeby to było mocne. Coś naprawdę porywającego. Najlepiej z pieprzykiem. – Szylbach puścił oko.

Alicja prychnęła i pokręciła głową.

– Zresztą sama najlepiej wiesz, co się sprzedaje. – Szylbach uśmiechnął się szeroko i w przepraszającym geście rozłożył ręce.

Benzyna powoli przepływała przez rurkę. Licznik na dystrybutorze dobijał do stu. Alicja, ubrana w jednoczęściowy, niebieski bawełniany kombinezon, przycisnęła rączkę. Jeszcze trochę. Zapach paliwa stawał się coraz bardziej intensywny, przenikał wiosenne powietrze powoli zmierzającego dnia. Odwiesiła wąż na podajnik i skierowała się w stronę sklepu. Niebo po drugiej stronie stacji miało pomarańczowy kolor. Ciepły wiatr lekko smagał jej skórę i rozwiewał jej włosy. Weszła do budynku stacji paliw znajdującej się na pograniczu Sopotu i Gdańska. Jej szpilki zastukały o podłogę. Zapłaciła za benzynę i z papierowym kubkiem białej kawy wróciła w stronę auta. W tym momencie rozdzwonił się telefon. Otworzyła torebkę, wyciągnęła z niej smartfona i zerknęła na ekran, na którym wyświetliło się zdjęcie przedstawiające uśmiechniętego, zgolonego na zero mężczyznę z pieprzykiem na czole, niemal tuż nad linią brwi. Już dawno powinna była usunąć fotografię byłego męża z kontaktów. Tak samo jak numer Igora, choć ten akurat znała na pamięć, aczkolwiek wielokrotnie starała się go zapomnieć. Ściągnęła usta i, ignorując natarczywy dzwonek, wsiadła do samochodu. Zdenerwowana odpaliła silnik białej toyoty C-HR. Szyby automatycznie zjechały w dół, a z głośników popłynęła głośna muzyka. Alicja ściszyła ją, wzięła do ręki telefon i wstukała w niego nazwę aplikacji. Po chwili Place to Rest zainstalowała się na pulpicie.

Upiła łyk kawy. Odstawiła kubek i odpaliła program. Wyraziła zgodę na dostęp aplikacji do funkcji swojego telefonu, w tym GPS-a, i zaakceptowała politykę firmy.

– Zobaczmy – powiedziała do siebie i włączyła usługę lokalizacji miejsca, w którym obecnie się znajdowała.

Nacisnęła opcję „Szukaj”. Na ekranie pojawił się komunikat: „Skup się na swojej intencji”. Przewróciła oczami.

„Chciałabym zobaczyć coś inspirującego” – pomyślała ze znużeniem.

Kółeczko nadal wirowało. Po kilkunastu sekundach zamiast niego wyświetlił się czerwony punkt na mapie. Dziewięć kilometrów i czterysta metrów stąd.

Przybliżyła. Współrzędne pokazywały coś leżącego na pograniczu Witomina i śródmieścia Gdyni.

„Lokalizacja będzie dostępna przez następne dwie godziny” – przeczytała komunikat.

Pogłodziła muzykę. Utwór *Me and the Devil* projektu Soap & Skin doskonale niósł ją przez miasto. Aleja Niepodległości niezauważalnie zmieniała się w aleję Zwycięstwa. Potem przeleciała drogą Gdyńską i skręciła w lewo tuż przed galerią Riviera. Wjechała pomiędzy zdewastowane budynki gospodarcze. Na podwórzu leżał rząd zniszczonych europalet. Tu droga się kończyła i zaczynał się las. Spojrzała na aplikację. Zostało trzysta pięćdziesiąt metrów. Dochodziła dziewiętnasta. Wciąż było dość jasno, choć słońce już niemal zniknęło za horyzontem. Chwilę się wahała, po czym rzuciła szpilki i wyciągnęła zza siedzenia walające się tam trampki. Włożyła je i wysiadła z samochodu.

Powietrze pachniało suchą ziemią i igliwem. Ptaki śpiewały jak oszalałe. Zerknęła na zabudowania. Wydawały się opuszczone. Przeszła wzdłuż nich i po ścieżce wkroczyła do lasu. Zapach świerków się wzmógł. Alicja wzięła głęboki oddech i lekko się uśmiechnęła, rażnym krokiem zmierzając ku wskazywanemu przez aplikację punktowi. Dotarła do wysokiego wzgórza. Tu drzewa się przerzedziły. Zrobiło się mniej mrocznie. Zaczęła się wspinać po stromym zboczu, pokrytym korzeniami, mchem i suchymi gałęziami. Rozpoznawała to miejsce. Często wyskakiwała tu na wagary z oddalonej o jakieś dwa kilometry szkoły podstawowej przy ulicy Władysława IV, choć wtedy podchodziła tutaj od strony Kieleckiej, idąc szlakiem Zagórskiej Strugi.

Po kilku minutach była na miejscu. Przed nią w górę pięła się wysoka na piętnaście metrów wieża widokowa. Podeszła pod betonowy fundament i przyjrzała się obiektowi: nitowana konstrukcja, biało-żółte zmurszałe balustrady, dwa tarasy – jeden w połowie, drugi na samym szczycie. Alicja weszła na długi poziomy pomost ciągnący się obok podstawy wieży. Drewniane deski były spróchniałe i przegniłe. Ostrożnie stawiała kroki, aż rampą doszła do schodów. Choć z daleka wydawało jej się, że zbudowany w latach siedemdziesiątych punkt widokowy jest w dość dobrym stanie, zdała sobie sprawę, że nie dotrze na szczyt. Brakowało wielu stopni. A te,

które pozostały pomiędzy szerokimi szczelinami, na pewno zarwałyby się pod jej ciężarem.

„Szkoda” – pomyślała zawiedziona. Nabrała wielkiej ochoty, by popatrzeć na rozciągający się z wieży horyzont zmierzającego miasta. Chciała zobaczyć widma Oksywia i stojących w stoczni dźwigów, popatrzeć na centrum Gdyni z wyrastającymi ponad wszystko wieżowcami Sea Towers i zwieńczoną krzyżem Kamienną Górę, popodziwiać strzelistą wieżę ceglanego kościoła Świętego Antoniego na Wzgórzu Świętego Maksymiliana. Później przeniosłaby wzrok na redłowską białą koronę stadionu miejskiego i rozejrzała się dalej, do hali widowiskowej. Westchnęła, choć w duchu musiała przyznać, że już sam widok zdewastowanej, zapomnianej przez wszystkich wieży był w pewien sposób przejmujący. Nie miała nawet świadomości, że obiekt był zamknięty, i to pewnie od dawna.

„Kiedy byłam tu ostatni raz?” – zastanowiła się.

Przed jej oczami pojawiło się wspomnienie zgarbionych pleców. Ściągnięte gumką cienkie dredy, głowa schowana pomiędzy ramionami, zielona parka. Radek, uśmiechnęła się. Szedł przed nią typowym dla siebie krokiem, jakby trochę się skradał, a trochę chciał stać się niewidzialny. Odwrócił do niej twarz. Nieznacznie zakrzywiony nos z lekko uniesionymi dziurkami, kpiarskie w wyrazie oczy, duże usta chowające matowe zęby o nieco kwadratowym kształcie.

– Jaaaa – przeciągnął głoski. – To będzie coś niezwykłego, Ala. – Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej się wdrapać po stromym zboczu.

Dłoń Alicji w jego dłoni, mocne bicie serca.

Jej licealna miłość.

Choć przychodziła tu przecież wielokrotnie w dawniejszych latach, nigdy wcześniej nie było tu aż tak magicznie. Siedzieli na górnym tarasie ramię w ramię, patrząc na rozciągającą się przed nimi panoramę. Onieśmieleni bliskością i zarazem łaknący jej jak niczego na świecie. Rozmawiali o życiu, o swoich marzeniach, o planach na przyszłość. A gdy się ściemniło, Radek rozpałił małe ognisko na kawałku leżącej tam blachy.

Alicja uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Od tej chwili minęło dziewiętnaście lat. „Byłam wtedy kimś zupełnie innym” – pomyślała i ścisnęła ją w dołku. „A ty musisz być taką cholerną trusią?!” – usłyszała w głowie głos byłego męża. Spadająca na jej usta pięść, metaliczny smak krwi i jego wzrok: powoli przytomniejący, jakby spadła z niego czarna zasłona. Pełne lęku szerokie źrenice, łzy ciekące po twarzy mężczyzny. Jej szept: „To nie twoja wina. To nie byłeś ty”.

Dziennikarka wzdrygnęła się i szybko rozejrzała się wokół. Las zaczął tonąć w szarości. Liście drzew przestały być wyraźne, krawędzie nitowanej konstrukcji wieży straciły ostrość.

„Czas się zbierać” – przemknęło jej przez głowę i ostrożnie zaczęła opuszczać podest. Trzymając się lewej krawędzi, zeszła schodkami w dół. Coś chrupnęło pod podeszwą. Zerknęła. Kawałki rozbitej białej porcelany. Mechanicznie odsunęła je butem na bok.

Jak oceniłaby działanie aplikacji? Była mile zaskoczona. Telefon poprowadził ją w niecodzienne miejsce, trochę tajemnicze, z pewnością niebezpieczne. Jeśli na tym miała polegać ta zabawa, mogła śmiało napisać pozytywną recenzję.

Tylko czy tego oczekiwał jej szef? „Zrób tak, żeby to było mocne. Zresztą wiesz, co się sprzedaje”.

Alicja pokręciła głową. Totalny absurd.

„No dobra, jeszcze jedno podejście” – pomyślała. Wyjęła telefon z kieszeni kombinezonu i odpaliła aplikację. Na szczęście miała tutaj zasięg. Wcisnęła wyszukiwanie lokalizacji. Intencja, intencja... Skupiła się:

Płomienie ogniska. Zabarwiona na pomarańczowo twarz Radka. Jego miękkie wargi na jej ustach. Mokry język. Ręka błędząca po jej drżącym udzie.

Kółeczko nadal wirowało. Alicja zaczęła schodzić w dół po stromym zboczu.

– Jaaaa. Alaaaaa – wzdycha Radek.

Jego język znów wślizguje się do jej buzi. Przejeżdża po zębach. Owija się wokół jej języka. Sięga dłońią do spodni. Zanurza się pod materiał majtek.

Alicja usłyszała ciche piknięcie i zatrzymała się. Aplikacja znalazła lokalizację.

Strzałka wyznaczała przeciwny kierunek niż ten, w którym poruszała się Alicja.

Cel oddalony był o dwieście pięćdziesiąt metrów od niej. „Lokalizacja dostępna przez dziesięć kolejnych minut” – ogłosił komunikat na wyświetlaczu.

– Hm – bąknęła zaskoczona.

Odwróciła się. Znów wdrapała się na wzgórze i rozejrzała. Szarość była coraz głębsza, choć nadal panowała jako taka widoczność. Lokalizator na wirtualnej mapie wskazywał miejsce po drugiej stronie wzniesienia. Przeszła obok wieży i ponownie zaczęła zsuwać się po stromiźnie. Idąc za wytycznymi GPS-a, skręciła w prawo między drzewa. Cel powinien być gdzieś tutaj. Obróciła się wokół własnej osi, starając się coś wypatrzeć, ale nic nie przykuło jej uwagi. Nagle usłyszała jakiś dźwięk. Łamane suche drewno. Jej serce na chwilę stanęło. Momentalnie oblał ją zimny pot.

Co to było? Poczwała, jak wzrasta w niej lęk.

Uklękła i wyłączyła ekran telefonu, by światło nie zdradzało jej kryjówek. Zaczęła nasłuchiwać.

Znów łamane patyki, a po chwili westchnięcie. Przeciągłe. Niskie. Zmysłowe I znów to samo. Tym razem jednak jęk narastał i pęczniał.

Poziom strachu zelżał. W głosach nie było nic przerażającego. Raczej wypełniało je poczucie przyjemności. Uśmiechnęła się pod nosem, z niedowierzaniem pokręciła głową.

„Czy to możliwe?” – przez jej umysł przemknęła myśl.

Wstała i lekko się pochylając, podążyła za dźwiękiem. Za moment z szarości wyłoniły się kształty, więc szybko uskoczyła i przyłgnęła do drzewa. Powoli wysunęła głowę zza pnia.

Stali bokiem do niej. Kobieta w średnim wieku była zupełnie naga. Rękoma opierała się o brzozę, której biała kora jaśniała w narastającym mroku. Duże, jasne piersi nieznajomej ciężko zwisały, raz po raz kołysały na boki. Na oko pięćdziesięcioletni mężczyzna miał na sobie koszulę. Opuścił jedynie spodnie. Przywierał do jej pośladków, rytmicznie się poruszając.

– Ooooo... – jęczał. – Ooooo...

Alicja jeszcze mocniej przycisnęła się do drzewa. Poczwała się zawstydzona, a zarazem zupełnie miękka, jakby rozkosz, której stała się świadkiem, zaczęła jej się udzielać. Jej serce biło jak oszalałe.

Miała ochotę znów wysunąć głowę z kryjówki i jeszcze popatrzeć, a zarazem bała się, że para ją zauważy. Starła się oddychać jak najciszej, by nie zdradził jej nawet najmniejszy szelest.

„Co ja robię?” – pomyślała spanikowana. „Co tu się, kurwa, dzieje?”.

Oderwała ciało od drzewa i uważnie stawiając kroki, zawróciła. Gdy znów znalazła się na szczycie wzgórza, wieżę widokową oplótł już złowieszczy mrok. Trzęsącymi się rękoma włączyła latarkę w telefonie i zaczęła zbiegać na dół.

Ani razu nie obejrzała się za siebie.

5

Wódka była zimna i gęsta. Gładko przepłynęła przez jego gardło, pozostawiając palącą gorycz. Detektyw Oskar Korda ze stuknięciem odstawił kieliszek na drewniany blat baru.

– Jeszcze jedną – powiedział.

Jego głos był tak samo zimny i głęboki jak wypity przed chwilą alkohol.

Barman wziął nowe szkło. Nalał. Postawił trunek przed policjantem.

– Problemy? – zapytał.

Z głośników cicho sączyła się muzyka. Trąbka. Lokal był nadal niemal pusty.

Oskar podniósł wzrok na barmana i przyjrzał mu się dokładnie. Ciemne, krótko przycięte włosy. Śniada cera. Lekko skrzywiony nos. Przewieszoną przez jedno ramię ściereczką przecierał trzymaną w rękę szklanekę. Wyczekująco patrzył na Korde. Detektywa przeszło niepokojące wrażenie, że barman kogoś mu przypomina.

Policjant bez słowa sięgnął po kieliszek. Opróżnił go jednym haustem.

– Kobieta – stwierdził barman i uśmiechnął się półgębkiem.

Powoli jego rysy zaczęły się rozjeżdżać. Traciły na ostrości, gubiły granice. W końcu alkohol zaczął działać.

– Jeszcze jedną – zachrypiał Korda.

Barman skinął głową i podał detektywowi kolejny kieliszek. W tym momencie do baru weszła grupka roześmianych dziewcząt. Zrobiło się głośno.

Korda wychylił wódkę i cmoknął.

– Co dla ciebie? – zapytał barman.

– Może Krwawą Mary – odpowiedział głos.

Był cienki, niemal piskliwy.

Detektyw poczuł na sobie wzrok. Kątem oka widział, że brunetka oparła się filuternie o bar i ciekawie mu się przygląda. Mógł odwzajemnić spojrzenie. Oczywiście, że mógł. Wiedział, jak by to się skończyło. Wylądowałiby u niej albo u niego, niemal nic o sobie nie wiedząc, szybko nasyciliby się swoimi ciałami. Ale Oskar Korda nie czuł się dziś w nastroju. Zabójca grasował na wolności, śmiejąc mu się w twarz. Detektyw nie miał żadnego konkretnego tropu. Jak totalny frajer.

Na tę myśl zacisnął palce na opróżnionym kieliszku. Gdyby chciał, mógłby rozgnieść szkło w rękę.

– Od czego ta blizna? – Znów usłyszał cienki głos.

Nie odpowiedział. Uparcie patrzył przed siebie, studiując kolorowe etykiety na butelkach.

– Biłeś się z kimś? – Ponowiła pytanie, wyciągając dłoń ku jego twarzy.

Nie odrywając wzroku od butelek, Oskar złapał ją za nadgarstek. Ruch był szybki, mimowolny, zupełnie odruchowy.

– Auuu – syknęła dziewczyna, próbując się wyrwać.

Ale on nie puszczał. Kolorowe nalepki na likierach wirowały i lśniły niczym wielokrotnie odbijające się obrazy szkiełek w kalejdoskopie.

„Jak mogłem dać się tak podpuścić?” – myślał.

Jeszcze mocniej ścisnął kruchy dziewczęcy nadgarstek.

– Koleś, kurwa! Puszczaj! – zdenerwował się cienki głos.

Barman wyskoczył zza lady. Grupa dziewczyn też znalazła się tuż obok nich.

Detektyw Oskar Korda przeniósł w końcu wzrok na twarz brunetki. Usta wykrzywione w bólu, przerażone spojrzenie, lekko rozszerzone nozdrza. Tak samo jak tamta dziewczyna. Tylko tamta

miała blond włosy. I była zimna, zastygła, porzucona w lesie. Zupełnie martwa.

– Puść ją! Słyszysz?! – Głos barmana brzmiał, jakby dochodził spod wody. Zniekształcony i przytłumiony.

Rozluźnił palce w tym samym momencie, gdy barman wyprowadził cios; miękki, pozbawiony siły. Korda nawet się nie zachwiał, za to zaczął się śmiać. Głośno, szaleńczo. Jakby nie był sobą.

Rozbujanym krokiem ruszył ku wyjściu. Już wiedział, kogo przypominał mu mężczyzna zza baru: barmana z *Lśnienia* Kubricka. Brakowało mu tylko białej koszuli i muszki.

Oskar uśmiechnął się kącikiem ust. Lubił ten film. Cienka blizna ciągnąca się po jego policzku lekko się uniosła. Majowe nadmorskie powietrze pachniało kwiatami i papierosowym dymem.

6

Dzień dopiero się budził. Pierzaste chmury sunęły po niebie w rytm dźwięków trąbki, które rozbrzmiewały w słuchawkach w jej uszach. Morze bezgłośnie wypluwało fale; było spokojne, niemal płaskie, odbijało promienie wiosennego słońca jak lustro. Sportowe buty Alicji sprężyste odbijały się od mokrego piasku. Mięśnie smukłych nóg napinały się pod materiałem obcisłych spodni. Nagie obojczyki lekko połyskiwały od potu. Przecięła wyludnioną o tej porze sopocką plażę, przebiegła wzdłuż placu Mancowego i zatrzymała pod kamienicą przy ulicy Haffnera. Rozciągnęła ciało, uspokoiła oddech. Otworzyła drzwi wejściowe i wspięła się po schodach do mieszkania znajdującego się na drugim piętrze. Zdejmując buty, zerknęła na czarny zegar ścienny w złotej ramie. Dochodziła siódma. Alicja uśmiechnęła się do siebie. Pobiła swój najlepszy czas.

Dziennikarka wzięła szybki prysznic, zawinęła się w biały bawełniany ręcznik i podążyła do kuchni. Włączyła radio, zaparzyła kawę, wrzuciła kromkę chleba do tosterka. Przez uchylone okno wpadał zapach kwitnącego obok kasztanowca. Toster wyrzucił gorącą grzanekę. Posmarowała ją masłem i dżemem. Pieczywo było chrupkie i ciepłe; okruszki zostawały pomiędzy wargami. Dołała

mleka do mocnej kawy. Upiła łyk. Po siedmiokilometrowej przebieżce wszystko smakowało doskonale.

Usiadła do stołu i mechanicznie zaczęła uderzać w klawiaturę komputera: „Koronkowe sukienki są idealne na różne okazje, musisz jednak pamiętać, że nie pasują do każdej figury”. Upiła kawę. Zerknęła na napisane przed chwilą zdanie i lekko się skrzywiła. Choć przynajmniej знаła się na modzie, to jednak dawanie w tej kwestii rad czytelniczkom przyprawiało ją o mdłości. Tak bardzo marzyła, by znów być prawdziwą dziennikarką, poczuć dreszcz emocji, wziąć na siebie ryzyko towarzyszące obnażaniu wszelkiego rodzaju afer. „A może lepiej czujesz się w stylu boho? Zwiewne sukienki, frędzle i słomkowe kapelusze już od kilku sezonów przodują w letnich trendach” – wystukała.

– Minął już ponad miesiąc od tragicznych wydarzeń w sopockim lesie – dotarł do niej głos redaktorki czytającej radiowe wiadomości – jednak sprawcy nadal nie ustalono. Przypomnijmy: piątego kwietnia policja znalazła zwłoki młodej kobiety. Śledczy nie mają wątpliwości, że doszło do zabójstwa. Tło seksualne zajścia zostało wykluczone. Nadal nieznany jest motyw działania sprawcy...

Grabska odwróciła się w stronę radia, jej palce zastygły nad klawiaturą. Uważnie słuchała doniesienia prasowego. Zamordowana dziewczyna studiowała na tym samym wydziale, który ukończyła Alicja. Może dlatego ta sprawa tak nią wstrząsnęła.

– Policja wciąż szuka świadków i apeluje, by osoby, które przechodziły lub przejeżdżały tamtego dnia w okolicy i widziały ofiarę lub zwróciły uwagę na coś niepokojącego, skontaktowały się z sopocką komendą – kontynuowała spikerka Radia Gdańsk.

Grabska wiedziała, że dziewczynie podcięto gardło. Nie omieszkał powiedzieć jej o tym redakcyjny kolega Mariusz Kierski, który zdobył tę informację, zanim dotarli do niej inni dziennikarze. Policja nie zdradziła jednak żadnych szczegółów, zasłaniając się dobrem śledztwa.

Kto mógł to zrobić? Kto mógł ją zabić? Statystyki wskazują, że w większości przypadków morderca zna swoją ofiarę; co więcej, jest z nią zupełnie blisko, a do zbrodni popycha go zdrada lub rozstanie.

Jebałaś się z nim? No powiedz, jebałaś?

Alicja usłyszała w głowie głos byłego męża. Przycisnęła wtedy jej szyję do ściany przedramieniem tak mocno, że przez dłuższą chwilę nie mogła oddychać. Była pewna, że umiera, że on zaraz ją zabije. Ale nie wtedy od niego odeszła, jeszcze nie wtedy...

Alicja nagle ocknęła się z zamyślenia. Zerknęła na zegarek.

– *Shit* – stęknęła.

„Pamiętaj. Najważniejszą zasadą jest to, by dobrze czuć się w tym, co na siebie wkładasz. Twój styl nabierze mocy tylko wtedy, gdy będzie spójny z twoją osobowością”.

– Yhh – stęknęła i zamieściła artykuł w serwisie.

Zostawiła niedopitą kawę, w pośpiechu włożyła przygotowaną wcześniej beżową garsonkę i samochodem popędziła w stronę redakcji „Dziennika Trójmiejskiego”, mieszczącej się przy ulicy 1 Maja w dwukondygnacyjnym dworku, w którym w latach dziewięćdziesiątych swoją siedzibę miało Wydawnictwo „Lex”. Po jakichś siedmiu minutach była na miejscu. Zaparkowała przed budynkiem o ryzalicie zwieńczonym balkonem i wysiadła z auta.

– Jak zawsze pięknie wyglądasz. – Kierski uśmiechnął się do niej.

Stał oparty o drzwi wejściowe i nie spuszczał z niej wzroku od momentu, gdy w sandałkach na obcasie zaczęła pokonywać podjazd. Strzepnął na ziemię popiół z papierosa. Zmrużył oczy.

– Dzięki – odpowiedziała oschle Alicja.

Nie wiedziała czemu, ale redaktor działał jej na nerwy. Niby zawsze był uprzejmy, nad wyraz koleżeński, pomocny nawet, a jednak za każdym razem gdy Kierski tak na nią patrzył, przechodził ją nieprzyjemny dreszcz.

Teraz blokował przejście, ale zdawał się tego nie zauważać.

– Przepuścisz mnie? – zapytała, podnosząc wysoko brew.

– A! Tak! Pewnie! – odpowiedział, ale przez chwilę nie ruszył się z miejsca.

Zbyt długą chwilę.

Alicja w końcu znalazła się w środku.

– I jak tam? – zaczepił ją na korytarzu szef.

Wiktor Szylbach wyglądał dziś na mniej zmęczonego niż zazwyczaj.

– W porządku. – Alicja uprzejmie się uśmiechnęła.

– To bardzo dobrze, bardzo dobrze – pochwalił naczelny.

– Szef dziś w doskonałym humorze – stwierdziła.

– A tak. Place to Rest przesłali fundusze na artykuły promocyjne, tak że w tym kwartale jesteśmy do przodu. W końcu! – Podniósł palec wskazujący i spojrzał na nią znacząco spod okularów. – Badałaś już może sprawę?

– W sumie tak – odparła. – Wczoraj zrobiłam mały research. No i muszę przyznać, że to było nawet interesujące.

– O! I tego nam właśnie trzeba! – ucieszył się Szylbach. – Co mamy?

– Aplikacja poprowadziła mnie do zdewastowanej wieży widokowej na wzgórzu. Nie byłam tam od liceum i w sumie zapomniałam już, że ona w ogóle istnieje.

– No zobacz. Jakież interesujące tropy? Coś cię zaskoczyło, zafrapowało? A może przestraszyło? Znalazłaś jakiś ciekawy przedmiot? Ludzie lubią takie historyjki! – Szylbach był coraz bardziej rozentuzjasmowany.

– Przedmiot? – Alicja zamyśliła się. – Nie, raczej żadnego przedmiotu nie było. Choć natknęłam się na... – Zamilkła i nagle się zaczerwieniła.

Przypomniała sobie ciężkie piersi kobiety, ręce mężczyzny zaciskające się na jej biodrach, opuszczone do kostek spodnie, szybkie, mechaniczne ruchy.

– Tak? – Naczelnny ciekawie przechylił głowę w bok.

– Cóż. Gdy wybrałam lokalizację po raz drugi, aplikacja skierowała mnie w jedno miejsce i ... – Podjęła wątek, ale znów przerwała.

Ciężkie dyszenie, jęk, gorąco, które poczuła w podbrzuszu...

Nie była w stanie powiedzieć o tym szefowi. Zresztą nie to miejsce pokazywała aplikacja. Przecież zboczyła z kursu, gdy usłyszała tamtą parę...

– I? – Szylbach wydawał się coraz bardziej zniecierpliwiony.

– I nic tam nie było – dokończyła szybko.

Naczelnny zmarszczył brwi i spojrzał jej prosto w oczy. Skanował ją.

– Hmm – mruknął w końcu. – No cóż, może źle się rozejrzałaś, a może trzeba mieć po prostu więcej cierpliwości.

Alicja skrzywiła się w sztucznym uśmiechu.

– To próbuj dalej – nakazał Szylbach, zmierzając już w stronę swojego gabinetu. – I nie zawieźdź mnie – rzucił jeszcze w przestrzeń.

Jego głos był cierpki.

Alicja wiedziała, że Wiktor nie lubił, gdy coś działo się nie po jego myśli.

7

Skrzydła sufitowego wentylatora kręciły się miarowo.

Szuuuu. Szuuuu. Szuuuu.

Dźwięk ten wypełniał niewielki pokój, w którym panował mrok. Przez okna zasłonięte starymi aluminiowymi żaluzjami wpadały do środka jedynie cienkie paski rozproszonego światła.

Szuuuu. Szuuuu. Szuuuu.

Detektyw Oskar Korda wpatrywał się w ścianę bez ruchu, w zupełnym milczeniu. Na zdjęcia przytwierdzone pinezkami do dużej tablicy korkowej skierował strumień światła z lampki stojącej na biurku.

Próbował coś zobaczyć. Coś, czego nie dostrzegł wcześniej.

Długie, proste blond włosy, stalowe oczy, wyraźnie wyrysowane usta. Na fotografii, którą przekazali rodzice, Magdalena Wirewicz miała poważny wzrok; czujnie wpatrywała się w obiektyw. Podobno lubiła wyzwania. Nigdy nie odpuszczała, nie dawała za wygraną. Tak mówiła jej matka. Pewnie dlatego dziewczyna wybrała dziennikarstwo.

Jej ciało znaleziono w lesie. Było nagie. Bezbronne. Opatulone liśćmi zakrywającymi krwawe plamy na bokach szyi, biegnące w kierunku karku ofiary. Prawa ręka spoczywała na piersiach, lewa na łonie. Pełne grozy oczy były otwarte. Włosy uważnie ułożono wokół głowy w fale niczym u mitycznej Meduzy – przepięknej kobiety, którą za karę przemieniono w odrażające stworzenie.

Co morderca chciał przez to powiedzieć? Czy śmierć zadana ofierze stanowiła karę? A jeśli tak, to za co?

Detektyw, nie odrywając wzroku od ściany, rytmicznie zaczął stukać palcami w blat stołu. Bum, bum, bum.

Ubrań i przedmiotów osobistych należących do dwudziestolatki nie odnaleziono. Sprawca musiał je ukryć lub zabrać ze sobą. Czy zabrał je jako trofeum, czy po prostu znajdowały się na nich ślady, które mogłyby zdradzić jego tożsamość?

Bum, bum, bum.

Czy morderca zabił pod wpływem chwili?

Bum, bum, bum.

Czy było to morderstwo z premedytacją?

Bum, bum...

Ręka zamarła w powietrzu.

Detektyw Oskar Korda szybkim ruchem wstał z krzesła i podszedł do tablicy korkowej pokrywającej niemal całą ścianę.

Zatrzymał się przy jednym z najbardziej drastycznych kadrów. Na szyi ofiary widniała długa, ośmiocentymetrowa rana cięta. Nie na tyle głęboka, by dojść do kości, jednak dość silna, by uszkodzić obie tętnice, co doprowadziło do wykrwawienia stanowiącego bezpośrednią przyczynę śmierci. Pojedyncze nacięcie o równej głębokości biegło od prawej do lewej strony. Zakładając, że zabójca stał nad ofiarą, można było stwierdzić, że cechowała go praworęczność. Przerwane tkanki miały równe brzegi i gładkie ściany, a rana była wolna od krwawych podbiegnięć, otarć i mostków łącznotkankowych, charakterystycznych dla urazów zadanych tępym narzędziem. Na miejscu zabójstwa nie odnaleziono narzędzia zbrodni, jednak sekcja wykazała, że zabójca posłużył się dwunastocentymetrowym nożem ze stali nierdzewnej o ostrych krawędziach i lekko uniesionym ostrzu. Mogła to być zwykła myśliwska finka.

Korda zerknął na kolejną fotografię. Drzewo, obok którego wbito w ziemię tabliczkę i strzałkę. To tam odnaleziono ślady męskich sportowych butów o rozmiarze czterdzieści cztery i treść żołądkową, prawdopodobnie wydaloną przez sprawcę. Ślad był tak znikomy, że nie udało się go poddać badaniom toksykologicznym w celu wyodrębnienia DNA. Niewątpliwie jednak mówił coś o zabójcy, a mianowicie to, że zbrodnia wywołała silną reakcję jego organizmu, co prowadziło do postawienia dwóch hipotez: albo morderca działał w afekcie i popełniony czyn wyraźnie go przeraził,

albo morderstwo było planowane, jednak sprawca dokonał go po raz pierwszy w życiu.

Detektyw zmrużył oczy i przeciągle mruknął. Minął już miesiąc, a oni wciąż tkwili w punkcie wyjścia. Przesłuchali rodzinę, wszystkich znajomych ofiary, zarówno z uczelni, jak i spoza niej, sprawdzili monitoringi i billingi. I nic nie mieli. Żadnego podejrzanego. Dziewczyna nie miała chłopaka, zgodnie z wiedzą osób rozpytanych z nikim się nawet nie umawiała, miała grono stałych znajomych, imprezowała od czasu do czasu, nadal mieszkała z rodzicami. Tego dnia wyszła po prostu na spacer. Koło osiemnastej. Ciągłe było jasno. Ostatnia z kamer, która ją nagrała, pokazała, że zmierzała w kierunku lasu. Ostatnie logowanie telefonu, który potem zniknął z resztą jej rzeczy, odbyło się nieopodal miejsca zbrodni.

I tyle.

Choć nie do końca tyle.

Pozostała jedna rzecz.

Bardzo ważna.

A może zupełnie nieważna, przypadkowa, niezwiązana ze sprawą, choć myśl o niej wypełniała Kordeń niepokojem.

Kilkusekundowy filmik, który nagrano na kartę pamięci do aparatu fotograficznego, leżącą na ziemi, trzy metry od ciała.

8

Alicja włączyła lewy kierunkowskaz i przepuściła idących chodnikiem spacerowiczów: kobietę w kwiecistej sukni z siedmioletnią na oko dziewczynką obciętą na pazia i powolnie zmierzającego za nimi staruszka o bujnych siwych włosach. Zerknęła w bok. Pod fryzjerem z szyldem pamiętającym czasy PRL-u stał wpatrzony w ziemię mężczyzna w ciemnej czapce z daszkiem. W oddali dojrzała podążającą w jej stronę grupkę młodzieży. Przed maską przebiegł jeszcze bury, kudłaty pies. W końcu skręciła i zaparkowała na podwórku przed kamienicą przy Jesionowej we Wrzeszczu. Spojrzała na telefon. Lokalizator pokazywał, że jest naprawdę blisko. Rozejrzała się wokół. Teren otaczały

zdeprawowane garaże. Ich płaskie dachy oraz niskie ściany były częściowo zawalone. To, co trzymało się pionu, pokryte było wyblakłym graffiti oraz rozległą pleśnią. Alicja spojrzała na dwupiętrową kamienicę. Niewątpliwie była opuszczona. Od fasady płatami odchodził szarobury tynk. Okna na pierwszym piętrze zamurowano białymi cegłówkami, pozostawiając jedynie kilkunastocentymetrowe otwory. Na kolejnym poziomie zamiast szyb wstawiono dyktę.

Skierowała się w stronę garaży. Lokalizator pokazał, że oddala się od wskazywanego miejsca. Przybliżyła się do kamienicy. Punkt, wyznaczony przez aplikację, był na wyciągnięcie ręki. Obeszła pustostan, szukając wejścia. Dotarła do stalowych, zamkniętych na zasuwę drzwi, pomazanych niebieskim sprayem. Brązowy pręt, który miał zapewne je zabezpieczać, oparto o zmurszałą ścianę, na której czarną farbą podpisały się Karla i Daria. Przesunęła zasuwę. Drzwi ustąpiły, skrzypnęły. Weszła do środka. Przez wnęki okienne wpadało ciepłe słoneczne światło, w którym unosiły się drobiny kurzu. Alicja obeszła parter. Oprócz gruzu i pojedynczych cegieł nie było tu nic. Znalazła się na ponurej klatce schodowej. Gdy niemal po omacku wspinała się na górę, pod jej butami chrzęściły odłamki betonu.

Ciemność panującą na piętrze przecinały tunele światła przedostające się przez otwory w zamurowanych ceglami oknach. Dziennikarka przeszła wszystkie pomieszczenia, ale i tutaj nic nie odnalazła. Schodami przedostała się na ostatnie piętro. Mrok gęstniał. Dykta w oknach skutecznie zasłaniała światło dnia. Alicja włączyła latarkę w telefonie i oświetliła pomieszczenie. Na środku niskiego sufitu wisiała na kablu goła żarówka. Pociągnęła za sznurek tuż obok. Rozbłysło żółte światło. Wyłączyła latarkę i spojrzała na ekran. Ludzik pokazujący jej lokalizację zrównał się z czerwonym punktem docelowym. Powiodła wzrokiem po pustostanie. W mdłej poświacie dostrzegła stary telewizor stojący na surowej podłodze pod jedną ze ścian. Podeszła bliżej. Srebrny, na oko dwudziestojednocalowy Philips miał wbudowany odtwarzacz wideo. Alicja kucnęła, przyjrzała się przyciskom. Nacisnęła największy z nich. Ekran rozbłysnął i zaczął głośno śnieżyć.

Szyyyyy. Szyyyyy.

Dziennikarka bez zastanowienia wdusiła „play”.

Pojawił się obraz.

Utrzymany w ciepłych barwach, co jakiś czas mrugał i gubił ostrość.

Na zielonej wersalce siedzi szczupła naga blondynka. Z poważną miną patrzy przed siebie, prosto na widza. Zza kamery wychodzi dwóch mężczyzn. Zbliżają się do dziewczyny, a mięśnie na ich gołych pośladkach spinają się z każdym krokiem. Odwracają się profilem do widza. Brunet ma dłuższe włosy i grube wąsy opadające na górną wargę. Jego chudą klatkę piersiową porastają ciemne, kręcone kędziory. Brzuch rudego jest lekko sflaczały.

Alicja ironicznie ściągnęła brwi. Poczowała się jednocześnie tak samo rozbawiona jak zniesmaczona.

Nagle klatka filmowa się zatrzymała. Na sekundę ekran stał się biały, a potem znów pojawił się obraz: schowany wśród leśnych drzew staw, z którego wystają białe kikuty połamanych drzew. Kamera przesuwa się od lewej do prawej. Ponownie biały kadr, a po nim pomarańczowo-zielonkawy filtr charakterystyczny dla końcówki lat osiemdziesiątych.

Alicja nie od razu pojęła, na co patrzy. Wyprostowała się i odeszła kilka kroków w tył.

Zbliżenia. Tak mocne, że ciała i włosy łonowe zlewały się w jedno. Początkowo niemy film w jednej sekundzie eksplodował dźwiękami. Po całym pomieszczeniu przetoczyły się jęki. Tak głośne, że na pewno było je słychać na podwórku.

Alicja natychmiast podeszła do telewizora i intuicyjnie nacisnęła guzik. Odtwarzacz burknął i z mechanicznym odgłosem wypluł kasetę.

Serce biło jej jak oszalałe. Rozejrzała się wokół, jakby chciała się upewnić, czy hałas nikogo nie przyciągnął. Cisza. Żadnego ruchu. Powoli zaczęła się uspokajać. Sięgnęła do odtwarzacza i wzięła kasetę do ręki. Nie była podpisana. Na czarną obudowę nie przyklejono żadnej naklejki.

– Ciekawe – mruknęła na głos.

Wyciągnęła rękę z kasetą z powrotem ku telewizorowi, gdy zniecierpliwiona poczuła chęć, by zabrać ją ze sobą. Dłoń zatrzymała się w powietrzu. Przez sekundę Alicja się wahała, ale ostatecznie

rozsądek zwyciężył. Co ona sobie w ogóle wyobraża? Przecież to byłaby kradzież! Prychnęła i z niedowierzaniem pokręciła głową. Kasetka wylądowała w kieszeni odtwarzacza.

Gdy Alicja zbiegała po schodach, pod jej butem coś zazgrzytało. Na moment się odwróciła, dostrzegła w mroku białe fragmenty rozbitej ceramiki, ale nie zawróciła, by im się przyjrzeć.

Jak najszybciej chciała wydostać się na zewnątrz.

9

Oskar Korda odpalił filmik w telefonie.

Kamera powoli przesuwa się od prawej do lewej strony. Brzeg porastają krzaki i karłowate choinki. W oddali zachodzi słońce. Pomarańczowa poświata spowija las. Skąpana w mroku woda jest spokojna, niczym niezmacona. Wyrastają z niej kikuty drzew; ich szczyty są złamane, pnie sterczą jak zapałki. Kamera dociera do krańca stawu. Obraz się zapętla i znów sunie od prawej do lewej.

Detektyw podniósł głowę znad ekranu smartfona. Powiódł spojrzeniem wokół, znów zerknął na telefon i znów podniósł wzrok.

– I co, komisarzu? – Obok niego stanął starszy sierżant, Adam Gustowski, zwany Gustlikiem. Niewysoki brunet o ciemnych oczach z rozczochranymi włosami poprawił opadające na nos oprawki okularów korekcyjnych.

– To nie tu – mruknął Korda.

– No nie tu. Las za gęsty, żeby odjechać zachód słońca. – Policjant wskazał na horyzont. – I na filmiku z wody wystają brzozy, a tu jakieś inne badyle.

– To po co, Gustlik, zawracacie mi dupę, co? – zirytował się detektyw.

– Mówiłem, że babol, ale nikt mnie nie słuchał. – Sierżant wzruszył ramionami. – Komisarz wie, że u nas same Einsteiny pracują.

– Pizdy, nie Einsteiny – stwierdził zimno Korda.

Schował telefon do kieszeni i odpalił papierosa.

– Ale trzeba przyznać, że malowniczo. – Gustlik też zapalił papierosa. – Mógłby tu trup leżeć, nie? – Zaśmiał się.

– Mógłby – potwierdził detektyw.

I pewnie dlatego niepokój znów w nim narastał. Ponownie zerknął na ciemną toń stawu ukrytego w lesie i na wystające z niego drzewa o niemal czarnej korze. Nie zdziwiłby się, gdyby to właśnie to miejsce wskazał zabójca, który prawdopodobnie zostawił kartę pamięci przy ciele Magdaleny Wirewicz. Ale to nie było tutaj. Po raz kolejny. Przez ostatni miesiąc obejrzeliby już co najmniej kilka takich urokliwych miejscówek. Okazało się, że w kaszubskich lasach jest całkiem sporo dzikich oczek wodnych.

– A w sumie to śmiesznie, komisarzu, z tymi drzewami, co? – odezwał się Gustlik.

– Co śmiesznie? – Korda wypuścił dym z płuc, nie odrywając wzroku od rozciągającej się przed nim wody.

– No bo „drzewo” to słowo, na które podobno nie reagują psychopaci – odparł starszy sierżant Gustowski. – A tak jakby to te drzewa są na tym filmiku kluczowe, nie?

– Jak to „podobno”? – Korda przeniósł pytające spojrzenie na policjanta.

– No rzekomo tak jest. W sensie słyszałem, że tak podobno jest, ale nie wiem, czy to prawda. Że jak się powie przy normalnym człowieku „drzewo”, to ten człowiek zapyta: „Ale co drzewo?”. A jak przy psychopacie padnie to określenie, to nic, cisza, pustka zupełna, zero odzewu – wyliczył Gustowski i z uśmiechem podniósł jedną brew.

Korda zmrużył oczy, zaciągnął się papierosem, wypuścił szary dym w powietrze.

– Ty to teraz wymyśliłeś, Gustlik – stwierdził i z rozbawieniem pokręcił głową.

– Co? Nie! Serio! Słyszałem tak – uparł się sierżant. – Na imprezie jakiejś czy coś. – Wzruszył ramionami.

– No dobra, powiedz reszcie, że się zawijamy – polecił Korda i jeszcze raz się rozejrzał.

Czarna, niezmacona woda, wyrastające z niej złamane wpół drzewa, gęsty las otaczający oczko. Wokół śpiewały ptaki. Tuż obok uaktywnił się dzięcioł, wydając w seriach wysokie, krótkie dźwięki. Po chwili zaczął donośnie bębnić w korę. Uderzenia o opadającym napięciu poniosły się po lesie echem.

„Co chcesz mi powiedzieć?” – zapytał w myślach detektyw. – „Że zrobisz to znowu?”.

– Komisarzu, idziemy?! – krzyknął do niego Gustlik.

Korda kiwnął głową i z irytacją pstryknął niedopałkiem do wody.

10

Wyciągnęła rękę do góry, kołysząc całym ciałem. Głębokie jak bicie serca basy wrzynały jej się w mózg. Parkiet sopockiego klubu Tan był wypełniony ludźmi. Po ich twarzach przebiegały stroboskopowe światła. Wyglądali jak nie z tego świata. Didżej zwolnił tempo, przeciągając napięcie do ostatniej sekundy, aż dźwięki wybuchły. Po sali przetoczyło się tornado emocji, a Alicja wirowała w samym jego środku.

Ciało się rozluźniło, adrenalina w organizmie powoli się podniosła, lecz nadal, gdy zamykała oczy, widziała obscurną kamienicę. Z perspektywy czasu ciemne piętra budynku wydawały się jej jeszcze bardziej mroczne i złowieszcze, choć sama sytuacja zaczynała trochę ją bawić. Przystawała rozumieć, czego aż tak bardzo się przestraszyła. Zwyczajny stary telewizor, kaseca VHS, porno jak każde inne. Czy na tym polega ta aplikacja? Jej twórcy aranżują różne miejscówki i pozostawiają w nich mniej lub bardziej szokujące przedmioty? *Sex sales. Past sales.* Producenci Place to Rest z pewnością to wiedzieli. Gdy pójdzie fama o tej kasecie, liczba użytkowników aplikacji na pewno raptownie skoczy. Każdy będzie chciał znaleźć coś równie dziwaczного i pokrętnego, przełamującego obowiązujące kanony piękna. Czy tego właśnie teraz ludzie pragną? Nie romansu, ale mrocznego pożądania, brudnego, taniego, dosłownego seksu wynikającego z instynktu, a nie z uczucia? Może to byłby dobry temat na artykuł?

Alicja otworzyła oczy i przesunęła wzrokiem po zatracających się w tańcu klubowiczach. Skąpo ubrane dziewczyny, młodzi mężczyźni w polówkach. Ciemnowłosa kobieta kręciła charakterystyczne kółka ramionami, długowłosa hipster podskakiwał, grupka studentek wymachiwała rękoma, przystojny brunet się kiwał, ktoś w czapce z daszkiem, zwiesiwszy wzrok, przystanął pod ścianą, ktoś coś

komuś mówił do ucha, starając się przekrzyczeć gwar. We krwi większości z nich przepływały alkohol i narkotyki. Pomarańczowo-niebieskie światła kładące się na ich twarzach nadawały im zwierzęcy wygląd. Każdy z nich w tej sekundzie chciał się odciąć od rzeczywistości. Świat realny im nie wystarczał. Potrzebowali uniesień, a aplikacja, którą testowała Alicja, z pewnością te uniesienia im ofiaruje. Dziennikarka miała w głowie gotowy pomysł na artykuł.

Uśmiechnęła się i skierowała w stronę łoży. Opadła na kanapę obitą welurem w kolorze pudrowego błękitu. Sięgnęła po różowego drinka z drewnianą słomką stojącego na okrągłym, lakierowanym stoliku.

– Gdybyś miała wybierać pomiędzy stałym, pewnie trochę nudnawym, acz bezpiecznym związkiem a dzikim, przygodnym seksem, to...? – powiedziała do siedzącej obok Ewy Damięckiej.

Ciemnowłosa koleżanka, wciśnięta w obcisłą krwistoczerwoną sukienkę podkreślającą spory biust, zawadiacko przekrzywiła głowę:

– No chyba nie myślisz, że przyszłam tu dzisiaj szukać swojej drugiej połówki. – Zaśmiała się.

– Nie jesteś już tym zmęczona? – westchnęła Alicja.

– A ty co? – Ewa uważnie jej się przyjrzała. – Stęskniłaś się za mężulkiem?

Męskie palce wbijające się w jej zuchwę.

– *Otwórz usta! Otwieraj!* – krzyczy Igor.

Gęsta ślina lądująca w jej buzi.

– Nie. Zdecydowanie nie – odpowiedziała Alicja przyjaciółce i duszkiem dopiła drinka.

– Jeszcze jeden? – Tuż nad nią stanął Aleks.

– Dzięki. Na dzisiaj pasuję. – Alicja wstała i poprawiła czarną sukienkę, która lekko podciągnęła się do góry. – Jutro mam rodzinny obiad.

– Koszmar – stęknęła Ewa.

– Koszmar – potwierdziła Alicja.

Aleksander Nowicki śledził wzrokiem, jak Alicja przechodzi wzdłuż korytarza wyłożonego drewnianymi lamelami i zmierza do wyjścia. Po jej skórze prześlizgiwały się kolorowe, geometryczne wzory.

– Oduść – powiedziała do niego Ewa. – Ona nigdy nie będzie twoja.

– Już jest – odparł.

– Nie w ten sposób.

Aleks nerwowo wychylił trzymanego w rękę shot. Uparcie patrzył za odchodzącą dziennikarką.

11

Detektyw przeciska się pomiędzy drzewami. Liście lekko smagają go w twarz. Słońce przebija się gdzieś ciepłymi, pomarańczowymi promieniami. Wokół śpiewają ptaki. Trelują szaleńczo, płomiennie. Wokół musi być ich tysiąc.

Dochodzi do stawu ukrytego pośród roślinności. Woda jest spokojna, jak lustro odbija niebo. Nagle śpiew ptaków ustaje. Zastępują go szczeknięcia dziecięła: jednostajne, jednosylabowe, terkoczące riririririririririririri. Świat niespodziewanie szarzeje. Liście na drzewach czernieją, jakby toczyła je choroba. Rozgląda się zdziwiony, obraca wokół własnej osi. Gdy Korda znów spogląda na toń stawu, kątem oka dostrzega pod roslým świerkiem postać mężczyzny w ciemnym kapturze, który siedzi okrakiem na nagiej kobiecie. Idzie w jego stronę, uparcie wpatrując się w odziane w czarną kurtkę plecy. Przysłaniają mu widok, a on tak bardzo jest ciekaw twarzy kobiety kryjącej się za postacią mężczyzny. Na razie widzi jedynie jej smukłe nogi leżące jedna przy drugiej, o skórze bladej jak papier. Choć wydawało mu się, że świerk jest kilka metrów od niego, droga wciąż wydłuża się pod jego stopami. W końcu dociera do celu, okrąża mężczyznę. Przystaje. Patrzy. Wokół głowy rozrzucono długie blond włosy. Twarz kobiety jest piękna, alabastrowa. Na przymkniętych, pudrowych powiekach dostrzega małe, niebieskie żyłki. Nagle oczy się otwierają. W tym samym momencie pochylający się nad blondynką mężczyzna przeciąga cienkim ostrym nożem po jej szyi. Krew sączy się po skórze, spływa po sterczących obojczykach. Korda cofa się o krok. Pod jego stopą cicho pęka sucha gałązka. Mężczyzna w kapturze natychmiast odwraca się w jego stronę. Bez chwili wahania wyciąga

rękę. Ostrze wrzyna się w twarz Kordy. Pozostawia palący, pulsujący ślad na jego policzku. Świat wokół obleka czerń.

Detektyw nagle się obudził. Otworzył oczy i przejechał palcami po bliźnie. Była gładka i zimna niczym woda stawu z jego snu. Po chwili wstał z łóżka, umył się, ubrał i bosy wyszedł na balkon mieszkania usytuowanego na dziesiątym piętrze bloku przy Tatrzańskiej w Kamiennym Potoku w Sopocie. Zapalił papierosa, wypuścił dym, który na chwilę przytłumił widok na granatowe morze ciągnące się po horyzont. Na barierce usiadła mewa. Korda spojrzał na nią kątem oka. 72P1. Tak ją nazwał od numeru, jaki nosiła na obrączce. Zasadniczo wyglądała tak samo jak inne mewy białogłowe. Miała białe upierzenie, popielate pokrywy skrzydłowe i grzbiet oraz czarne końcówki skrzydeł nakrapiane białymi plamkami. Ale jasnoczerwona plama na żuchwie żółtego dzioba była specyficznym wydłużoną. Zresztą 72P1 była mniejsza niż inne mewy, a odcień popielu na wierzchu ciała wpadał tu i ówdzie w granat. Korda nie przepadał za ptakami, ale ta mewa to co innego. Nie była też tak napastliwa jak inne rykisy. Stała spokojnie, uważnie spoglądając na niego bladożółtą tęczówką oka. Czekwała.

Oskar Korda wypalił papierosa, po czym podszedł do opartego o ścianę worka z karmą i, całkowicie ignorując wiszącą na drzwiach do klatki wejściowej kartkę o zakazie dokarmiania ptaków, wysypał ziarna na parapet. 72P1 odczekała, po czym przefrunęła na parapet i zaczęła jeść.

Korda przez chwilę patrzył, jak ptak dziobie, wykonując krótkie, proste ruchy głową.

Przed jego oczami znów pojawił się mężczyzna w kapturze ze snu. Krótki, mocny ruch ręką. Ściekająca z szyi krew.

Powiódł wzrokiem po rozciągającej się wokół przestrzeni. Morze, domy, lasy... ciemny las i chowający się w nim staw z wystającymi kikutami drzew.

Gdzie jest to miejsce?

Gdzie jest skurwysyn, który zabił Magdalenę Wirewicz?

Powoli zapadał zmrok. Liście gubiły ostrość, zlewały się ze sobą w jedną szarą masę. Tę porę dnia lubił najbardziej. Można było się w niej schować, stać się jednym z cieni. Wiatr znów się wzmógł. Szeleścił w konarach drzew, zagłuszając jego kroki. Mimo to starał się omijać wszystkie suche patyki, wszystkie gałęzie, których trzask mógłby go zdradzić.

Zerknął na wyświetlacz telefonu. Weronika była prawie na miejscu, więc musiał się spieszyć. Poczuł, że po skroni spływa mu strużka potu. Starł ją, a pot wsiąknął w czarną skórzaną rękawiczkę, którą miał na dłoni. Poprawił gabardynową, błękitnoszarą czapkę o czarnym twardym daszku, która nieco się przy tym przekrzywiła, i dalej piął się pod górę.

Minął punkt widokowy i górujące nad doliną wiekowe drzewo z pozostałościami huśtawki, na której przed laty bujały się dzieciaki z okolicy. Przystanął pod pokrytym mchem wzgórzem. Starał się opanować drżenie ciała, lecz ekscytacja narastała i przejmowała nad nim kontrolę. W tym momencie usłyszał jej westchnięcie. Instynktownie, niczym dzikie zwierzę, odwrócił głowę w kierunku, z którego doszedł go dźwięk. Jego źrenice rozszerzyły się. Organizm zaczął się uspokajać. Schował telefon do kieszeni i zaczął wspinać się na górę.

Dziewczyna pochylała się nisko nad ziemią, jakby czegoś szukała. Odwrócona do niego tyłem, nadal go nie zauważyła. Przyglądał się jej jasnym, rozrzuconym po plecach włosom, gibkiej sylwetce, smukłym ramionom. Zrobił krok do przodu, a ona natychmiast wstała i odwróciła się w jego stronę.

– O Boże – westchnęła. – Ale mnie pan przestraszył! – Złapała się za serce.

Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem i mimowolnie poprawił guzik u granatowej koszuli.

– Nie ma się czego bać – powiedział.

– Tak. Wiem – odpowiedziała blondynka, w roztargnieniu rozglądając się wokół.

– Szuka pani czegoś? – Mężczyzna powiódł za jej wzrokiem.

– Nieee. Tak tylko... grzybów szukam – odparła. – A pan co tu robi? – zaciekawiała się.

– Patroluję okolice. Wie pani, że w lesie zamordowano ostatnio dziewczynę? – Weronika kiwnęła głową. – Nie powinna pani przebywać tutaj po zmroku.

– Yhm. Tak, już idę – powiedziała spokojnie Weronika i skierowała się ku zboczemu znajdującym się za plecami mężczyzny.

– Strasznie pani podobna do tej zabitej dziewczyny – powiedział, gdy się ku niemu zbliżała.

Weronika skrzywiła twarz i wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę – powiedziała, przechodząc tuż obok.

– A jednak – szepnął.

Dziewczyna podniosła na niego wzrok, ściągnęła brwi i dopiero wtedy to dojrzała.

Czarne foliowe worki na jego stopach.

Chciała ruszyć przed siebie, lecz w tym momencie pociągnął ją za ramię i przyłożył do jej szyi nóż.

Jego ostrze było gorące. Intensywnie pachniało skórzaną rękawiczką.

– Spokojnie – szepnął. – Mówiłem, że nie ma się czego bać.

13

Mieszkanie było ciasnawe. Stół nakryto białą serwetą. W powietrzu unosił się zapach mięsnego sosu.

– Zaprosiłem jeszcze twoją mamę – powiedział Zenon Grabski. – Nie gniewasz się? – upewnił się.

Na twarzy ojca pojawił się przeproszący uśmiech. Wokół grafitowych oczu, które odziedziczyła po nim Alicja, utworzyły się drobne zmarszczki.

– Nie ma problemu – odpowiedziała Alicja, choć poczuła nagły dyskomfort.

– Bardzo jej zależało – dodał ojciec i bezwiednie położył rękę na wystającym, piwnym brzuchu.

– Tak, jej zawsze zależy, szkoda tylko, że to nic nie znaczy.

– Jesteś dla niej zbyt surowa. Zawsze byłaś – łagodnym tonem stwierdził Grabski.

– Czyżby? – prychnęła Alicja.

Zenon Grabski pogładził czule córkę po głowie, westchnął i oddalił się do kuchni. Miał dobre serce, dlatego zawsze usprawiedliwiał matkę. Nawet wtedy, gdy ta zaczęła go zdradzać, kiedy Alicja miała cztery lata. Alicja pamiętała z tego okresu przede wszystkim krzyki matki i płacz ojca. I ten jego przepraszający uśmiech, dokładnie taki jak teraz. Często nim ją wtedy obdarzał. Jakby wszystko, co wtedy się działo, było jego winą.

– *Może powinniście się w końcu rozwieść? Nie będzie mi smutno – powiedziała w końcu Alicja, stając w drzwiach dużego pokoju.*

W rogu paliły się światła na choince, którą tego dnia dziewczynka ubierała z ojcem. Matka nagle znieruchomiała. Wzrok miała pusty, zupełnie wyblakły. Zenon Grabski wyprowadził się w wigilię Bożego Narodzenia. Alicja chciała pójść z nim, ale uzgodniono, że powinna zostać przy matce.

Czy dziś Alicja byłaby kimś innym, gdyby wtedy stało się odwrotnie?

– Ziemniaki już dochodzą! – krzyknęła Pamela. – Zaraz podajemy.

Pulchna dziewczyna ojca stała przy garnkach parujących na kuchence. Gospodarna, pracowita, jak zawsze lekko się uśmiechała. Była niewiele starsza od Alicji i dziennikarka nie do końca rozumiała, co sprawiło, że wybrała właśnie Zenona Grabskiego. Ale najważniejsze, że ojciec był przy niej szczęśliwy. W końcu. Wiele lat mu zajęło, by zapomnieć o matce i znaleźć sobie kogoś.

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

Pamela zerwała się, by otworzyć. Matka i Hans, z którym związała się już kilka lat temu, po wielu innych, krótszych i dłuższych nieudanych relacjach. Beata Rostocka i pochodzący ze Szwecji Hans Carlsson pasowali do siebie jak ulał. Oboje pełni dystansu, zimni jak ryby, uzależnieni od sekt religijnych, które zmieniali jak rękawiczki.

Zajęli miejsca przy stole. Zapadło krępujące milczenie. Po chwili przerwał je Hans:

– Jak tam, Alicja? Poznałaś w końcu kogoś czy nadal jesteś samotna?

Alicja popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Jestem sama. Nie samotna – odparła po chwili, walcząc z opanowującymi ją emocjami.

Hans pokiwał głową. Nie wiedziała, czy rozumiał różnicę.

– Tak? To co u Igora? – zapytała nagle matka.

Dziennikarka zacisnęła palce w pięści.

– Nie wiem, mamó, co u mojego byłego męża – odparła cierpko.

– Igorek to wesoły był. Przy nim czas milej leciał. Poczucie humoru miał, żart inteligentny... – kontynuowała Beata Rostocka.

– I twardą rękę też miał – zirytowała się Alicja.

Matka syknęła. Nadal nie wierzyła, że jej ulubieniec namiętnie łoł jej córkę. Może nie chciała wierzyć, a może nie miało to dla niej po prostu znaczenia.

– Mogłabyś mu dać drugą szansę. Albo porozmawiać chociaż. To w końcu twój mąż.

– Były mąż, mamó – zirytowała się jeszcze bardziej Alicja.

– Przed Bogiem to nadal mąż i żaden papierek tego nie zmieni. A on... Stara się bardzo. I chciałby cię zobaczyć, wyjaśnić.

Grabska zacisnęła pięści. Cała matka. Sama zdradzała męża, rozwodziła się i wchodziła w nowe związki, a teraz pieprzyła o niepodważalności przysięgi małżeńskiej. Hipokryzja Beaty Rostockiej dobijała Alicję całe życie.

– Nie ma co wyjaśniać, mamó – syknęła z narastającą furją. – Dałam mu wiele szans. I żadnej nie wykorzystał.

– Dziewczyny, może zmienimy temat? – Zenon Grabski postawił na stole talerz z ziemniakami.

Znów uśmiechnął się przepaszająco. Alicji powoli zbierało się na mdłości.

Pamela wniosła misę z pieczenią w sosie własnym.

– No, jemy! – powiedziała przejęta. – Tę pieczeń to ja marynowałam dwa dni. W oleju rzepakowym, sosie sojowym, miodzie. Dodałam też przeciśnięte przez praskę ząbki czosnku, tymianek, ostrą paprykę, no i oczywiście sól do smaku – trajkotała. – Beata, nałożyć ci?

– Nie, dziękuję. – Matka zasłoniła ręką talerz. – Nie jadam mięsa.

Alicja podniosła wzrok.

– Od kiedy? – warknęła.

– Od kilku miesięcy – odparła Beata Rostocka. – Przechodzę duchową metamorfozę, oczyszczam się z potrzeb ciała. Odstawiłam

też kawę, herbatę i miód, słodcyce oczywiście. Nie oglądam też telewizji, nie chodzę do...

– Nowa sekta? – cierpko przerwała jej Alicja.

– Wiara, Alicjo, wiara – zaczęła matka.

Dziennikarka raptownie wstała. Z nieprzyjemnym zgrzytnięciem odsunęła krzesło.

– Ala, wszystko dobrze? – zaniepokoił się ojciec.

– Przepraszam, mam jeszcze coś do zrobienia – powiedziała z roztargnieniem. – Muszę iść. – Przepisnęła się pomiędzy ścianą a stołem.

– Nawet nie spróbowałaś pieczeni – stęknęła Pamela.

– Wiem, przepraszam, następnym razem. – Alicja uśmiechnęła się pojednawczo.

Dokładnie tak jak ojciec.

Nie znosiła tego uśmiechu.

14

Wsiadła do auta i z całą mocą zatrzęsnęła za sobą drzwi. Zacisnęła palce na kierownicy. Miała ochotę krzyknąć. Alicja nigdy nie była dla matki wystarczająco udana. Nie była w jej oczach piękna, mądra, dobra, najlepsza – jak dzieci dla innych matek. Przypomniała sobie, jak kiedyś przeprowadzała wywiad z trójmiejską pisarką, która kilka miesięcy wcześniej urodziła córeczkę. „Moja doskonałość” – tak powiedziała o swoim dziecku. Miała wtedy tę minę... minę, którą Alicja nie raz widziała u młodych matek. Duma. Chyba to właśnie najbardziej z niej wyzierało. Dziennikarkę zawsze zaskakiwało, że dzieci obdarzane są bezwarunkową miłością tak zupełnie na starcie – za to, że się uśmiechają, wyciągają rączki, podnoszą główkę. Alicja całe życie też starała się na to zapracować, zaimponować Beacie Rostockiej. Przynosiła do domu najlepsze stopnie, skończyła studia z wyróżnieniem, z sukcesami pracowała w kilku redakcjach, ale nigdy w oczach matki nie dostrzegła dumy. Puszczalska, za mocno się malowała, zbyt przypominała uległego ojca – taki obraz samej siebie zdołała zbudować w córce Rostocka. Z pewnością

w przekonaniu matki Alicja zasługiwała na to, by być katowaną przez męża; zasługiwała na to, by być ofiarą.

Dziennikarka uderzyła pięścią w kierownicę. Głośny klakson przeciął powietrze. Kilku przechodniów nieufnie spojrzło jej w twarz. Nazbyt dobrze znała to spojrzenie.

Musiała się uspokoić, musiała odreagować. Wzięła głęboki wdech. „Wrócę do domu, przebiorę się i zrobię długą przebieżkę brzegiem morza” – postanowiła, lecz wcale nie poczuła się lepiej. Wiedziała, że ukoić ją mogło tylko dobrze schłodzone wino. Miała ochotę zupełnie odpłynąć, pozbawić się czucia, do minimum osłabić zmysły. Przejechała językiem po zaschniętych wargach i zdecydowanym ruchem przekreśliła kluczyk w stacyjce. Wrzuciła bieg, gotowa, by ruszyć, ale jej wzrok zatrzymał się na przechodzącej chodnikiem dziewczynie. Blond włosy, czarny, mocny makijaż oczu, sukienka w kwiatki i wojskowe buty. Wyglądała jak Alicja w czasach liceum. Gdzie by teraz była, gdyby nie wyszła za Igora?

Otwórz usta! Otwieraj!

Przymknęła oczy. Znów poczuła w ustach smak wina.

Rozpłynąć się. Nie być.

Nie. Nie mogła znów sobie na to pozwolić.

Chwyliła telefon. Odszukała aplikację i wcisnęła przycisk „szukaj”. Po chwili na mapie pojawił się mały punkcik. Dostępna lokalizacja znajdowała się niedaleko. W pobliskim lesie.

Alicja przycisnęła gaz i skupiła się na celu. Po kilku minutach zaparkowała auto na parkingu nieopodal Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Gdańskiego. Zmieniła buty i prężnym krokiem wyskoczyła ze swojej toyoty C-HR. Z ulicy 23 Marca skręciła w Piaskową. Po kilkunastu metrach wkroczyła na utwardzoną kamieniami ścieżkę, z której zoczyła w liściasty las. Truchtem zaczęła wbiegać po wzgórzu porośniętym mchami i poprzecinanym grubymi korzeniami drzew. Doskonale znała tę drogę. Prowadziła na punkt widokowy przy Wzniesieniu Strzeleckim. Po chwili dotarła do prowizorycznych schodków z betonowych płyt przy balustradzie zbitej z cienkich pni. Raz, dwa. Raz, dwa – w tempie wspinała się pod stromą górę. W jej organizmie stopniowo zaczęły wydzielać się endorfiny. Las bujnie zielenił się w słońcu. Ptaki śpiewały wesoło.

– *Chodź* – Radek odwrócił ku niej głowę i wyciągnął rękę. – *Pomogę ci.*

Jego dłoń była chłodna i mocna. Od razu zrobiło się lżej.

Jak potoczyłoby się jej życie, gdyby to z nim zdecydowała się je spędzić?

Uśmiechnęła się na tę myśl. Poczwała nagłą tęsknotę za tamtym czasem.

Lekko zziębnięta dotarła na szczyt. Jeszcze pięć stopni i znalazła się na tarasie widokowym otoczonym zielonymi metalowymi barierkami. Przed nią rozpościerało się okolone morzem Trójmiasto; pomarańczowe dachy sopockich kamienic, strome wieżyczki kościołów, latarnia morska, dom zdrojowy, molo. Po lewej bloki na Przymorzu wyrastające spośród gęstych drzew. W oddali niczym senne potwory majaczyły stoczniove dźwigi w Gdańsku. Wzięła głęboki oddech. Poczwała spokój.

Zerknęła na wyświetlacz telefonu. Cel znajdował się kilkaset metrów dalej. Jeszcze kilka minut podelektowała się panoramą, po czym w zdecydowanie lepszym nastroju znów ruszyła w głąb lasu.

„Chodź, coś ci pokażę” – znów usłyszała w głowie głos Radka.

Po lewej stronie ścieżki zarysowała się przepaść. Kiedyś dolina nie była tak stroma. W liceum Igor zainstalował nawet huśtawkę na jednym ze stojących tam wiekowych drzew. Całą brygadą chodzili tu grać w noża. Zabawa polegała na tym, by wychylić się z huśtawki tak mocno, by jak najdalej wbić w ziemię trzymany w rękę nóż. Kolejna osoba musiała wyciągnąć ostrze z ziemi i poprawić rekord. Alicja była całkiem niezła w tej grze. Wodziła teraz wzrokiem po drzewach. Jest! Szary, zbutwiały sznur nadal wisiał na wysoko osadzonej, ciężkiej, grubej gałęzi, która w ciągu niemal dwóch dekad wspięła się jeszcze wyżej ku niebu. Ze zdumieniem pokręciła głową. Niemal poczuła się tak, jakby przeniosła się w czasie.

Rzuciła okiem na aplikację. Do punktu docelowego brakowało jej już tylko kilkunastu metrów. Zboczyła z krętej, ciągnącej się nad doliną ścieżki i raz jeszcze zaczęła wdrapywać się pod górę. Wilgotną glebę pokrywała warstwa zgniłych, brązowych liści, które przylepiały się do podeszew jej adidasów.

Dotarła na sam szczyt i natychmiast zaczęła się cofać. Nim w amoku zjechała po zboczu wzgórza, dostrzegła rozrzucone niczym

promienie słońca blond włosy i ciemne jak otchłań cięcie na długiej, bladej szyi nagiej dziewczyny leżącej na ziemi.

15

Na pewno tym razem była młodsza. Prawdopodobnie w wieku licealnym. Jak ją tu zwabił? Opierała się czy przyszła z własnej woli? Bała się, a może ufała mu do ostatniej chwili?

Detektyw Oskar Korda patrzył na nagie, szczupłe ciało o sterczącym w górę niewielkim biuście, które szczelnie otulono liśćmi; ich zgniły kolor zupełnie nie pasował do jasnej, dziewczęcej, niemal doskonałej skóry, nienoszącej jeszcze żadnych oznak upływu czasu. Tak samo jak u poprzedniej ofiary, prawa dłoń spoczywała pomiędzy piersiami, lewa zakrywała podbrzusze. Wyciągnięte na ziemi nogi były długie i smukłe, paznokcie stóp pomalowano na czerwono. Przyczyna śmierci była ewidentna: przez szyję dziewczyny przebiegała krwawa rana cięta o równych brzegach i gładkich ścianach. Może troszkę dłuższa niż u zamordowanej miesiąc wcześniej studentki dziennikarstwa. To nie mógł być naśladowca – ze względu na dobro śledztwa nie podali takich szczegółów mediom.

Detektyw przykucnął obok głowy dziewczyny. Przyjrzał się krwawym plamom biegnącym ku jej karkowi i misternie ułożonym, jak u Meduzy, blond włosom. Następnie przeniósł wzrok na twarz – miała zdumiewająco spokojny wyraz, bez żadnego napięcia. Otwarte oczy wydawały się puste i pozbawione emocji, niemal jakby dziewczyna nie zdążyła się zorientować, że jej życie zaraz się zakończy.

– Szukasz w źrenicach odbicia mordercy? – Ubrany w biały kombinezon lekarz medycyny sądowej i jednocześnie kierownik zespołu oględzinowego Maciej Grzymała zaśmiał się.

Niewysoki blondyn o jasnym zaroście, który najwyraźniej niedawno zaczął zapuszczać, był najmłodszym w historii szefem Zakładu Medycyny Sądowej na gdańskich Dębinkach, ale z nikim nie pracowało się Kordzie tak dobrze jak właśnie z nim.

– Prawdę mówiąc, tak – przyznał Korda, mrużąc oczy.

– Taaa, gdyby tylko to było możliwe, miałbym zdecydowanie łatwiejszą pracę – westchnął Grzymała.

– Co już wiemy? – Korda nie odrywał wzroku od twarzy zamordowanej dziewczyny.

– Kobieta w wieku siedemnastu–dziewiętnastu lat. Wzrost metr sześćdziesiąt osiem, budowa ciała mezomorficzna. Śmierć nastąpiła w wyniku wykrwawienia w związku z zadaniem rany ciętej uszkadzającej obie tętnice. Miejsce odnalezienia ciała tożsame z miejscem dokonania morderstwa, o czym świadczy rozbryzg krwi na liściach i ziemi. Brak ran postrzałowych, kłutych, tłuczonych, rąbanych, nie ma złamań kości. Nie odnotowaliśmy też otarć naskórka oraz siniaków, które mogłyby wskazywać na samoobronę. Czy ofiara odniosła jakieś urazy wewnętrzne, dowiemy się już podczas sekcji, choć intuicja i praktyka podpowiadają mi, że takowych nie znajdziemy.

– Kiedy nastąpił zgon?

– Znamiona śmierci wczesne. Rogówka oka otwartego wyschnięta, analogicznie do czerwieni wargowej i opuszek palców. Z związku z krwotokiem zewnętrznym brak plam opadowych. Ciało zimne i sztywne. Steżenie pośmiertne w pełni rozwinięte we wszystkich mięśniach, nieustępujące. Myślę, że od zgonu ofiary musiało minąć nie więcej niż dwadzieścia godzin.

– Narzędzie zbrodni?

Grzymała podniósł lekko ręce, rozprostował palce.

– Narzędzie ostre, o cienkim przekroju. Jeśli to ten sam sprawca, co w przypadku Magdaleny Wirewicz, a wszystko wskazuje na to, że tak, obstawiałbym myśliwską finkę.

– Jakież ślady pozostawione przez sprawcę? – dopytał Korda.

– Nieliczne ślady pochodzenia biologicznego: trochę ziemi, runa leśnego, ale generalnie ciało zostało skrupulatnie wyczyszczone. Na oko brak oznak gwałtu. Zespół nadal zbiera ślady z okolic miejsca zbrodni, ale wygląda na to, że sprawca wykorzystał ochraniacze na buty. Paluchów też raczej nie znajdziemy. Tym razem poszło mu dużo lepiej niż za pierwszym razem.

Detektyw pokiwał głową. Wstał z kucek i rozejrzał się. Pomiędzy drzewami krzątali się technicy w białych kombinezonach, okularach i czepkach ochronnych, z pędzlami i woreczkami strunowymi

w rękach. Wykwalifikowany rysownik sporządzał szkice miejsca zdarzenia, fotograf uwieczniał oględziny aparatem fotograficznym.

– Czyli nic nie mamy? – Korda zacisnął pięści.

„Kim jesteś? Kim, do cholery?” – pomyślał ze złością.

– Nie do końca. – Grzymała uśmiechnął się i wyciągnął przed siebie woreczek. Na jego dnie leżała karta pamięci. – Znaleźliśmy ją tuż przy ciele ofiary. Brak odcisków, oczywiście. Wpisana na listę. Możesz śmiało brać. – Podał zawiniątko Kordzie.

– Dzięki – powiedział detektyw. Odsuwając się od ciała, zwrócił się do stojącego nieopodal starszego sierżanta, Adama Gustowskiego: – Odkryliście jakiś zbiornik wodny nieopodal?

– Nadal szukamy – odparł Gustlik. – Będę kodował, jak coś. Ale to raczej nie tu.

– Myślisz? – Korda spojrzał cynicznie na kolegę. – W co ten dupek pogrywa...? – Zawiesił głos, rozglądając się dokoła. Po chwili schował woreczek z kartą pamięci do kieszeni. – No dobra, to dawaj mi tę babkę, co znalazła ciało.

Starszy sierżant poprowadził Kordę w dół i wskazał na stojące pod jednym z drzew krzesło. Siedziała na nim otulona kocem kobieta. Detektyw stanął naprzeciwko niej, a ta podniosła głowę.

16

Patrzył obojętnie, surowo. Miał ciemne, niemal czarne źrenice, dwudniowy zarost i lekko falujące włosy bezpretensjonalnie opadające na bok. Przez jego prawy policzek biegła cienka blizna zatrzymująca się tuż przy linii ust.

– Pani Alicja Grabska. – Zerknął na trzymany w ręku dokument z zeznaniami. – To pani odnalazła ciało. Przechadzała się pani po lesie w związku z grą terenową, czy tak? – Podniósł na nią wzrok.

– Można tak powiedzieć. Tłumaczyłam już tamtemu policjantowi... – westchnęła dziennikarka.

– Proszę wytłumaczyć jeszcze raz – powiedział twardo Korda. – Bo kolega albo bawił się w prezydenta, albo lubi hieroglify. – Z dezaprobatą zerknął kątem oka na stojącego obok Gustlika.

– Cóż, może trochę przesadziłem z artyzmem... – Gustowski wzruszył ramionami.

Korda puścił komentarz mimo uszu i wyczekująco patrzył na Alicję. Przez chwilę mierzyła go wzrokiem, po czym ponownie zaczęła relacjonować:

– Pracuję w „Dzienniku Trójmiejskim” i dostałam zadanie przetestowania aplikacji, która niedawno weszła na rynek. Aplikacja w założeniu losowo prowadzi do miejsc, w których użytkownik ma doświadczyć czegoś, ehm, inspirującego.

– W takim razie aplikacja działa wręcz wzorowo – skonstatował detektyw beznamiętnym głosem.

– Prawda? – zgryźliwie odparła Grabska. – Wrażenia zupełnie bezcenne. – Skrzywiła usta w ironicznym uśmiechu.

– I ta aplikacja... – Korda pytająco zawiesił głos.

– Place to Rest – odpowiedział Gustlik.

– Place to Rest... Hmm, znów strzał w dziesiątkę. – Korda wydał się tym razem prawdziwie rozbawiony. – Tak. A więc ta aplikacja, Place to Rest, poprowadziła panią dokładnie w to miejsce, tak?

– Mniej więcej – odparła Alicja. – Jej system nawigacyjny nie jest aż tak zaawansowany, by wskazać miejsce co do metra. Z tego, co zdążyłam zauważyć, jej GPS raczej po prostu zawęży granice poszukiwań.

– Czyli nie jest pani pewna, czy aplikacja prowadziła panią konkretnie do ciała?

– Nie. Nie jestem pewna. Równie dobrze mógł to być przypadek, choć... – Grabska zawiesiła głos.

– Tak? – zainteresował się Korda.

– Wcześniej też trafiłam na kilka dość niestandardowych, że tak to ujmę, scenerii. Za pierwszym razem aplikacja zaprowadziła mnie do wieży widokowej, nieopodal której natknęłam się na... parę uprawiającą seks. – Alicja starała się przybrać możliwie najbardziej neutralny ton. – Natomiast za drugim razem powiodła mnie do opuszczonej kamienicy. Tam znalazłam stary telewizor i magnetowid. – Urwała.

– Okej – podsumował detektyw. – To faktycznie dość niestandardowe, choć do ciała zamordowanego człowieka nadal daleko...

– W magnetowidzie znajdowała się kasetka z porno – przerwała mu Grabska. – A tu, z tego, co widzę, mamy nagą kobietę. Może to nic nie znaczy, a może tak. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą to pan jest detektywem. – Spojrzała wymownie na Kordę.

Zapadła cisza, w ciągu której dziennikarka mierzyła się wzrokiem z detektywem.

– Oczywiście, zbadamy sprawę pod tym kątem – powiedział w końcu Korda. – Jutro spiszę bardziej szczegółowe zeznania, dobrze? – Alicja skinęła głową. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. – A teraz odwiozę panią do domu – oznajmił. – Proszę mi tylko dać jeszcze kilka minut.

Korda oddalił się, nie czekając na odpowiedź. Odprowadził go zdziwiony wzrok starszego sierżanta Adama Gustowskiego.

17

Wysadzona konarami ścieżka ostro opadała w dół. Las gubił się w szarości. Uważnie stawiała kroki. Detektyw szedł obok. Jego postać niemal nie odcinała się od mrocznego tła drzew. Wyraźnie wyczuwała za to jego zapach. Papierosowy dym i korzenne perfumy.

– Samochód stoi tuż za zakrętem. Udało mi się przejechać większą część leśnej drogi – powiedział Korda, pewnie idąc przed siebie.

Najwyraźniej poruszanie się w narastającej ciemności nie sprawiało mu problemu.

W końcu dotarli do czarnej, o tej porze i w tych okolicznościach niemal niewidocznej, alfy romeo 159, którą jeździł Korda. Detektyw otworzył przed Alicją przednie drzwi pasażera, a gdy wsiadła do środka, delikatnie, niemal bezszelestnie je za nią zamknął.

Ostre przednie światła wydobyły grube, pokryte mchem konary ciągnące się po obu stronach piaszczystej drogi. Kamienie, częściowo ukryte pod nawierzchnią, połyskiwały bielą. Ruszyli. Samochód podskakiwał na nierównościach. Światła prześlizgiwały się po krzakach i mieniących się liściach. Stojąca kilka metrów przed nimi sarna podniosła łeb i zamarła. Nim uciekła w ciemność, jej oczy zajaśniały, jakby była jakimś nadprzyrodzonym stworzeniem.

W końcu wyjechali na jedną z sopockich ulic.

– Mieszkasz tam, gdzie kiedyś? – zapytał Korda.

Bezgłośnie skinęła głową. Choć na nią nie patrzył, wiedziała, że odczytał jej gest.

– Co u ciebie? – zapytał.

Zważywszy na okoliczności, zabrzmiało to źle. Skrzywił się, a sunąca przez jego policzek blizna charakterystycznie się podniosła.

– W porządku – szepnęła.

– Miałem zadzwonić, ale... – zaczął.

– Ale powiedziałam, żebyś nie dzwonił – dokończyła cicho.

Czuła się jak we śnie. Słowa wypływały z jej ust powoli i ciężko.

Detektyw przystanął pod kamienicą przy Haffnera.

Wysiadła bez pożegnania i weszła do klatki, niemal szurając nogami. Miała nieodparte wrażenie, że mężczyzna odprowadza ją wzrokiem.

18

W klubie Trzy Siostry przy Grunwaldzkiej w Sopocie połyskują świąteczne światełka. Rozświetlają całą gamę butelek z alkoholami stojących na półkach. Wokół panuje gwar. Głośna muzyka miesza się z rozmowami, piskami i śmiechami i rozbrzmiewa prawdziwą kakofonią. Przez poruszający się w wielu różnych kierunkach tłum przepycha się do baru Oskar Korda.

– Dwie zmrożone wódki – rzuca.

Barman kiwa głową i mechanicznym ruchem chwytą stojącą w zamrażarce butelkę.

Tuż obok z tłumu wyłania się kobieta. Kocim ruchem wbija się pomiędzy niego a chudzielca, który od dłuższej chwili próbuje zamówić cokolwiek, a który stał tu na długo przed tym, nim przy barze zjawił się Korda. Kobieta pachnie cytrusami, ambrawą i drzewem sandałowym. Może to ten zapach sprawia, że Oskar zwraca na nią uwagę, a nie fakt, że wbija łokieć w jego żebro. W każdym razie Korda zerka na nią kątem oka. Kobieta ma długie blond włosy i prosty, kształtny nos. Musi być spragniona, bo zmysłowe usta zwilża językiem.

Barman stawia na ladzie dwie zmrożone wódki.

– O! Widzę, że zamówiłeś też dla mnie – mówi blondynka i z rozbawieniem patrzy Kordzie prosto w oczy.

Jej grafitowe tęczyówki cholernie pasują do całej reszty twarzy.

Korda bez słowa podsuwa jej jeden z kieliszków.

– Dziękuję. Żartowałam tylko.

Jak na osobę o tak drobnej posturze jej głos jest zaskakująco głęboki i niski.

– Na zdrowie – mówi detektyw i, nie odrywając kieliszka od podłoża, stuka nim w podsunięte kobiecie szkło.

Wypija i odstawia kieliszek. Odwraca głowę w jej stronę i szelmowsko się uśmiecha. To wtedy kobieta zauważa bliźnę przecinającą jego prawy policzek. Jej twarz na chwilę się zmienia, tak jakby dostrzegła w nim jakiś mrok, którego nie potrafią zatuszować ani głośna muzyka, ani otaczające ich głosy, ani nawet uśmiech mężczyzny, który zresztą nie jest do końca uśmiechem.

Blondynka sięga po kieliszek i opróżnia go jednym haustem. Krzywi się z niesmakiem.

– Ale to było zło – kwituje.

Korda wybucha szczerym śmiechem.

– Oskar. – Wyciąga do niej rękę.

– Alicja. – Podaje mu dłoń kobieta.

Zaczynają rozmawiać, przekrzykując innych. W międzyczasie zamawiają kolejne shoty, które Alicja popija colą. Nagle muzyka się zmienia. Klub wypełniają nastrojowe, powolne dźwięki, które zawieszają wszystko w czasie. Bez słowa patrzą sobie w oczy. Jest w tym spojrzeniu zadziwiająca bliskość. Przerazająca bliskość. Żadne z nich tej bliskości nie pragnie. Korda nachyla się więc Alicji do ucha i szepcze:

– Założę się, że pieprzysz się jak mała suczka.

– Przekonajmy się – odpowiada ona i ciągnie go za rękę.

Detektyw Oskar Korda uśmiechnął się na wspomnienie poznania Alicji Grabskiej jakieś pół roku temu. Wsiadł z auta i skierował się do klatki bloku przy Tatrzańskiej. Wjechał na ostatnie piętro ciasną, chyboczącą windą. Wszedł do mieszkania, rzucił klucze na stojącą w przedpokoju komodę, rozebrał się i skierował prosto do kuchni. Umył ręce i wyciągnął z lodówki jasne, warzone w Lęborku piwo

Nipkov, które kupił w gdyńskim barze Ale Browar. Kapsel z charakterystycznym sykiem odskoczył od butelki i wylądował w zlewie. Pociągnął łyka. Piwo było lekkie, z niską goryczką. Idealne, by ugasić pragnienie. Wypił duszkiem połowę, po czym przeszedł do dużego pokoju. Otworzył okno, wpuszczając do środka ciepłe majowe powietrze. Usiadł przy biurku i wyciągnął z woreczka strunowego kartę pamięci do aparatu fotograficznego znalezionej przy ciele dziewczyny. Siedemnastolatki, bo do tej pory udało im się ustalić tożsamość ofiary. Weronika Mazur była uczennicą sopockiego liceum. Mieszkała wraz z rodzicami i siostrą w Orłowie. Policjanci już zawiadomili rodzinę, którą Korda będzie musiał jutro przesłuchać.

Na razie detektyw odepchnął tę myśl. Mierzenie się z cierpieniem rodzin ofiar stanowiło zdecydowanie najgorszy element jego pracy. Wsadził kartę do laptopa. W folderze, który wyświetlił się na pulpicie, znajdował się jeden plik mp4, bez żadnej nazwy. Nim detektyw go odpalił, wszedł we właściwości. Oczywiście specjaliści już to zrobili wcześniej, ale Korda lubił sprawdzać wszystko samodzielnie. Wszystkie dane zostały zabezpieczone. Nie dało się nawet odczytać daty utworzenia filmu.

Zamknął okienko i dwukrotnie kliknął w dokument. Na ekranie znów pojawiło się tamto miejsce. Ukryty w lesie staw, z którego wyrastają suche, wątle kikuty drzew. Tym razem na smętnie przesuającym się obrazie pojawiło się coś jeszcze. Przebitki nagrań, na których wyraźnie widać pierwszą z ofiar – Magdalenę Wirewicz. Kobieta idzie po ulicy, kupuje coś w sklepie, stoi przed budynkiem wydziału dziennikarstwa, w końcu leży wśród liści z poderżniętym gardłem.

Detektyw zatrzymał ostatnią z klitek. Studentka nie była przypadkową, anonimową ofiarą. Zabójca ją śledził, i to być może od dłuższego czasu. Znał jej zwyczaje i ścieżki. Najpewniej już wcześniej fantazjował o momencie dokonania cięcia na jej szyi, z wyprzedzeniem zaplanował swój czyn. Tak samo musiało być z Weroniką Mazur.

Jednak czy zdołał nawiązać ze swoimi ofiarami głębszą relację? Czy kiedykolwiek z nimi rozmawiał, czy jedynie obserwował je z ukrycia?

Korda wiedział, że znalezienie odpowiedzi na te pytania wymaga dogłębnego zbadania ostatnich tygodni życia zamordowanych dziewczyn. W przypadku studentki dziennikarstwa nie udało im się ustalić niczego podejrzanego. Miał nadzieję, że śledztwo dotyczące śmierci Weroniki Mazur przyniesie inne rezultaty.

Musieli się spieszyć.

Sprawca najprawdopodobniej już wybierał kolejną ofiarę.

19

Huśtawka wlatuje coraz wyżej. Nogi majtają się w powietrzu. Bierze kolejny zamach stopami i przerzuca ciężar ciała do tyłu. W brzuchu czuje gilgotanie – oznakę przyjemności połączonej z absurdalnym lękiem. Patrzy na prawą rękę. W dłoni trzyma nóż. No tak, wyciągnęła go przecież przed chwilą z ziemi. Znów zamachuje się nogami, zerka w tył: wzbija się w górę, tuż nad stromą leśną skarpe. Gdy zaczyna opadać, wyciąga się jak struna i wysuwa rękę przed siebie jak najdalej może. Robi zamach i wbija nóż w skarpe. Wzlatuje do przodu i znów patrzy za siebie. Udało jej się go wetknąć naprawdę wysoko, jeszcze nikt nie osiągnął dziś tak dobrego wyniku. Uśmiechnięta, odwraca głowę w stronę przepaści i wtedy czuje silne szczypanie. Dotyka szyi. Na jej palcach zostaje krew. Dużo krwi. Spanikowana rozgląda się wokół siebie. Noża nie ma już w ziemi. Ktoś musiał go zabrać. Ale kto? Przecież nikogo tam nie było. A ona nie potrafi zatrzymać huśtawki, choć krew cieknie z szyi coraz mocniej, znacząc skarpe na czerwono.

Obudziła się złana potem. Złapała się za szyję. To był tylko sen. Tylko sen.

Ale tamta dziewczyna leżała tam wczoraj naprawdę, przypomniała sobie Alicja. Nie przyśniła sobie tego, nie wymyśliła. Blondynka leżała tam naga, z przeciętą szyją, wśród zgniłych liści.

Grabska z trudem wstała z łóżka i powlokła się do łazienki. Odkręciła kurek ciepłej wody, zrzuciła koszulkę i weszła pod prysznic. Lecząca z deszczownicy woda zmoczyła jej włosy i twarz. Oparła dłonie o białe, połyskujące kafle i zwiesiła głowę, szeroko rozchylając usta. Woda uderzała w kark, masowała plecy i ramiona.

Szeroko otwarte oczy. Błękitne tęczęwki. Jasna, napięta skóra na klatce piersiowej, pobrudzona smugą zastygłej krwi.

Niepotrzebnie tam wracała. Gdy zadzwoniła pod 112, nie mogła poskromić ciekawości i ponownie wdrapała się na leśne wzgórze. Stała nad ciałem i wpatrywała się w nie tak długo, aż usłyszała dźwięk zbliżającej się karetki. Wtedy się ocknęła i szybko ześlizgnęła się w dół, jakby sam fakt, że ktoś mógłby ją tam przyłapać, był wstydlivy. Teraz nie mogła pozbyć się tego widoku z głowy; zapętleł się jak GIF i wciąż odtwarzał na nowo.

Woda nie potrafiła wypłukać obrazu z umysłu, choć stała tak długi czas. W końcu zakręciła kurek i owinęła się w ręcznik. Podeszła do zaparowanego lustra. Chwilę wpatrywała się w widmo swojego odbicia, po czym przejechała dłonią po tafli, zbierając wilgoć. Pod oczami dojrzała szare cienie. Jej spojrzenie było puste, kompletnie pozbawione uczuć.

Włożyła szlafrok i przeszła do kuchni. Wstawiła wodę, a do kubka wsypała dwie kopiaste łyżeczki mielonej kawy. Liczyła na to, że napój postawi ją do pionu na tyle, by mogła pójść do pracy. Podeszła do okna i apatycznie wpatrzyła się w przestrzeń. Nie mogła skupić wzroku. Jej umysł był tak wyczerpany, że rzeczywistość trochę się jej rozjeżdżała. Zbierz się do kupy, nakazała sobie i zawiesiła spojrzenie na śmietnikach stojących tuż przy płocie. Nagle jakaś postać mignęła jej przy kasztanowcu stojącym na podwórku. Nim zdążyła dostrzec jakieś szczegóły, ciemna czapka z daszkiem zniknęła już za szerokim konarem drzewa. W jednej chwili wypełnił ją niepokój. Gdzieś już wcześniej widziała tę czapkę. Tylko że wcześniej zupełnie nie zwracała uwagi na mężczyznę, który mógł mignąć jej w tłumie. Strzelił pstryczek w czajniku, lecz Alicja się nie poruszyła. Stała tak dobrą chwilę, wpatrując się w przestrzeń, lecz nie wylapała już żadnego ruchu, żadnego kształtu, który świadczyłby o czyjejs obecności.

Czy znikająca za drzewem czapka z daszkiem stanowiła jedynie wytwór jej wyobraźni, produkt zmęczonego umysłu, który chciał myśleć o czymkolwiek, byle nie o bladym kobiecym ciele zakopanym wśród leśnych liści? Znow przeszedł ją dreszcz. Rzeczywistość straciła kontury, rozlała się pod łzami napływającymi do oczu. Cofnęła się do środka, zostawiając powidoki za oknem. Jak

we śnie wyszła na korytarz i powędrowała do sypialni. Zrzuciła z siebie szlafrok i naga zawinęła się w kołdrę.

20

Korda cicho zamknął za sobą drzwi wejściowe. Przez chwilę miał ochotę się o nie oprzeć, zjechać po nich na dół, kucnąć, nie ruszać się, nie być.

To spojrzenie. Nauczył się go już dawno i może dlatego nie był w stanie go znieść. Jest w nim tyle bóleści, że ludzie przypominają ranne, zdezorientowane zwierzęta.

– Nie rozumiem... – powtarzała matka Weroniki Mazur. – Nie rozumiem. To była taka dobra dziewczynka. Taka dobra.

Ojciec milczał, co jakiś czas strącając z twarzy łzy, które niemo spływały mu po policzkach. Jedyne siostra pozwalała sobie na prawdziwą rozpacz. Jej krzyki przez całą jego wizytę niosły się zza zamkniętych drzwi pokoju.

„Już nigdy nie będą tacy sami” – pomyślał Korda i bezwiednie potarł ciągnącą się od oka do ust bliznę.

Zbiegł schodkami w dół i przeszedł przez podjazd. Ponownie rzucił okiem na willę stojącą przy ulicy Światowida w Orłowie, jakieś trzysta metrów od morza. Srebrny mercedes stojący przy wjeździe do garażu lśnił w słońcu. Z gałęzi dorodnego świerka rosnącego nieopodal zerwał się wróbel. Usiadł na drewnianym płocie i wesoło zaczął przeskakiwać ze sztachety na sztachetę.

„Życie biegnie dalej, ale ten dom pozostanie pęknięty” – taka myśl przebiegła przez głowę detektywa, nim wsiadł do swojej alfy i ruszył w stronę Gdyni.

Aleksandra Mazur twierdziła, że jej córka była grzeczną i przykładną uczennicą, córką, która zasadniczo nie sprawiała żadnych problemów, ale Korda wiedział, że nie do końca była to prawda. Dziewczyna kilka miesięcy temu została wydalona z jednego z najlepszych liceów w kraju i wylądowała w sopockiej „Dwójce”. Co musiało się stać, że skreślono ją z listy uczniów gdyńskiej „Trójki”? Rodzice Weroniki nie chcieli udzielić mu odpowiedzi na to pytanie, kwitując je tylko niedowierzającym

wzruszeniem ramion. Detektyw nauczył się już, że w takich sytuacjach rodzice natychmiastowo zaczynają idealizować dzieci. Zapominają o wszystkim, co złe; bolesna tęsknota wymazuje wszystko.

Policjant przemknął przez aleję Zwycięstwa i wjechał w Legionów. Zaparkował naprzeciwko szkoły, w zatoczce otoczonej blokami z wielkiej płyty pomalowanymi na blady róż. Przebiegł ulicę, przeszedł przez zieloną bramę i podążył alejką otoczoną klonami i sosnami. Przed nim wyrastał dwupiętrowy prostopadłościenny budynek o dwóch skrzydłach połączonych długim łącznikiem; typowa tysiąclatka w kolorze wypłowiałego beżu i szarości. Wszedł do środka, pokazał odznakę stojącemu przy schodach ochroniarzowi i znalazł się na pierwszym piętrze. Akurat trafił na przerwę. Dźwięk, jaki niósł się przez korytarz, był zdumiewająco głośny. Kakofonia odgłosów i liczba przeciskających się obok niego ludzi wywołały w nim lekki niepokój. Rozejrzał się wokół i szybko skierował się w stronę gabinetu dyrektora. Kątem oka zarejestrował siedzącą na podłodze przy ścianie grupkę chłopaków. Wszyscy mieli na nosie okulary, wszyscy ubrani byli w kraciaste koszule. Korda wyłapał padające z ich ust słowa: lew i miano. Uczniowie, najpewniej z klasy matematycznej, musieli grać w brydża. Nie powąchają kobiety co najmniej do dwudziestki... Detektyw ironicznie ściągnął brwi i zapukał do gabinetu. Gdy naciskał kławkę, tuż nad nim rozbrzmiał przeszywający dzwonek szkolny. Po wielu latach od ukończenia liceum Korda nadal nie znosił tego dźwięku.

Siwowłosa, obcięty tuż przy skórze mężczyzna w eleganckim garniturze odwrócił się od okna i spojrzał na niego pytająco.

– Detektyw Oskar Korda – przedstawił się policjant. – Rozmawialiśmy przez telefon.

– Ach tak, proszę. – Waldemar Kossak, pełniący funkcję dyrektora szkoły niezmiennie od lat dziewięćdziesiątych, wskazał Kordzie krzesło przy biurku. – Co pana do nas sprowadza? – zapytał z lekkim uśmiechem kryjącym się pod kilkudniowym zarostem.

Jego skierowane w dół oczy wydały się Kordzie łagodne i zmęczone.

– Weronika Mazur – zaczął detektyw bez ogródek. – Kojarzy pan tę uczennicę?

– Weronika Mazur – powtórzył Kossak. – Generalnie nie znam z imienia i nazwiska wszystkich uczniów, ale tę dziewczynę kojarzę – przyznał dyrektor, marszcząc z niesmakiem nos.

– Z końcem pierwszego półrocza została wydalona ze szkoły, czy tak?

– Tak. Wraz z radą pedagogiczną podjęliśmy w tym zakresie stosowną uchwałę, poprzedzoną oczywiście opinią samorządu uczniowskiego. A o co chodzi, jeśli mogę spytać?

– Weronika Mazur nie żyje. Staramy się dowiedzieć, co mogło do tego doprowadzić – odparł detektyw.

Dyrektor podniósł wysoko brwi i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Samobójstwo? – szepnął.

– A miała ku temu powody? – Korda zmrużył oczy.

– Cóż – dyrektor rozłożył ręce – w dzisiejszych czasach dzieci, w szczególności gdy dorastają, są bardzo wrażliwe. Niewiele potrzeba, by doszło do tragedii.

– Na jakiej podstawie Weronika Mazur została wyrzucona ze szkoły?

– Nie nazwałbym tego wyrzuceniem, raczej przenosinami. Musi pan zrozumieć, że nasza placówka to dość, hmm, specyficzna szkoła, nie powiem, że tylko dla wybrańców, jednak...

– Chciałby pan, żeby tak było – przerwał mu Korda.

– To nie tak. Mamy tutaj uczniów, którzy tworzą jedną z najliczniejszych na Pomorzu i w kraju grup laureatów ogólnopolskich oraz międzynarodowych konkursów na prace i projekty naukowe oraz badawcze. Mamy klasy z wykładowym angielskim, bierzemy udział w międzynarodowych maturach, rozdajemy stypendia, które pozwalają absolwentom na studia w Nowym Jorku czy w Abu Zabi. Dlatego staramy się, by panował u nas zdrowy klimat, klimat ukierunkowany na naukę i rozwój, nie zaś na... – Dyrektor nagle zamilkł.

– Co takiego zrobiła Mazur?

– W najprostszym słowach: Weronika Mazur została wydalona ze szkoły za demoralizację uczniów.

– A w bardziej złożonych?

Waldemar Kossak wstał od biurka, założył ręce z tyłu i zapatrzył się w okno. Po chwili odwrócił się do detektywa.

– Ja jestem człowiekiem starej daty, pewne rzeczy nie mieszczą mi się w głowie, więc trudno mi o tym mówić – chrząknął. – Kojarzy pan zabawę określaną jako słoneczko?

Korda potwierdzająco kiwnął głową.

– Widzi pan, ja jeszcze kilka miesięcy temu nie kojarzyłem – westchnął dyrektor, przejechał ręką po siwym kilkudniowym zarostie i znów zamilkł.

– No dobrze. Weronika Mazur zabawiła się w słoneczko, tak? Jak się o tym dowiedziała szkoła? – ponaglił Korda.

– Mazur została przyłapana przez matkę jednego z uczniów, kiedy... no wie pan... Pani Błazewicz zgłosiła sprawę i nie mieliśmy wyjścia. – Kossak bezradnie rozłożył ręce.

– Inni uczniowie też zostali wydalenii?

– Nie rozumiem...

– No przecież Mazur nie bawiła się w to słoneczko sama. – Korda uśmiechnął się sarkastycznie. – No choćby ten uczeń, Błazewicz... jak rozumiem, tam był.

– Michał Błazewicz tylko się temu przyglądał, potwierdziła to jego matka. Sam chłopak przyznał, że był zniesmaczony.

Korda prychnął.

– A inne ramiona słońca?

– Nie udało nam się tego ustalić – skrzywił się Kossak. – Mazur nie chciała zdradzić nazwisk, podobnie jak Michał, a pani Błazewicz była zbyt przejęta, żeby rozpoznać, kto w tym, yhm, aktywnie uczestniczył.

– Więc to Weronika stała się kozłem ofiarnym – skonstatował detektyw z pogardą w głosie.

– Działaliśmy dla dobra uczniów.

– Z pewnością – powiedział Korda bez przekonania.

– Myśli pan, że to wina szkoły? Że to przez moje działanie Weronika popełniła samo...

– Nie – przerwał detektyw. – Dziewczyna została zamordowana. – Dyrektor zbladł. – Chciałbym porozmawiać z Michałem Błazewiczem.

Władysław Kossak usiadł przy biurku, złożył ręce jak do modlitwy, oparł brodę na palcach, myślał. Ostatecznie wklepał coś w komputer i wstał:

– Proszę ze mną.

Wyszli z gabinetu. Korytarz opustoszał. Podeszwy ich butów odrywały się od pokrywającego podłogę lastryko z charakterystycznym plaśnięciem. Podeszli pod jedną z klas. Dyrektor zapukał w drzwi i wywołał Michała Błażewicza.

Z klasy wyszedł dobrze zbudowany blondyn o jasnych oczach. Ubrany był w dzinsy typu slim fit, przydużą zgniłozółtą bluzę z charakterystycznym logo Adidasa i fluorescencyjne trampki.

– Michał, pan jest z policji. Chciałby z tobą porozmawiać o Weronice Mazur.

Błażewicz ściągnął brwi.

– Ale o co chodzi? Jestem o coś oskarżony? – Skrzywił się ze złością.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci Weroniki, ale nie jesteś o nic oskarżony. Nie masz żadnych problemów, okej? Chciałbym zadać ci tylko kilka pytań.

Chłopak szeroko otworzył oczy i pytająco spojrział na Kossaka. Ten łagodnie skinął głową.

– Dobrze – powiedział w końcu chłopak. – Ale na osobności.

– Jeśli pan detektyw będzie potrzebował jakichś dodatkowych informacji, to jestem do dyspozycji. – Dyrektor oddalił się korytarzem.

– Może pójdziemy do szkolnej kafeterii? – zaproponował Korda.

– Nie. Chodźmy na „kółeczko” – odparł uczeń i, widząc pytający wzrok detektywa, dodał: – Takie miejsce, gdzie się pali fajki. W trakcie lekcji nikogo tam nie ma.

Wyszli na zewnątrz bocznym wyjściem, przecięli boisko i małą furtką wydostali się z terenu szkoły. Zeszli ze stromej skarpy porośniętej soczystą trawą i usiedli na jednej z ławeczek stojących wokół wiekowego klonu nieopodal psiego skweru.

Korda wyjął z kieszeni spodni czerwoną paczkę marlboro. Wyciągnął ją ku chłopakowi. Ten przez chwilę się wahał, po czym sięgnął po papierosa. Po chwili obaj wydmuchiwali dym, który unosił się nad nimi w bezwietrznym powietrzu.

– Chodziłeś z Weroniką do tej samej klasy? – zapytał w końcu Korda.

– Nie. Ja chodzę do klasy interdyscyplinarnej humanistycznej, „c”. Weronika chodziła do „e”.

– Czyli?

– Po prostu „e”. To klasa nieprofilowana. Mówi się, że wrzuca się do niej tych, którzy najgorzej napisali wstępne.

Korda pokiwał głową i głęboko się zaciągnął.

– To jak to było z tym słoneczkiem? – Wyciągnął przed siebie nogi i wypuścił dym z płuc.

Nie patrzył na Michała. Chciał, żeby tamten poczuł się przy nim swobodnie.

Chłopak westchnął i rozsiadł się wygodniej. Oparł kark o ławkę i wysoko wydmuchał papierosowy dym, który mieszał się z zapachem krzewów kwitnących o tej porze roku.

– To było na początku grudnia. Rodzice wychodzili do znajomych, miałem wolną chatę, więc skrzyknąłem ekipę – zaczął. – Wera przyszła z Kaśką i jakąś laską, której nie znałem. „Party!”, krzyknęła od wejścia i wyjęła z torebki butelkę wódki...

21

– Partyyyyyy! – Weronika starała się przekrzyczeć głośną muzykę.

Wraz z roześmianymi koleżankami wtoczyły się do mieszkania. Musiały już wcześniej pić, bo były w znakomitych humorach. Złapały się za ramiona i zaczęły radośnie skakać w takt *The Time*. *Dirty Bit* zespołu The Black Eyed Peas.

– Masz, byczku! – Wera wcisnęła Michałowi w ręce butelkę absoluta i, puszczając do niego oko, dołączyła do nastolatków tańczących w dużym pokoju.

– Auuuuu! – zawyła.

Rozniosły się powitalne piski.

Wszyscy uwielbiali Werkę. Nikt tak jak ona nie rozkręcał imprezy.

– Wariatka. – Michał uśmiechnął się pod nosem i włożył wódkę do lodówki.

– Ale sztuńia! Kto to? – zapytał go Bartek, wysoki, ogolony na zapałkę znajomy z osiedla.

– Koleżanka ze szkoły – odparł.

– Dziobak?

– Czemu myślisz, że do „Trójki” chodzą same kujony?

– A nie chodzą? – Bartek wzruszył ramionami.

– W większości. – Michał się zaśmiał. – Ale nie ta. Werka ma fantazję. – Objął Bartka ramieniem.

– Prawdziwa perliczka. – Bartek z podziwem pokiwał głową, przypatrując się dziewczynie.

Ta wyciągnęła przed siebie telefon. Robiąc śmieszne miny i gesty, ruszała ustami do słów rytmicznego covera z *Dirty Dancing*: „Oh, I had the time of my life. And I’ve never felt this way before. And I swear this is true”.

– Taaa, dzida niesamowita – potwierdził stojący przy lodówce ciemnowłosy Tomek. – Nagrywa nawet fajne filmiki na TikToku.

– A do tego niezłe grzmociwo – dodał Michał.

– Serio? – Zaintrygowany Bartek otworzył szerzej oczy.

– Sam zobaczysz. – Michał poklepał towarzysza po plecach. – Drogie panie! Pijemy! – krzyknął w przestrzeń.

– Auuuuuu! – odpowiedział mu damski chór.

„And I swear this is true. And I owe it all to you. You-you-you-you-you. You-you-you-you-you. You-you-you-you-you-y-y-y-y-you. Dirty bit”.

Shot. Shot. Shot.

Taniec. Taniec. Taniec.

Shot. Shot. Shot.

Taniec. Taniec. Taniec.

Joint. Joint. Joint.

Shot. Shot. Shot.

Taniec. Taniec. Taniec.

Spocona Werka oparła się o blat kuchennej wyspy.

– O matko, padam! – Zaśmiała się.

Shot.

– Twerk kosztuje trochę energii – stwierdził Michał, puszczając do niej oko.

Przed oczami stanął mu obraz Weroniki sprzed paru minut: opiera ręce na udach, trzęsie pośladkami w górę i w dół.

– Kosztuje – potwierdziła Weronika.

– Może potem zatańczymy paso doble?

– Może... kto wie? – Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

Dwa kieliszki stuknęły o blat.

Shot.

– Auuuuu! – Werka znów popędziła na parkiet.

Ręce w górze.

Podskok. Podskok.

Taniec. Taniec. Taniec.

Shot. Shot. Shot.

Szaleństwo. Szaleństwo. Szaleństwo.

Kibel. Kibel. Kibel.

Taniec. Taniec. Taniec.

Ręce w górze.

Podskok. Podskok.

Shot.

– *I am done* – stęknęła Werka, przysiadając jednym pośladkiem na hokerze.

Oczy miała rozbiegane.

– Zaraz coś na to poradzimy. – Michał uśmiechnął się tajemniczo i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej przezroczysty woreczek. – Wyciągnij język.

Mokry, różowy język ląduje na brodzie. Wykręca się i wyciąga ku górze.

Cel. Rzut.

Mała różowa tabletką z wizerunkiem uśmiechniętej buźki wpada do ust.

Werka jak pelikan połyka zdobycz błyskawicznie. Nie wykazuje żadnego wahania.

Zerka na rozmywający się zegar ścienny.

Tik. Tak. Tik. Tak.

Wirują twarze.

Tik. Tak. Tik. Tak.

Szklanka kranówki.

Tik. Tak. Tik. Tak.

– To może byśmy coś w tej grze zmodyfikowali? – Michał zakręcił rękoma kółka w powietrzu.

– Mów dalej – zainteresowała się Werka.

– Tym razem dziewczyna będzie słońcem, a wokół niej tradycyjnie będą krążyć inne planety – powiedział Michał z szelmowską miną.

Wszyscy zaczęli się śmiać.

– Kto idzie na pierwszy ogień? – zapytał gospodarz, wodząc palcem po osobach stojących wokół kuchennej wyspy. – Werka? – Wskazał na dziewczynę. – Nasze najjaśniejsze słońce! – wykrzyknął.

Wszyscy zaczęli radośnie skandować:

– Wera! Wera! Wera!

Weronika chwilę milczała. Rozważała za i przeciw.

– Chyba nie tchórzysz? – zaczepnie zapytał Michał.

Dziewczyna mierzyła się z nim wzrokiem przez kilka sekund.

– Nigdy! – powiedziała.

Shot.

– Auuuuuuu! – krzyknęła, zdejmując bluzkę.

22

– Chłopak przyznał się do podania dziewczynie narkotyków? – zdziwił się Adam Gustowski.

– Aż taka leszczyna go nie dopadła – odparł Oskar Korda. – Twierdził, że był alkohol i „może coś tam jeszcze”. – Detektyw zrobił w powietrzu znak cudzysłowu. – Ale to on był prowodyrem zajścia, tego jestem pewien.

Policjanci wysiedli z windy. Korytarz wyłożony żółtawymi, poszarzałymi ze starości kaflami oświetlały ostre świetlówki.

– Skąd wiesz?

– Zbyt dokładna chronologia zdarzeń, szczegółowe wprowadzenie przy pobieżnym traktowaniu faktów, eufemizmy, no i ciągle podkreślanie prawdomówności, czyli typowe symptomy mówienia nieprawdy.

– Okej. Czyli koleś puszczał bajki jak Cartoon Network? – Gustlik się zaśmiał, a ściany niepokojąco odbiły jego głos. – Czy tu zawsze

musi być tak upiornie? – Skrzywił się, wodząc wzrokiem po korytarzu.

– A co byś chciał? Pajace i balony?

– Weź, tylko nie pajace. – Sierżant się zatrzymał i z wyrzutem spojrzał na Korde.

– A co masz do pajaców? – Detektyw też przystanął.

– Nie ma nic bardziej upiornego niż pajace, kłowni, a już w szczególności lalki.

– Ty jesteś jednak porąbany, Gustlik. – Rozbawiony Korda pokręcił głową.

– To zupełnie normalne! – obruszył się Gustowski. – Słyszałeś kiedyś o dolinie niesamowitości? – Korda skrzyżował ręce na piersi.

– To zjawisko mówiące o tym, że zabawki przypominające człowieka, takie jak roboty czy lalki, wzbudzają w odbiorcy pozytywne odczucia. Ale po przekroczeniu pewnej granicy realizmu ich podobieństwo do ludzi zaczyna przeszkadzać, bo budzi jakiś trudny do wyjaśnienia niepokój. Dlatego jeśli naprawdę chcesz kogoś przestraszyć, to nie serwuj mu niestworzonych historii. Pokaż mu przypominającą człowieka lalkę, ale z jakimś nienaturalnym defektem, jak zbyt szerokie lub nieruchome źrenice czy dziwnie wykrzywiony uśmiech. Nie ma nic bardziej przerażającego, chłopie. – Gustlik zniżył głos i poprawił opadające na nos oprawki okularów, w których odbiło się jasne światło świetlówek.

W tym momencie zgrzytnęły drzwi, a starszy sierżant niespokojnie drgnął.

– Tak myślałem, że słyszę głosy. – Lekarz medycyny sądowej Maciej Grzymała wyszedł im naprzeciw. – Co panowie tak stoją? – zaciekawił się.

– A! – Korda machnął ręką. – Okazało się, że Gustlik boi się Barbie. – Wykrzywił twarz w zgryźliwym uśmiechu.

Adam Gustowski spojrzał z wyrzutem na detektywa.

– To niedobrze – stwierdził patolog grobowym głosem. – Bo akurat mam tu jedną na stole. – Grzymała dał znak, by policjanci weszli do środka.

Gustlik poszedł przodem.

– Uważaj, bo idzie za tobą laleczka Chucky! – Korda się jeszcze zaśmiał, lecz gdy wszedł na salę, od razu spoważniał.

Na stalowym stole leżało nagie ciało dziewczyny, oświetlone ostrym światłem padającym z sufitowej, syczącej lampy. Jasną, nieskazitelną dotąd skórę pospinano srebrnymi zszywkami, które jedna za drugą ciągnęły się wzdłuż klatki piersiowej i brzucha ofiary.

– Dzień dobry, panowie. – Ciszę przerwał głos prokuratora Witolda Wierzbickiego.

Starszy mężczyzna w odzieży ochronnej ukrywającej szary garnitur lekko się skłonił i mimochodem spojrzął na zegarek. Detektyw Korda ściągnął brwi. Pracował wcześniej z Wierzbickim i nie miał wątpliwości, że prokurator nie kiwnie palcem przez cały okres śledztwa. Żałował, że do sprawy zabójstw nie przydzielono prokuratora Leopolda Bilskiego – ten nie umiał usiedzieć na czterech literach i choć czasami irytował Kordeę wpieprzaniem się w nie swoje sprawy czy przekraczaniem uprawnień, to razem udało im się przyskrzynić niejedną kanałą.

– Zapraszam bliżej. – Lekarz medycyny sądowej uśmiechnął się do policjantów. – Mam dobre wieści!

Oskar Korda i Adam Gustowski podeszli do stołu. Syk wiszącej nad nim żarówki się wzmógł.

Detektyw spojrzął na Weronikę Mazur. Ciemna, ziejąca jama przecinająca krtań. Leciutko podniesiony kącik ust. Szeroko otwarte oczy z nieruchomymi, zastygłymi źrenicami. Na pokrywie czaszki, jakieś dwa i pół centymetra powyżej górnego brzegu oczodołów, widoczna linia sekcyjnego cięcia, zapewne prowadzona za pomocą piły oscylacyjnej. Korda nie mógł wyzbyć się uczucia, że na stole leży lalka przypominająca człowieka. Ogarnął do dziwny niepokój. Przekroczył swoją dolinę niesamowitości.

– Laleczka Chucky to przy tym małe miki, co? – szepnął Gustlik, pukając Kordeę w ramię.

– A więc cóż to za wieści? – Detektyw zignorował sierżanta i zwrócił się do Grzymały.

– W jamie ustnej denatki, a dokładnie w cieśni gardzieli, czyli przestrzeni pomiędzy łukami podniebienne-językowym a podniebienne-gardłowym, znajdował się włos. – Lekarz medycyny sądowej sięgnął po woreczek strunowy i z uśmiechem go

zaprezentował. – Nie sędzę, by należał do denatki, ale oczywiście musimy potwierdzić to badaniem DNA.

– Mamy gnoja! – Gustlik klasnął w dłonie.

Prokurator Witold Wierzbicki również się uśmiechnął i potwierdził tezę starszego sierżanta skinieniem głowy.

Detektyw Oskar Korda ściągnął brwi i mruknął. Przyjrzał się krótkiemu włosowi zamkniętemu w woreczku, po czym znów przeniósł wzrok na sztywne ciało Weroniki Mazur.

Ziejąca jama na szyi, nieruchome jasnoniebieskie źrenice, niemal niezauważalnie wykrzywione usta, skalp odcięty regularną, cieniutką linią.

– Coś mi tu nie gra – powiedział.

– Zasada wymiany Locarda. – Grzymała się uśmiechnął. – Każdy kontakt zostawia ślad. I może to właśnie nasz ślad. – Wzruszył ramionami.

Korda zmarszczył czoło i ponownie przeniósł wzrok z lekarza medycyny sądowej na stalowy stół z obnażonym ciałem zmarłej dziewczyny.

Czy to możliwe, by sprawca popełnił aż tak ewidentny błąd?

Korda doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to mało prawdopodobne.

„W co znowu pogrywasz, skurwysynu?” – przemknęło mu przez myśl.

23

Alicja otworzyła drzwi redakcji „Dziennika Trójmiejskiego”. Przemknęła przez parter i dostała się na klatkę schodową prowadzącą na pierwsze piętro.

– To musiało być straszne – usłyszała męski głos.

Podniosła wzrok.

Na półpiętrze o ścianę opierał się Mariusz Kierski. Zmrużył oczy, jakby chciał wyczytać coś z jej twarzy. Niby przechylił głowę współczująco, jednak skrzyżowane na piersiach ręce i zaciśnięta szczęka nie sprawiały wrażenia, by naprawdę przejął się sytuacją.

Alicja bez słowa pokonywała schody. Gdy dostała się na półpiętro, mężczyzna odbił się stopą od ściany i zagroził jej przejście.

– Ty i ofiara Rozpruwacza... Taki widok pewnie wbija się w głowę, co? – zapytał.

– Rozpruwacza? Serio?

– Sopotki Rozpruwacz. – Kierski uśmiechnął się. – Rano puściłem w eter i teraz nikt nie mówi o nim inaczej. – Rozłożył ręce z ironicznym uśmiechem.

– Gratuluję – odparła Grabska z szyderczą miną. – A teraz wybaczyć, ale spieszę się. – Ruszyła dalej w górę.

– Oczywiście – powiedział spokojnie. – Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że jakby co, to jestem.

Alicja uśmiechnęła się półgębkiem i ironicznym tonem rzuciła:

– Yhm. Dzięki.

Ominęła go i wbiegła na piętro. Skąd Kierski wiedział, że była na miejscu zbrodni? Ten facet naprawdę działał jej na nerwy. Niby przystojny, zawsze dobrze ubrany, wyglancowany, a jednak było w nim coś lepkiego.

Grabska spięła łopatki, jakby chciała zrzucić z siebie tę myśl, i skierowała się wprost do pokoju naczelnego. Drzwi były otwarte. Stała w korytarzu i zajrzała do gabinetu.

– Można? – zapytała.

Na jej widok Wiktor Szylbach podniósł się z krzesła.

– Słyszałem, co się stało. Jak się czujesz? – W jego głosie wyczuła prawdziwą troskę.

– Wieści szybko się rozchodzą – stwierdziła krótko.

– Cóż. – Redaktor naczelny rozłożył ręce. – Jesteśmy dziennikiem, zawsze wiemy pierwsi.

– Kierski ma wtyki w policji?

– Nie wiem i nie interesuje mnie to. Kierski uzyskał informacje jako poufne, więc nie może ujawniać źródeł. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, jak działa etyka dziennikarska.

– A czy twój szanowny asystent doniósł ci, że na miejsce zbrodni skierowała mnie aplikacja?

– Jaka aplikacja? – Szylbach wysoko podniósł brwi.

– Aplikacja, którą zleciłeś mi testować. Place to Rest – odparła Alicja z wyrzutem.

Wiktor Szylbach momentalnie spurpurowiał. Szybkim krokiem podszedł do Alicji, wyrzwał na korytarz, jakby chciał się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje, wepchnął ją do środka i zamknął drzwi.

– Jak to? – Zmarszczył brwi.

– Tak to. Ściągnęłam dostępną lokalizację, poszłam śladem wyznaczonej trasy i natknęłam się na ciało.

– Dokładnie w tym miejscu, gdzie skierowała cię aplikacja?

– To tak nie działa. – Alicja opadła na krzesło. – System nawigacyjny Place to Rest nie jest aż tak zaawansowany, by wskazać miejsce co do metra. Z tego, co zdążyłam się zorientować, GPS w tej aplikacji tylko zawęży granice poszukiwań – wyrecytowała zdanie, które w dniu znalezienia ciała wypowiadała wielokrotnie, tłumacząc kolejnym policjantom, jak dotarła na wzgórze.

– Czyli nie jesteś pewna, że to aplikacja poprowadziła się do ciała tej kobiety. – Szylbach odetchnął.

– Problem polega na tym, że jestem – poważnie odpowiedziała Alicja.

– Nie rozumiem. – Naczelnny przyglądał się jej bacznie.

– Po prostu wiem. Tak mi podpowiada moja dziennikarska intuicja.

– Eeee. – Szylbach machnął ręką. – Intuicja rzecz przydatna, jednak nie niezawodna. – Uśmiechnął się po ojcowsku.

– Tak czy siak, wycofuję się z naszej umowy. – Grabska podniosła na niego oczy. – Chyba rozumiesz, że w tej sytuacji...

– Grabska! – przerwał jej naczelnny surowym tonem. – Za przeproszeniem, nie pierdol. Jest robota i masz ją wykonać.

Alicja osłupiała. Przez chwilę mierzyła Szylbacha wzrokiem, starając się zrozumieć, czemu naczelnny reaguje w ten sposób.

– Czego mi nie mówisz? – zapytała w końcu.

Wiktor Szylbach otarł rękawem koszuli spocone czoło. Przeszedł za biurko i usiadł na fotelu. Położył dłonie na blacie i nerwowo postukał w niego palcami.

– Widzisz... – zaczął niepewnie. – „Dziennik Trójmiejski” ma kłopoty finansowe.

– Wszyscy to wiemy.

– Tak, ale od ostatnich kilku miesięcy naprawdę jesteśmy w dupie. Wydatki mocno przekraczają wpływy, sponsorzy się

wycofali, tracimy na wiarygodności, więc reklamodawcy też w nas nie inwestują. Generalnie stoimy na skraju bankructwa – westchnął Szylbach i znów przetarł czoło.

– I chcesz mi powiedzieć, że Place to Rest to nasza jedyna opcja na przetrwanie – ironicznie parsknęła Alicja.

Szylbach się nie poruszył. Nadal poważnie wpatrywał się w dziennikarkę.

– No nie mów, że Place to Rest to nasza jedyna opcja na przetrwanie! – Grabska też spoważniała. – Przecież to tylko jedna firma... – Przerwała i zmrużyła oczy. – Ile ci zapłacili?

– Dużo, Alicja. Na tyle dużo, by choć na chwilę odbić się od dna.

– Okej. Rozumiem. No ale chyba i tak trzeba z nimi wyjaśnić sytuację, nie? Przecież to mogłoby zrujnować ich markę...

– Dokładnie! To nie może na razie wypłynąć, bo jeszcze się wycofają ze współpracy. Rozumiesz, Ala?

– Wiesz, że i tak wypłynie. Wiktor... – Pokręciła głową. – Przecież wiesz, jak świat działa. Nie da się tego utrzymać w sekrecie.

– Da, nie da. Nie wiadomo. Jak na razie mamy zlecenie i musimy je zrealizować, bo inaczej będziemy musieli zwrócić kasę.

– Jesteś aż tak cyniczny?

Szylbach zagryzł zęby. Pod skórą zarysowała się pracująca szczęka.

– To daj tę reklamę komuś innemu – powiedziała Grabska, wstając. – Ja odpadam.

– Komu mam dać? – warknął naczelny. – W tej sytuacji zostajesz mi tylko ty. Znasz temat, wiesz, co ominąć i na czym się skupić. Masz to napisać i tyle.

– Nie, Wiktor. Nie widziałeś tej dziewczyny. Może wtedy mówiłbyś inaczej. Ale za to chętnie zajęłabym się tematem tych morderstw. – W jej głowie błysnął nagle pomysł. – To ja znalazłam ofiarę. Dokładnie się jej przyjrzałam, tak jak pracy policji na miejscu zdarzenia. Znam detale, mam informacje z pierwszej ręki, a od detektywa, który prowadzi sprawę, na pewno mogłabym wyciągnąć jeszcze więcej! – zapaliła się, choć na myśl o zamordowanej dziewczynie nadal robiło jej się słabo.

– To nie twoja działka – uciął naczelny. – Zresztą Mariusz już się tym zajmuje. To on wymyślił ten chwytliwy pseudonim. Tak że jeśli

możesz, to przekaz mu wszystkie twoje spostrzeżenia, na pewno się nam przydadzą.

Alicja zmarszczyła nos.

– Chyba żartujesz, Wiktor?

– Nie żartuję, Ala – odparł sztywno Szylbach. – Bierz się do swojej roboty.

– Nie ma mowy! – warknęła.

Szybkim krokiem podeszła do drzwi i chwyciła klamkę.

– Jeśli teraz wyjdiesz, możesz nie wracać! – krzyknął Szylbach.

Jego policzki i szyję pokryły purpurowe plamy.

– Wiesz, że nie mówisz poważnie. – Alicja pokręciła głową i nacisnęła klamkę. – Przekaz temat reklamy apki komuś innemu, bo ja biorę dwa tygodnie urlopu – rzuciła. – Na poratowanie zdrowia oczywiście. – Uśmiechnęła się złośliwie i wyszła z gabinetu.

Zbiegła schodami. Na szczęście nie natknęła się na Kierskiego, bo gdyby tym razem zastąpił jej drogę, nie ręczyłaby za siebie. Wsiadła do samochodu. Dopiero teraz zauważyła, że na dworze pociemniało, a o szybę nieśmiało uderzały pierwsze krople deszczu. W tym momencie usłyszała charakterystyczne powiadomienie od Place to Rest. Sięgnęła do torebki po telefon. Na wyświetlaczu pojawiła się wiadomość: „Masz nową lokalizację”. Niewiele myśląc, Alicja przytrzymała palcem ikonkę aplikacji i wybrała polecenie: „odinstaluj”. Rzuciła smartfona na siedzenie obok kierowcy i odpaliła silnik.

Po kilku minutach podjechała pod kamienicę przy Haffnera. Stała w poprzek chodnika i wysiadła. Zerknęła za siebie. Niebo nad morzem gęstniało, przybierając kolor granatu. Podeszła do pordzewiałej bramy, odblokowała rygiel i pchnęła jej skrzydła. Niespodziewanie jej oczom ukazały się plecy mężczyzny stojącego tuż przy płocie, wpatzonego w okna. Mimowolnie krzyknęła. Mężczyzna odwrócił się i znajomo uśmiechnął.

– Cześć, Ala – powiedział Igor Olszewski.

Alicja Grabska zamarła. Przez chwilę też chciała pokornie się uśmiechnąć; tego były mąż nauczył ją przez wiele lat ich związku. Powstrzymała się jednak, zacisnęła zęby i bez słowa wróciła do samochodu. Położyła ręce na kierownicy, kilkakrotnie zacisnęła

palce, starała się uspokoić oddech. Przekręciła kluczyk w zamku i powoli wjechała na podwórko.

– Czego chcesz? – Zatrzasnęła drzwi od samochodu.

Mężczyzna stanął naprzeciwko niej.

– Porozmawiać. Tylko tyle.

– Nie mamy o czym rozmawiać – powiedziała i zaczęła iść w stronę schodów.

– Ala, zmieniłem się.

– Gratuluję. A co to ma ze mną wspólnego?

– Naprawdę się staram! – Złapał ją za rękę.

Poczuła, jak oblewa ją znajome gorąco. Mimowolnie zdrętwiała.

Palce wbijające się w jej żuchwę.

Otwórz usta! Otwieraj!

Granatowe niebo przeszła błyskawica. Alicja szarpnęła rękę.

– Nie dotykaj mnie! – Odwróciła się w stronę Igora. – Nigdy już nie waż się mnie dotykać! I przestań wydzwaniać – cedziła. – Przestań za mną łązić. Przestań wystawać pod moim domem. Nic ci to nie da! Rozumiesz? Między nami skończone, Igor. I to już od dawna.

– Ala...

– Nie! Nie chcę tego słuchać. Mam dość. Mam wszystkiego dosyć!

– Poczuła, że zaczyna drżeć.

– Tęsknię za tobą. – Olszewski zrobił zboląłą minę, a ją zakłuło w dołku.

Ile to razy łapała się na tę minę. Ile to razy wierzyła, wybaczała... Wiele lat dawała Igorowi sobą manipulować. Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– To już nieistotne – ucięła.

– Chcę ci coś powiedzieć.

– Nie interesuje mnie, co masz do powiedzenia. Idź stąd. Natychmiast.

Igor Olszewski wpatrywał się w nią bez słowa. Widziała, jak zaciska pięści. Zgięte palce pulsowały nerwowo. Alicja doskonale знаła te gesty. Widziała je wielokrotnie. Mężczyzna walczył teraz z agresją, dlatego cały czas stała napięta jak struna. Była gotowa, by w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

– Okej. – Olszewski się nagle uśmiechnął. – Jeśli tego właśnie chcesz.

Obrócił się na pięcie i zniknął za furtką prowadzącą na ulicę. Po chwili dziennikarka usłyszała znajomy warkot silnika i wypuściła wstrzymywane powietrze. Jednak napięcie w jej organizmie nie spadło. Przeciwnie – z każdą sekundą narastało, jakby zaraz miało wybuchnąć. Poczła nagłą chęć, by tak jak w pierwszych miesiącach po rozwodzie pójść do pobliskiej knajpy, napić się wina i zniknąć za drzwiami toalety z przypadkowym mężczyzną. Dokładnie wiedziała, że tylko to koło jej poharatane rany, tylko to pozwalało jej zebrać siły. Bezwzględne odrzucenie emocji doskonale przykrywało w niej to, czego wstydziła się najbardziej – własną słabość.

Przełknęła ślinę. Była jak narkoman na głodzie. I tylko brama dzieliła ją od porcji ekstazy.

Granatowe niebo znów przecięła błyskawica. Niemal jednocześnie grzmotnęło. Dziennikarka przymknęła oczy i wsłuchiwała się w szelest niespokojnych liści. Od zawsze lubiła burzę – to był jej żywioł. Przygryzła usta. Pozwoliła, by wypełniły ją obrazy:

Bezimienny mężczyzna pcha ją na ścianę. Rozpina jej bluzkę, ściąga z niej dzinsy. Jego zęby wgrzają się w jej szyję. Alicja wygina się w łuk, napiera łonem na twardą męskość. Nieznajomy jednym ruchem odwraca ją tyłem do siebie. Ramieniem przyciska jej głowę do ściany. Alicja czuje na policzku zimny łazienkowy kafel. Przesuwa się po nim w górę i w dół. Przestaje myśleć. Wypełnia ją szum.

Otworzyła oczy. Duże krople deszczu rysowały koła na betonowym bruku. Spojrzała za siebie na drzwi do klatki. Powiodła wzrokiem po pustoszejącej ulicy.

Nie była trusią. Była ryzykantką. Choć od długiego czasu nie pozwalała już sobie na łowy.

W tym momencie wiatr przybrał na sile, a granatowe niebo przecięła kolejna błyskawica. Grzmotnęło. Na betonowym bruku zaczęły rysować się mokre regularne plamki. Alicja odchyliła głowę do tyłu. Pozwoliła, by deszcz spływał jej po twarzy.

1999

1

Jasny piasek był gorący. Palił w nagie stopy. Słońce stało wysoko, jego promienie przyjemnie grzały skórę. Po niebie przemykały białe obłoczki. Morze szumiało tak mocno, że zagłuszało głosy grupki mężczyzn grających nieopodal w siatkówkę.

Usiadł pośrodku sopockiej plaży, kładąc przed sobą nogi odziane w jasne szorty. Plecak i trzymane dotychczas w dłoni tenisówki odłożył tuż obok. Wpatrzył się w wodę. Spienione fale raz po raz uderzały o brzeg, zabierając z gładkiej powierzchni muszle i wodorosty. Dzień był piękny. Nie upalny, ale na tyle ciepły, że można było założyć krótki rękawek. Tak lubił najbardziej. Tak czuł się najbardziej swobodnie.

Rozejrzał się wokół. W oddali kołowały mewy. Gdzieś na ręcznikach opalały się dziewczyny w kostiumach, jakiś siwawy mężczyzna przyniósł ze sobą stary leżak w paski, na małym turystycznym krzeselku siedziała kobieta z nonszalancją eksponująca swoje rubensowskie kształty opięte przyciasnym bawełnianym biustonoszem. Dwóch chłopaków wbiegło z krzykiem do wody. Starsza para przechadzała się tuż przy linii Bałtyku, szybkim truchtem wyminął ich biegacz w opiętych czarnych getrach.

– Idealnie. – Uśmiechnął się do siebie i sięgnął do plecaka.

Rozsunął zamek i wyjął pierwszą butelkę z coca-colą, wciąż dość zimną, kupioną w sklepiku nieopodal. Na butelce osiadła para. Przejechał po szkle palcem wskazującym. Z góry do dołu, z góry do dołu, aż odsłonił brunatny płyn. Wziął do ręki otwieracz. Kapsel odskoczył z cichym sykiem. Pociągnął łyka.

– Aaaaa – westchnął z rozkoszą.

Lubił ten smak.

Tuż obok niego potoczyła się biało-niebieska piłka. Zatrzymała się przy jego stopie.

– Podasz? – usłyszał głos.

Odwrócił się. Jeden z siatkarzy stał kilka metrów od niego, wyciągając ręce. Miał blond włosy, gołą klatkę piersiową i szerokie czerwone spodenki. Skóra na zarysowanych mięśniach lśniła. Granatowe polaryzacyjne okulary odbijały słońce.

Siedzący sięgnął po piłkę. Była mięsista i lepka. Podrzucił ją i zakręcił na palcu. Przez chwilę patrzył, jak wiruje, po czym jednym ruchem dźwignął się z ziemi i z całej siły, spod piersi, rzucił piłkę w stronę coraz bardziej niecierpliwego mężczyzny. Ten złapał ją, choć piłka prawie wyślizgnęła mu się z dłoni.

– Dzięki – powiedział siatkarz pod nosem i pobiegł w stronę kolegów.

Mężczyzna, który podał mu piłkę, obserwował przez chwilę bez ruchu, jak blondyn staje przy wyznaczonej linii, podrzuca piłkę nad sobą, prężnie podskakuje, piasek sypie mu się spod stóp, serwuje. Piłka leci trochę po skosie, tuż nad siatką. Spada na granicy pola.

– Yes! – krzyknął siatkarz i przybił piątki z kolegami z zespołu.

– Frajer – syknął mężczyzna w jasnych szortach i usiadł z powrotem na miejsce.

Znów wpatrzył się w morze. Dwaj chłopcy nadal pluskali się w wodzie, raz po raz pohukując. Dwójka starszych ludzi się oddaliła, biegacz zniknął z horyzontu. Od strony baru Przystań nadchodzili blondynka w długiej sukni i krótko obcięty brunet w dżinsach z nogawkami podwiniętymi nad kostkę z okazji spaceru nad brzegiem Bałtyku.

Para zbliżała się coraz bardziej. Nagle dziewczyna z chłopakiem przystanęli i zaczęli się całować. Brunet przegiął blondynkę w tył, złapał jej spódnicę i lekko podciągnął do góry. Obłapiali się jeszcze chwilę, po czym roześmiana dziewczyna zaczęła uciekać w głąb plaży. Chłopak rzucił się za nią. Dziewczyna pisnęła. Odwróciła się w stronę bruneta, zaczęli udawać, że naprawdę biorą udział w pościgu, robili uniki, po czym opadli na piasek nieopodal.

– Phi – prychnął obserwujący ich mężczyzna i z niesmakiem pokiwał głową.

Dopił coca-cole. Niepotrzebnie. Zrobiła się ciepła i wygazowana. Pozostawiła w ustach posmak mętnej słodczy. Skrzywił się, wytrząsnął na piasek ostatnie kropelki i schował butelkę do plecaka.

Następnie ręką zaczął rozgrzebywać piasek tuż przed sobą, usypując obok niewielką górkę. Rozejrzał się wokół. Nikt na niego nie patrzył. Zakochani leżeli na plecach, stykając się bokami. Wpatrywali się w niebo. Siatkarze nadal rozgrywali mecz. Blondyn o gołej kłacie podał piłkę do stojącego pod siatką chłopaka w czapeczce bejsbolowej, ten odbił ją wysoko dwa metry od siebie. Blondyn przebił, omijając blok przeciwnika. Piłka wpadła w piasek. Zdobył punkt. Staruszek na biało-niebieskim leżaku zasnął, skóra kobiety w bawełnianym biustonoszu robiła się coraz bardziej czerwona. Mężczyzna z powrotem sięgnął więc do plecaka i wyjął z niej drugą butelkę. Większą niż ta po coli, zieloną, o grubym dnie. Była przepołowiona. Ostre, nierówne, postrzępione brzegi sterczały do góry. Wsadził butelkę do dziury i przysypał piaskiem. Kawałki wystającego na powierzchnię szkła były niemal niewidoczne.

Posiedział jeszcze chwilę, po czym dźwignął się z ziemi i spokojnym krokiem oddalił się w stronę krzaków okalających plażę. Położył się na piasku w lekkim cieniu, pod głowę podłożył plecak, sięgnął do kieszeni po paczkę westów ice'ów. Odpalił. Zaciągnął się dymem, wypuścił go z płuc, obserwował. Czuł, że tętno w jego organizmie wzrosło. Serce biło mocno, wyraźnie wyczuwał je pod koszulką. W uszach szumiało. Doskonale wiedział, że to nie był ryk morza. Czuł się jak na lekkim odlocie. Lubił to doznanie.

Znów zaciągnął się papierosem. Dym dostał się do płuc. Chwilę go tam przytrzymał i znów wypuścił.

Siatkarze rozgrywali piłkę meczową. Blondyn zaserwował, przeciwnik odebrał, podał do kolegi z drużyny, ten wystawił, po czym gracz przebił, a blondyn z przeciwnej drużyny przejął piłkę. Ta wzleciała w powietrze, chłopak w czapeczce podskoczył wysoko i ściał. Piłka zatrzymała się na siatce i przeskoczyła na pole przeciwnika. Nikt nie zdążył jej odebrać. Punkt.

W powietrze wzniosły się krzyki radości. Gracze zaczęli przybijać sobie piątki, po czym popędzili do morza. Kierowali się prosto na butelkę.

Mężczyzna w jasnych szortach podniósł się, opierając się na łokciach, i wstrzymał oddech. Czterech siatkarzy ominęło butelkę, kolejny przeskoczył tuż nad nią. Jako ostatni truchtał wyraźnie

wyczerpany meczem blondyn. Jego spocone plecy lśniły w słońcu. Wystająca z piasku zbita butelka znajdowała się metr od niego. Pół metra. Krok... Nic. Musiał przebiec kilka centymetrów od niej.

– Ech – syknął leżący pod krzakami i podążył wzrokiem za siatkarzami.

Ci już chlapali się w wodzie, wydając bojowe okrzyki. Chłopaki, którzy wcześniej kąpali się w morzu, już gdzieś zniknęli. Staruszek nadal spał, tłuszcz na fałdach brzusznych kobiety na turystycznym krzeselku powoli się roztopiał.

Postanowił poczekać, aż siatkarze będą wracać. Odpalił kolejnego papierosa, wypuścił dym z płuc. W tym momencie z ziemi poderwała się zakochana blondynka. Zrobiła w powietrzu zamach nogą, lekko obsypując ukochanego piaskiem. Szeroko się uśmiechnęła i zaczęła uciekać. Chłopak znów zaczął ją gonić. Krzyki, śmiechy. Mijanki, uniki. Po chwili dziewczyna skręciła w lewo. Stawiała małe kroczyki niczym sarenka.

Nagle przeraźliwie krzyknęła, jej kolano się zgięło, opadła na piasek.

Wszyscy na plaży zamarli, nawet szum morza na chwilę zelżał. Siatkarze spojrzeli po sobie i wypadli z wody. Staruszek się ocknął i nieprzytomnym wzrokiem rozglądał się wokół. Kobieta w bawełnianym biustonoszu podniosła się z krzeselka. Brunet uklęknął, pochylił się nad dziewczyną. Nie bardzo wiedział, co robić.

– Niech ktoś zadzwoni po pogotowie! – krzyknął siatkarz o blond włosach, który zdążył już podbiec do pary.

Ominął sparalizowanego strachem bruneta i wziął ranną dziewczynę na ręce.

– Niech ktoś dzwoni po karetkę! – powtórzył donośnym głosem i zaczął biec z ranną w stronę wyjścia z plaży.

Siatkarz poruszał się prężnym krokiem, lecz na jego twarzy rysowała się trwoga. Mimochodem obejrzał się za siebie. Krew z głęboko pociętej pięty dziewczyny lała się strumieniem. Znaczyła piasek nieregularnym wzorem.

Leżący pod krzakami mężczyzna w jasnych szortach oparł się na przedramionach. Wyciągnął głowę, nie odrywał od tej sceny spojrzenia. Gdy siatkarz z kobietą na rękach zniknęli za wydmami,

z powrotem położył głowę na plecaku. Wpatrzył się w błękitne niebo i szeroko się uśmiechnął.

2

Muzyka była głośna. Bardzo głośna. „I see you baby, shakin that ass, shakin that ass”. Głębokie basy tętniły w skroniach, obijały się o ściany gdyńskiej Klubokawiarni. Otaczający ją ludzie skakali w górę. Rytmicznie kiwali głowami, machali rękami. Byli uśmiechnięci, szczęśliwi. Alicja Grabska też czuła się szczęśliwa. Narkotyk w jej żyłach krążył powoli i rozkosznie. Bez pośpiechu kołysała ramionami, jej biodra bujały się płynnie na boki. Przejechała dłońmi po policzkach, uniosła włosy z szyi, zbierając je w niedbały kok. Puściła. Rozsypały się pszeniczną kaskadą na ramiona. Westchnęła. Było w tym westchnięciu coś tak zmysłowego, że przeszedł ją dreszcz. Przesunęła palcami po wilgotnej skórze klatki piersiowej. Delikatnie sunęła opuszkami w górę i w dół, delektując się dotykiem. Ciepłe światła wokół układały się w kolorowe wstążki. Były piękne. Takie piękne.

– Ale jesteś zrobiona. – Tajfun nachylił się ku niej.

Wysoki chłopak z ogoloną na łyso głową, o lekko zadartym nosie i rysującym się pomiędzy brwiami pieprzyku miał w tej chwili łobuzerskie spojrzenie.

Alicja pokiwała głową z uśmiechem, nie przestając się kołysać.

– Dobrze? – upewnił się.

– Dobrze – szepnęła bezgłośnie, tak by mógł odczytać słowa z ruchu jej ust.

– Okej – ucieszył się.

Puścił jej oczko i oddalił się do baru. Przystanął obok Olka, Kacpra i tego nowego. Popił piwo z małej buteleczki i zaciągnął się papierosem. Oparł się o blat i wypuścił dym w jej stronę. Wciąż się uśmiechał i nie spuszczał z niej wzroku. Nowy coś do niego powiedział. Tajfun pokiwał głową, odpowiedział i wybuchnął śmiechem. Nowy też zaczął się śmiać. Miał jasnobrązowe, cienkie dredy zebrane w kitkę, prosty nos i wydatne kości policzkowe. Przygarbiony, o głowę niższy od Tajfuna Radek Turski miał w sobie

coś niedopowiedzianego i pociągającego. Podobno był artystą. Rysował i rzeźbił. Alicja poznała go chwilę przed tym, zanim przeszedł do ich szkoły. Bawiła się na imprezie na działkach w Redłowie. Niemal nikogo tam nie znała i nawet nie pamiętała, jak tam trafiła. Totalnie wstawiona wyszła na taras domku i właśnie tam się na niego natknęła. Stał wpatrzony w dal i nagle przeniósł wzrok na nią. Patrzyli na siebie bez słowa. Wiedzieli. Takie rzeczy zawsze się wie.

Teraz też wiedzieli, choć od tamtej pory niemal nie zamienili ze sobą zdania.

Chłopak wymienił jeszcze kilka zdań z Tajfunem, wrzucił do ust słonego orzeszka i odwrócił się w jej kierunku. Alicja uśmiechnęła się kącikiem ust. Muzyka zwolniła. Zrobiło się nastrojowo.

Tajfun zdusił niedopałek w popielniczce stojącej na barze i podszedł do niej tanecznym krokiem. Szkolny rozrabiaka, ulubieniec wszystkich, w tym nauczycieli, nawet jeśli nie raz dał im popalić. Z nim zawsze było ciekawie. Nie tylko dlatego, że dysponował najlepszymi dragami w mieście. Chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie. – Auuuuu – zawył jak wilk i zaczął się śmiać.

Ona też zaczęła się śmiać. Przy nim zawsze było bezpiecznie. Na chwilę oparła głowę o jego klatkę piersiową i zerknęła w stronę Radka.

Patrzył.

Podobało mu się.

Lekko odsunęła się od Tajfuna i zmysłowo zakręciła biodrami.

3

Igor Olszewski cicho przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka. Ekstaza dawno przestała działać. Czuł tylko senność. Odwiesił kurtkę, zdjął buty i przejechał dłonią po łysej czaszce. Była mokra. Jedyne oznaka niedawnego odlotu. Uśmiechnął się na wspomnienie wieczoru i wszedł do kuchni. Wokół jak zawsze panował bałagan. W zlewie zalegały niepozmywane talerze, na klejącym blacie wały się brudne ścierki. Zajrzał do stojącego na kuchence gara pokrytego czerwoną, pełną odprysków emalią. Żur. Znowu. Na gęstej zupie

w szarym kolorze zebrały się oczka tłuszczu. Skrzywił się z niesmakiem. Matka wiedziała, że nie znosił żuru. Dlatego ciągle go gotowała. Na śniadanie, obiad, kolację. Tak się nad nim znęcała, od kiedy wyrósł na tyle, że nie pozwolił się bić. Gdy ostatni raz podniosła na niego rękę, tak ją jej wykręcił, że niemal zgięła się w pół. Doskonale pamiętał jej zdziwione spojrzenie. Otworzyła szeroko usta, pokazując czerniejące od papierosów i alkoholu zęby.

– Ty pierdolona suko – powiedział, zanim na nią napluł.

Miał wtedy piętnaście lat, dwa mniej niż teraz. Od tamtej pory metalowa szufelka, którą matka lubiła go zdzielić w plecy, stała nieużywana w kącie. Rodzicielka przez pewien czas starała się znaleźć inne sposoby, by poczuł się jak gówno. Lubiała na jego oczach żreć – czekoladę, białe pieczywo, kurczaka. Gdy miała dość, spuszczała jedzenie w kiblu. Dla niego był tylko szary żur. „Jak dla psa” – mawiała.

– Wróciłeś – usłyszał.

Odwrócił się. Matka stała w drzwiach do kuchni. Była w szarej koszuli nocnej sięgającej kolan. Mrużyła oczy, jakby raziło ją światło. Może spała, a może była po prostu pijana. Jak zawsze.

– Yhm – mruknął.

– Gdzie się znowu poniewierałeś? Za grosz wstydu nie masz – zachrypiała.

Chłopak spojrzał na matkę z odrazą. Miała popękane usta i suchą, zniszczoną twarz. Choć nie przekroczyła czterdziestki, wyglądała jak babina. Żółtawe stopy z długimi, grubymi, zaniedbanymi paznokciami, sflaczała skóra na rękach i nogach. Bił od niej smród tanich papierosów i wódki. Igor niczego się tak nie wstydził przed znajomymi jak matki, nawet tego zapuszczonego mieszkania.

– Ja nie mam wstydu? – Zlustrował ją z obrzydzeniem. – Ja?! – huknął. – Na siebie spójrz! Jak ty wyglądasz? Jak ty się w ogóle prezentujesz? Jak śmieć – wycedził i pokręcił głową.

– Jaka matka, taki syn – odrzekła rozbawiona i dodała z emfazą: – Nie pojąłeś jeszcze tego, Tajfun?

Chwiejnym krokiem potoczyła się w głąb mieszkania.

Chłopak patrzył za nią bez ruchu. Po chwili odwrócił się w stronę kuchenki, podniósł pokrywkę czerwonego garnka, odcharknął i siarczyście splunął do zupy.

Alicja Grabska wsadziła kasetę do niebieskiego walkmana. Z trzaskiem zamknęła klapkę. Nałożyła na głowę pałąk ze słuchawkami zakończonymi pomarańczowymi gąbkami. Wcisnęła „play”.

„I na pewno ty też to czasem masz. I na pewno ty też to dobrze znasz. Za późno wstałeś, do tego poniedziałek. Nie ma bułek ani mleka na śniadanie. Pogoda taka sobie, ale jakaś jest. Myślisz sobie, że to może da się zjeść. Nagle stajesz przed lustrem. Nie jesteś już bóstwem” – rozbrzmiał w uszach ulubiony kawałek zespołu Blenders.

Zbiegła po klatce i znalazła się przy ulicy Lipowej w Sopocie. Majowy dzień zapowiadał się pięknie. Słońce nieśmiało przebijało się przez szpaler drzew posadzonych przy chodniku. Okna w kamienicach z początku dwudziestego wieku gdzieniegdzie otwarto na oścież. Miała na sobie krótką jasną sukienkę w łączkę i granatowe rangersy. Blond włosy rozsypały się po nagich ramionach.

„I na pewno ty też to czasem masz. I na pewno ty też to dobrze znasz. Dość marudzenia, wieczór przed tobą. Spotkasz przyjaciół, pewnie ci pomogą” – zanuciła wraz z Glenem, wokalistą sopockiej grupy.

Dotarła do ulicy Kościuszki, skręciła w 3 Maja i w momencie, gdy skończyła się strona kasety, znalazła się przy alei Niepodległości. Korkującą się o tej porze ulicą w ciasnym rzędku posuwały się auta. Ogolony na zero pasażer czerwonego citroëna ZX otworzył szybkę i krzyknął do niej:

– Ej, niunia! Jakbyś zdjęła te buciory, tobym cię zaprosił na przejażdżkę!

Wraz z kierowcą wybuchnęli śmiechem.

– Dupek – syknęła Alicja pod nosem.

Nie obdarzając mężczyzn nawet przelotnym spojrzeniem, wyciągnęła lewą rękę i pokazała im fucka. Kierowca zatrąbił przeciągle i nacisnął gaz. Po chwili zniknął z horyzontu, a wraz z nim ulotnił się przebój *Coco Jambo*, który od jakichś trzech lat namiętnie puszczały wszystkie stacje radiowe.

Szła naprzód. Budynek II Liceum Ogólnokształcącego, zbudowany z czerwonej cegły na początku wieku, widoczny był już z daleka. Po chwili była na miejscu. Pod ciężkim, nawiązującym formą do gdańskiego renesansu gmachem powoli zbierali się uczniowie.

– Siemano. – Naprzeciw niej wyszedł Tajfun.

– Cześć – odpowiedziała.

Kątem oka dostrzegła Radka. Siedział na bocznej ławce i jarał fajkę.

– Pięknie wyglądasz – skomplementował ją Igor.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się i znów rzuciła spojrzenie na nowego.

Spotkali się wzrokiem. Alicja przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Radek wypuścił w jej stronę dym z papierosa, ale nawet nie skinął jej głową. Dziewczyna nie potrafiła go rozgryźć.

– Hej, kochana! – Na plecy skoczyła jej Ulka Jankowska.

Alicja lekko się zachwiała. Koleżanka zawsze tak ją witała.

Obok Ulki stanął jej bliźniaczy brat, Olek. Oboje mieli jasne włosy i bladą skórę, ale zupełnie inne charaktery. Ula była ekspresyjna i zawsze uśmiechnięta. Olek, z okrągłymi okularami na nosie – zamknięty w sobie i wiecznie zgryźliwy.

– Umiecie na anglika? – zapytała Ula. Alicja potwierdzająco skinęła głową. – Umiesz? Ty kujonie! Ja cały wieczór robiłam ściagi. Zobacz, jakie malutkie, nikt się nie pokapuje. – Ula wyciągnęła rękę. Spod rękawów swetra wychyły zapisane drobnym pismem karteczki przyklepione do skóry taśmą klejącą.

– Byś się raz nauczyła. – Olek z niesmakiem pokręcił głową.

– Mam lepsze rzeczy do roboty. – Ula się zaśmiała.

– Na przykład? – zapytał brat. – Bezmyślne oglądanie telewizji czy manikiur?

– Wal się. A manikiur mam bezbłędny. – Ula zaprezentowała długie różowe paznokcie.

– Dobra, już się nie boksujcie, bo klasówki i tak nie będzie. – Tajfun uśmiechnął się szelmowsko.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

– Jak to? – zapytał Olek.

– Tajfun, co ty znowu wymyśliłeś? – zapytała Alicja.

Igor Olszewski dyskretnie rozejrzał się wokół, po czym sięgnął do plecaka. Wyciągnął z niego małą ampulkę.

- Co to? – Olek zmarszczył brwi.
- „Stick boben” – odpowiedział Tajfun, znacząco podnosząc brwi.
- Cooo? – Alicja nachyliła się nad ampułką.
- Chlorek siarkowodoru. Ma zapach zgniłych jaj.
- Skąd to masz? – Uła się ucieszyła.
- Kupiłem w Śmiesznych rzeczach przy Świętojańskiej.
- No nie wiem... – zaczął Olek.
- Olas, nie świruj, będzie beka – powiedział Tajfun.

W tym momencie szkolny dzwonek przeszył powietrze. Popatrzyli na siebie porozumiewawczo i skierowali się do środka.

– Adamski. – Nauczycielka angielskiego Natalia Walc zaczęła sprawdzać listę obecności.

Tajfun puknął w plecy kolegę przed sobą.

- Podaj do Sierakowskiego – szepnął.
- Fijałkowska – wyczytywała Walc, gdy ampułka wędrowała z ręki do ręki w stronę pierwszej ławki.
- Sierakowski. – Nauczycielka doszła do końcówki listy.
- Jestem, pani profesor! – donośnie odpowiedział postawny chłopak, ostentacyjnie zrywając się z miejsca.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Siadaj, Sierakowski! – Walc przewróciła oczami. – No dobra, wyciągamy karteczki – nakazała.

– Ale, pani profesor... – stęknął ktoś z tyłu.

– Bez gadania. Proszę wyciągać!

Michał Sierakowski upuścił długopis i na chwilę zniknął pod ławką.

– Wszyscy mają kartki? Dobrze – powiedziała Walc.

Nagle się skrzywiła. Rozejrzała się po klasie. Wszyscy siedzieli spokojnie.

– Zaraz rozdám kserówki – podjęła nauczycielka, ale twarz nagle jej się skrzywiła. – Co to za zapach? – stęknęła, przykładając dłoń do ust.

Spojrzała na swoje skórzane buty. Te połyskiwały od wylanej na nie substancji.

Cała klasa znów wybuchnęła śmiechem.

Nauczycielka robiła się coraz bledsza, błędnym wzrokiem wodziła po uczniach.

Nagle z ławki z tyłu wstał Radek Turski. Przyłożył ramię do twarzy, ostentacyjnie przeszedł środkiem klasy i z hukiem trzasnął za sobą drzwiami.

W tym momencie Natalia Walc zwymiotowała.

– Zasłoń nos i chodź! – Tajfun nachylił się nad ławką Alicji, wyciągając do niej rękę.

Przeszli bokiem i też wydostali się z klasy.

Za nimi wytoczyli się inni uczniowie. Byli zieloni na twarzach.

– Przegiąłeś! – krzyknął Olek, z wyrzutem patrząc za Tajfunem oddalającym się z Alicją, po czym puścił pawia na ścianę szkolnego holu.

5

– Po co zadajesz się z tym pajacem?

Radek Turski stał nieopodal jej domu, oparty o drzewo. Głowa schowana była w ramionach. Wzrok miał uważny, mroczny.

Alicja zdjęła z uszu słuchawki. Pałak zawisł na jej szyi. Zwolniła, lecz nadal szła przed siebie. Sukienka w łączkę układała się gładko przy każdym jej kroku.

– Coś mówiłeś? – Przeszła obok.

Radek rzucił na ziemię papierosa i podążył za nią.

Czuła na sobie jego wzrok. Prześlizgiwał się po niej z góry na dół.

– O co chodzi z tym Tajfunem? – Zrównał się z nią krokiem.

– A o co ma chodzić? – zdziwiła się.

– Jesteście razem czy jak?

Alicja zatrzymała się.

– Przyjaźnimy się. To wszystko.

– Okej. – Uśmiechnął się lekko. – Mam coś dla ciebie.

Wyciągnął rękę i zamknął przedmiot w jej dłoni.

Rozchyliła palce.

Zielony liść z pąkiem białego kwiatu.

– Zrobiłem z modeliny. To lilia – powiedział. – Pasuje do ciebie.

Uśmiechnęła się wzruszona.

– Dziękuję – szepnęła i znów ruszyła przed siebie.

Radek patrzył, jak odchodzi. Znów czuła na sobie jego spojrzenie.

– Idziesz? – Przystanąła przy bramie domu. – Matki nie ma.

Chłopak skinął głową i poszedł za nią. Tym razem ona patrzyła na niego. Wyprostowane plecy, cieniuteńkie, jasnobrązowe dredy, kolczyk w kształcie kółeczka na chrząstce ucha, czarna koszulka z logo Kultu, spodnie za kolano, rangersy i zielona kostka na plecach.

Zamknęła drzwi wejściowe. W korytarzu panował mrok i przyjemny chłód. Oparł się plecami o ścianę, przyciągnął ją do siebie. Poczula na ustach jego wargi, a potem wilgotny, ciepły język.

– Robiłaś to kiedyś? – zapytał.

– Nie – szepnęła.

– A to? – Przejechał ręką po jej pośladku. Ścisnął go.

Pokręciła głową.

– Bo ja robiłem. Skosztowałem wszystkiego. – Nie przestawał jej całować. – Wszystkiego. I jeśli chcesz ze mną być, to też musisz. – Miękkie, wilgotne, ciepłe wargi na jej szyi. – Chcesz? Chcesz ze mną być?

Chciała. Ale czy chciała skosztować wszystkiego? Nie była pewna. Mimo to uśmiechnęła się lekko i poprowadziła go do dużego pokoju. Usiedli na brązowej sofie. Radek natychmiast zaczął ją całować w usta. Jednym ruchem podwinął jej sukienkę. Czula, że jej uda kleją się do skórzanego obicia. Po chwili znalazł się w niej. Wzięła głęboki oddech.

„Czy tego chciałam? Czy chciałam skosztować wszystkiego?” – myślała, gdy chłopak miarowo się w nią wbijał. Czula na sobie jego ciężar. Zacisnęła pięści i patrzyła w sufit. Plama po zabitym komarze miała nieregularny krwawo-czarny kształt.

Radek poruszył się jeszcze kilka razy i stoczył się z niej na sofę. Zapiął rozporek spodni, które nadal miał na sobie.

– Było ci dobrze? – upewnił się.

– Yhm.

– Miałaś orgazm? Bo jeśli nie miałaś, to znaczy, że jesteś oziębła – stwierdził i uważnie się jej przyjrzał.

– Miałam – uznała. Nie chciała być oziębła.

– Świetnie. – Ucieszył się. – Lecę, żeby twoja mama nas nie przyłapała.

Nachylił się ku niej. Wilgotne, ciepłe usta na jej ustach. Po chwili zniknął za drzwiami.

Alicja wyprostowała się i oderwała pośladki od mokrej od potu skórzanej sofy. Wstała. Sukienka opadła w dół. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że cały czas ścisnęła coś w ręku. Otworzyła palce. Po podłodze rozsypała się modelina.

6

Lodowata woda zalała jej stopy.

– Aaaaa! – krzyknęła rozbawiona Alicja, cofając się o kilka kroków. – Ale zimna!

– Chodź! – zawołała Ulka, łapiąc ją za rękę i ciągnąc do morza.

Zaczęły biec, przeskakując fale. Po kilku metrach ze śmiechem rzuciły się w wodę.

– Bosko! – Ulka dryfowała tuż obok koleżanki.

– No! – potwierdziła Alicja, przewracając się na plecy.

Wpatrzyła się w niebieskie, bezchmurne niebo. Wysoko nad nią przelatywały mewy. Fala uderzyła ją w kark, uniosła jej ciało i odpłynęła do brzegu.

Alicja zerknęła w stronę plaży w Dębkach. Po lewej stronie piasek przecinała błękitna rzeka Piaśnica. Brodziły w niej dzieci. Dwóch umięśnionych brunetów w krótkich, szerokich spodenkach ślizgało się na skimboardzie po wąskiej rzece wpadającej do Bałtyki. Dopływali do fali i wraz z nią surfowali z powrotem na plażę. W oddali dostrzegła Igora i Olka. Wracali z baru z plastikowymi kubeczkami z piwem w rękach. Radek leżał na kocu i czytał gazetę. Musiał wyczuć na sobie jej wzrok, bo podniósł głowę do góry i lekko opuścił okulary przeciwsłoneczne. W jej brzuchu pojawiło się znajome ciepło. Uśmiechnęła się lekko do siebie i znów pozwoliła, żeby uniosła ją woda. Od tamtego razu byli parą i wciąż kochali się w różnych dziwnych miejscach. Nie mieli gdzie pójść. Ojciec Radka przeszedł na rentę zdrowotną i nie ruszał się z mieszkania. Natomiast matka Alicji pilnowała, żeby nie zostawali ze sobą sam na sam dłużej niż pięć minut. Ale to nic. Dziewczynie podobało się to ciągle napięcie, to nieustanne mrowienie, które nie zawsze mogli

rozładować. Znow uderzyła w nią fala. Tym razem załała twarz, zmoczyła włosy. Alicja nic sobie z tego nie zrobiła. Spokojnie patrzyła w niebo. Czuła się wolna. Dorosła. Po raz pierwszy w życiu.

– Fajny ten Radek – powiedziała Ula.

– No. Fajny – przyznała z błogim uśmiechem Alicja.

– Ale Tajfun też fajny. Kurde, brałabym go. – Ula przygryzła wargę.

Fala uderzyła w jej kark.

– Serio? – zdziwiła się Ala, lekko podskakując, by woda nie załała jej twarzy. – Taki typ kumpla chyba bardziej – zastanowiła się.

– E tam, kumpla! Jest bardziej ponętny niż... no nie wiem... daewoo nubira! – Ula zaśmiała się. – Albo co najmniej tak podniecający jak pornole na RTL7! – Podniosła znacząco brwi.

– Coooo? – zszokowana Ala odwróciła się do koleżanki. – Oglądasz takie filmy? – Konfidencko ściszyła głos.

– No pewnie. – Ula położyła się plecami na fali. – Każdy ogląda. – Wzruszyła ramionami.

Alicja spiekła raka. Ona jeszcze nigdy czegoś takiego nie oglądała. Ale czy to, co robiła z Radkiem, nie byłoby dobrym materiałem na tego typu film? – zawahała się. „Nie” – postanowiła w myślach. „To była miłość. Czysta i piękna. Zupełnie prawdziwa”.

Chwilę jeszcze dryfowały.

– Wracamy? – zapytała w końcu. – Zimno się robi.

Ula kiwnęła głową. Zaczęły płynąć, raz po raz dając się ponieść przepływającym pod nimi falom. Potem wstały i uważnie pokonały płycticzną. Gdy szły plażą, piasek wzlatywał spod ich stóp. Dwie muśnięte słońcem blondynki w skąpych dwuczęściowych strojach. Wszystkie spojrzenia skierowane były teraz na nie. Ula podbiegła do Tajfuna i ze śmiechem wycisnęła wodę z włosów na jego klatkę piersiową.

– Uważaj na piwo! – Igor się poderwał.

– Jak trochę rozcieńczysz, to tylko wyjdzie ci na zdrowie – zaczęła śmiać się Ula.

Tajfun westchnął z rozdrażnieniem.

– No łeb tylko urwać – syknął pod nosem, z powrotem sadowiąc się na miejsce.

– Siora, nie rób poruty, co? – Olek z politowaniem spojrział na Ulę.

– O matko, jaki konduktorek – stęknęła dziewczyna, rozdziawiając znacząco usta. – Widzę, że ty też chcesz się zmoczyć.
– Podbiegła do siedzącego na kocu brata i wycisnęła na niego resztkę wody z włosów.

– Idź ty, mopie ty. – Olek skrzywił się z niesmakiem.

– Bliźniaki – bąknęła rozbawiona Alicja i podeszła do Radka.

– Co, piękna? – Ten położył dłoń na jej łydce i przejechał palcami po skórze.

Natychmiast pojawiła się na niej gęsia skórka.

Radek uśmiechnął się jedną stroną ust i podniósł się z koca. Chwycił ręcznik i przewiązany sznurkiem parawan leżący na piasku.

– Coś ci pokażę – powiedział.

– Zaraz wrócimy! – krzyknęła Alicja w stronę reszty, po czym podreptała ze śmiechem za chłopakiem.

Szli brzegiem morza, trzymając się za ręce. Woda oblewała im stopy; ich ślady odciskały się w mokrej, gładkiej powierzchni, po chwili znikając, jakby nigdy nie powstały.

– Ojej! Goły facet! – krzyknęła nagle Alicja, wciskając głowę w ramię Radka.

– To plaża nudystów. – Chłopak zaczął się śmiać.

– Co? Serio?

– Nigdy tu nie byłaś?

– Neeeeee – pisnęła dziewczyna, z zawstydzeniem rozglądając się wokół.

W morzu, kilka metrów od nich, stała naga kobieta. Pochylała się, rozprowadzając rękoma wodę po ramionach i szyi. Sutki dużych piersi niemal dotykały powierzchni Bałtyku, podobnie jak złożone w harmonijkę fałdy brzuszne, których co kilka sekund dotykały wzburzone fale. Powolnym krokiem brzegiem przeszedł starszy mężczyzna. Siwe włosy łonowe okalały miękkie, pomarszczone, podrygujące przy każdym kroku przyrodzenie. Na kocach opalały się rodziny z dziećmi, wszyscy jak ich Pan Bóg stworzył. Jakiś tata budował z synem zamek. Para nastolatków grała we frisbee. Ciemnowłosy jegomość w średnim wieku wbiegł z chlupotem do

morza i pomachał do zgrabnej rudowłosej naguski dyskutującej z inną kobietą i dwoma rozebranymi mężczyznami.

– Zszokowana? – zapytał Radek.

– Tak – wyrzuciła z siebie, słodko marszcząc nos. – Czemu oni to robią?

– Czemu wyskakują z ciuchów i urządzają sobie pogawędki zupełnie nago? – Wskazał na grupę stojącą pośrodku plaży.

– Yhm.

Radek wzruszył ramionami.

– Pewnie po to, żeby poczuć się zupełnie swobodnie. Żeby zbliżyć się do natury, wyzbyć ograniczeń społecznych, pozbyć poczucia wstydu.

– Mógłbyś tak? – Alicja uśmiechnęła się do niego kpiarsko.

– Czemu nie? – odpowiedział i pociągnął ją w głąb plaży.

Minęli leżące tu i ówdzie koce, możliwie jak najbardziej oddalając się od zgiełku. Zatrzymali się tuż pod wydymami porośniętymi wysoką, suchą trawą. Radek rozejrzał się, chwycił sporej wielkości kamień i wbił nim drewniane nogi granatowego parawanu głęboko w piasek. Z namaszczeniem rozłożył w środku duży ręcznik, usiadł na nim i zapraszającym gestem wskazał Alicji miejsce obok siebie.

– I co teraz? – spytała dziewczyna, moszcząc się na ręczniku.

Radek jednym ruchem ściągnął czerwone plażowe spodenki. Alicja przełknęła ślinę. Upewniła się, że nikt na nich nie patrzy, i powoli zaczęła rozwiązywać niebieski stanik – najpierw boczne sznureczki, następnie te związane w małą kokardkę wokół szyi. Materiał zsunął się po jej skórze, obnażając niewielkie, sterczące piersi zakończone drobnymi sutkami.

– Jeszcze dół – szepnął Radek.

Dziewczyna klękła i posłusznie zdjęła majtki, jedną ręką starając się zasłonić biust. Po chwili nakryła też łono.

Chłopak trzykrotnie cyknął językiem o podniebienie. Z dezaprobatą pokręcił głową. Powoli przesunął jej dłoń spoczywającą na piersiach w stronę brzucha. Palce Alicji prześlizgły się po mokrych od potu sutkach. To samo zrobił z drugą ręką dziewczyny.

Alicja oddychała głęboko. Starła się nie myśleć o zalewającej ją fali wstydu.

– Jesteś piękna – powiedział Radek i zaczął całować ją po wystających obojczykach. – Wszystko w tobie jest piękne. Nie musisz się wstydzić. – Jego usta wodziły po jej ramionach, szyi, karku.

Delikatnie popchnął ją na ręcznik i położył się obok. Po niebie przesuwały się teraz białe pierzaste chmury. Na chwilę zasłoniły słońce. Ciepłe światło wokół przybrało chłodniejszą barwę. Krzyki i śmiechy plażowiczów były przytłumione, jakby oddaliły się w czasie. Gdy w nią wszedł, słyszała tylko fale; pełen dzikości szum, który szukał ujścia. Westchnęła. Powoli oddawała się rozkoszy.

I wtedy gdzieś obok coś chrupnęło. Jakby pod czyimś ciężarem pękła sucha gałąź.

Alicja zamarła.

– Słyszałeś? – Ścisnęła jego ramiona. – Słyszałeś?!

– Nie – sapał Radek.

– Przestań! Przestań, słyszysz?! – Wbiła mu paznokcie w skórę.

Radek zatrzymał się. Podniósł głowę, rozejrzał się wokół.

– Nikogo tu nie ma – stwierdził. – Nikogo nie ma – szepnął i znów zaczął się w niej poruszać.

Alicja odetchnęła. Próbowała ponownie się zrelaksować, nie myśleć, oddać się miłości. Ale nie potrafiła. Ciągle miała wrażenie, że ktoś ich obserwuje. I widzi. Widzi wszystko, czego nie powinien zobaczyć.

2018

1

Chociaż lufciki wszystkich okien były otwarte, w pokoju panował zaduch. Skrzydła sufitowego wentylatora przebijały się przez gęste powietrze, wydając jednostajny szum. Za oknem pociemniało, niemal jakby zapadła noc. Przez srebrne żaluzje można było dojrzeć granatowe, coraz bardziej zachmurzone niebo.

Pałająca się na biurku Kordy lampka ledwo rozrzedzała mrok. I dobrze. Detektywowi podobało się światło wypełniające przestrzeń.

– Werka była dość miła. Ale też dziwna. Lubiała się flexować. Chwalić się, znaczy – powiedziała ciemnowłosa dziewczyna ubrana w białą ażurową bluzkę i džinsy z wysokim stanem.

– Larwa była. – Chłopak o postawionych włosach z uznaniem pokiwał głową.

– Lekko poryta, jak dla mnie. – Chłopak w koszuli w kratę wysoko podniósł brwi.

– Szczerze mówiąc, nigdy za nią nie przepadałam. Wyniosła i łatwa. – Piegowata uczennica w beżowym golfie patrzyła w ziemię.

– Otwarta, wygadana. Chillera utopia. – Pofarbowany na czarno wyrostek z włosami za ucho wygodnie rozparł się na krześle, skrzyżował ręce.

– Es, tak na nią mówiliśmy w klasie. – Rudzielec w czarnym kapeluszu rozdziawił usta i porozumiewawczo przymknął jedną powiekę.

– Czyli? – westchnął Korda.

– No, easy. Wyluzowana, łatwa, trochę specjalna. – Chłopak zaśmiał się nerwowo.

Oskar Korda czuł się coraz bardziej znużony. Twarze licealistów siedzących po drugiej stronie stołu nieustannie się zmieniały, zarazem zlewając się w jedną masę. Wszyscy mówili mniej więcej to samo, a on miał poczucie, że cenny czas przecieka mu przez palce.

Za oknem błysnęło. Po chwili powietrze przeszył ciężki grzmot.

– No dobra, dziękuję – powiedział Korda. – Idę po kawę, a tymczasem może wejść kolejna osoba.

Detektyw minął siedzącą pod ścianą garstkę licealistów i zbiegł na parter. Po chwili wahania zignorował automat z gorącymi napojami i wyszedł z budynku. Powietrze było ciężkie i lepkie, przesycone zapachem gorącego betonu i kasztanowców rosnących przy ulicy Armii Krajowej. Niebo wisiało nisko, ale nadal nie padało.

Skierował się do Baru na Komendzie, mieszczącego się tuż obok budynku policji. O tej porze lokal o pomalowanych na żółto ścianach i podłodze wyłożonej szaroniebieskimi kaflami na szczęście był pusty. Przykryte białymi obrusami i zielonkawymi matami stoły czekały na popołudniowych klientów. Podeszedł do obitej sklejką lady.

– A dzień dobry, panie Oskarze – ucieszyła się na jego widok kobieta w granatowym T-shircie.

– Dzień dobry – odparł detektyw. – Kawkę, pani Halinko.

Kobieta skinęła głową i podeszła do czajnika stojącego na szafce.

– Ale zaraz lunie – zagaiła. – Ciemno się zrobiło, górne światło musiałam włączyć. – Wskazała na jarzeniówki na suficie. – A ja prosto od fryzjera – dodała zupełnie bez związku i dotknęła ściętych za ucho włosów. – Balejaż zrobiłam.

– Ładnie – stwierdził Korda.

Small talk nie był jego mocną stroną.

Pani Halina zalała wrzątkiem wsypaną do kubka kawę.

– Tylko kubek proszę potem odnieść. – Pogroziła Kordzie palcem.

– Yhm – mruknął detektyw, choć myślami był zupełnie gdzie indziej.

Blond włosy rozsypane wokół głowy. Biała, nieskazitelna skóra na nagim, zakopanym wśród liści ciele. Głęboka, czarna otchłań przecinająca szyję. „Es, tak na nią mówiliśmy”.

Wyszedł z baru i spojrzał w górę.

„Larwa była”, „chillera utopia”, „lubiała się flexować” – głowę wypemniały mu głosy licealistów.

Coś kapnęło mu na twarz. Zerknął na trzymaną w rękę kawę. Na jej powierzchni widać było pierwsze krople deszczu.

W końcu, pomyślał z ulgą.

Zdał sobie sprawę, że czarna bawełniana koszulka przylepia mu się do pleców.

W momencie gdy wszedł do budynku komendy, deszcz zaczął płynąć strumieniem. Czym prędzej przemierzył korytarz.

– Dzień dobry. Przepraszam, że tyle to trwało. – Zamknął za sobą drzwi gabinetu.

Powietrze przeciął grzmot. Uczennica siedząca na krześle równocześnie pisnęła i podskoczyła.

Korda lekko się uśmiechnął, postawił kawę na blacie biurka i usiadł na swoim fotelu.

Przyjrzał się dziewczynie. Brązowe oczy okalały długie, podkreśnione tuszem rzęsy. Nad nimi rysowały się grube brwi. Na policzkach dostrzegł subtelny róż. Usta pociągnięte były błyszczkiem. Czarne, lśniące włosy przycięto równo przy linii żuchwy.

– Jak się nazywasz?

– Wioleta Orzechowska. Wiola – odpowiedziała.

Miała miły głos. Niski, lekko chropowaty.

– Chodziłaś do klasy z Weroniką Mazur, czy tak? – upewnił się detektyw.

– Tak.

– Dobrze ją znałaś?

Korda od niechcienia spojrzął za okno. Ciężkie krople deszczu bębniły o parapet, niemal zagłuszając miarowy, usypiający szum sufitowego wentylatora.

– Trudno powiedzieć – odparła Wiola. – Ale pewnie lepiej niż inni w klasie.

Detektyw przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Skąd taka pewność?

– Cóż, ostatnio się trochę zbliżyłyśmy. Oczywiście na początku kompletnie jej nie trawiłam, zresztą z wzajemnością. Jej też podobał się Paweł Witkowski, więc tak jakby rywalizowałyśmy. Ale jak się okazało, że Paweł to dupek, który robi na boki, to stałyśmy się kumpelami. Nic tak nie łączy jak wspólny wróg, nie? – Uśmiechnęła się półgębkiem i rozejrzała po pokoju. – Mogę zapalić? – Wskazała na paczkę marlboro leżącą na biurku.

– Nie – sucho odparł Korda. – Więc zbliżyłaś się z Werą. Co było dalej?

– Kręciłyśmy się tu i tam po szkole. Coraz częściej robiłyśmy sobie tripy.

– Tripy – powtórzył Korda. Czuł się, jakby przechodził dzisiaj przyspieszony kurs młodzieżowego slangu.

– Tak. W sumie po pierwszej tego typu wycieczce nie miałam specjalnie ochoty na takie akcje, ale Wera tak jakby się wkręciła, co mnie w sumie zaskoczyło, bo na początku myślałam, że to taka typowa miejska lala, co woli po imprezach latać niż po lasach.

– Latałyście po lasach? – Korda zmrużył oczy.

– Hm, wiedziałam, że to pana detektywa zainteresuje. – Wiola nachyliła się i postukała długimi paznokciami o blat. – To co, mogę zapalić? – Uśmiechnęła się chytrze.

– Nie – odpowiedział niewzruszony policjant.

Dziewczyna westchnęła i opadła na krzesło.

– No dobra. To od początku. O co chodzi z tymi tripami? – Korda założył ręce na piersiach.

Poczuł, że powietrze zaczęło się w końcu przeredzać, rozjaśniał się też jego umysł zmęczony rozmowami z bandą grypsujących licealistów.

– Jakiś czas temu Paweł wyprawiał urodziny. No i podczas imprezy wyskoczyła mu taka aplikacja na Fejsie, Place to Rest. – Korda natychmiast się wyprostował. – I że niemal od razu po ściągnięciu aplikacji przyszła wiadomość, że w okolicy jest dostępna lokalizacja, to Paweł wymyślił, że wszyscy tam pójdziemy. No i poszliśmy. Do lasu. Dość głęboko w sumie. No i znaleźliśmy lalkę.

– Lalkę?

– Yhm. Porcelanową, lekko połamaną, a w dodatku siedzącą na huśtawce. Generalnie to było mega creepy. – Wiola znów łakomie zerknęła na paczkę papierosów należących do Kordy. Musiała się denerwować, choć w ogóle nie było tego po niej widać. – A po chwili – podjęła opowieść – usłyszeliśmy głos. Trochę jakby z zaświatów. „Nie chcę. Niech pan przestanie” – zaintonowała, podnosząc ręce do góry.

Korda ściągnął brwi.

– Wiem, jak to brzmi. – Wiola pokręciła głową. – Ale tak było. Serio. Totalnie nas wszystkich zgięło. I jak wariaci zaczęliśmy uciekać. Po chwili do nas dotarło, że to wszystko było inscenizowane, ale co się przestraszyliśmy, to nasze.

– I Weronice się spodobało – podsumował Korda.

– Widocznie. Bo jak się potem skumałyśmy, to zaczęła mnie ciągać w różne miejsca, w sumie najczęściej do lasu.

Korda mruknął i sięgnął po telefon. Odpalił filmik ściągnięty z karty pamięci znalezionej na miejscu zbrodni.

– A to miejsce? Kojarzysz?

Dziewczyna przyglądała się migoczącej w słońcu wodzie, z której wystawały brzozy połamane jak zapałki.

– Nie – stwierdziła. – Nigdy tam nie byliśmy.

Detektyw odłożył smartfona z powrotem na blat biurka. Westchnął.

– No dobrze. A natknęłyście się na coś ciekawego podczas tych waszych tripów?

– Przeważnie nic specjalnego tam nie było. A to rozbita porcelana pośród liści, trochę jak od tamtej lalki, a to czerwona scrunchie... – Detektyw skrzywił się pytająco. – No gumka taka mięsista, jak to w latach dziewięćdziesiątych się na włosach nosiło – wyjaśniła dziewczyna. – A raz majtki znalazłyśmy, różowe, z koronki. No serio. Chyba zresztą używane. – Wiola skrzywiła się. – Ale Wera nie chciała odpuścić, jakby czegoś szukała. Tę porcelanę to z każdej strony obejrzała nawet. I te majtki zabrała. Do kieszeni normalnie schowała. – Orzechowska z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Jak myślisz, czego Wera mogła tam szukać? – zastanowił się Korda.

– Nie wiem. Ale słyszał pan, że mówiliśmy na nią w klasie Es? – zapytała Wiola, a detektyw skinął głową. – No właśnie. Cóż, ja tam z czasem Werę polubiłam i nie chcę mówić źle o niej po tym, co ją spotkało. – Znów pokręciła głową ze smutkiem. – Ale ona nie do końca była normalna. I z tego co się zdążyłam zorientować, ryzyko lubiła.

– Dlaczego tak uważasz?

– A bo po lesie sama wieczorem łąziła, a przecież każdy słyszał o tamtej zabitej studentce. Ja po tym morderstwie nie dałam się

więcej wyciągnąć na trip. Ale Werka, jak zakładam, nie odpuściła. No i się doigrała. Wylądowała w końcu w złym miejscu o złej porze.

Mówiąc to, Wiola jakby zapadła się w sobie. Kordzie nie udało się z niej już nic sensownego wyciągnąć.

Gdy dziewczyna zniknęła za drzwiami, detektyw sięgnął po telefon i wbił nazwę aplikacji. Na ekranie wyświetliła mu się zielona ikonka z czarnym pudełkiem przewiązany czerwoną wstążką. Zerknął na opis: „Szukasz intensywnych przeżyć? Rozejrzyj się”. I tyle. Nic więcej. Zjechał w dół i rozwinął pasek „kontakt z deweloperem”. Brak adresu mailowego. Nacisnął ikonkę globu. Przekierowało go na stronę, która nie istnieje. Wszedł w politykę prywatności – wyświetlił się plik napisany jakimiś chińskimi znaczkami. O dziwo, nie znalazł też informacji o liczbie pobrań i opiniach użytkowników. Nieufnie rzucił okiem na dołączoną instrukcję tłumaczącą, że miejsca wyszukiwane są za pomocą kwantowego generatora liczb losowych, i odczytał komendę: „zainstaluj”. Pokręcił głową. Prychnął. Odłożył telefon, znów wziął go do ręki. Przed oczami stanęły mu ciała młodych nagich kobiet o głęboko poranionych szyjach ułożone wśród liści. Jego palec zawisł nad ekranem. Po chwili namysłu kliknął w zielony pasek komendy. Aplikacja zaczęła się ściągać.

Gdy pasek pobierania rysował się na zielono, nagle coś go tknęło. Dotarło do niego, co powiedziała przed chwilą Wiola. Kliknął w zapisane w smartfonie pliki i odpalił pierwszy na liście. Kamera zaczęła przesuwac się po brzegu porośniętego stawu, z którego jeden po drugim wyrastają białe kikuty złamanych w połowie drzew. Przebitka: Magdalena Wirewicz idzie po ulicy. Znów pojawił się ukryty w lesie staw. W tafli wody odbija się zachodzące słońce. Przebitka: blondwłosa studentka ładuje do siatki zakupy przy sklepowej ladzie. Ponownie mieniący się blaskiem staw. Kikuty drzew. Przebitka: Wirewicz stoi przed budynkiem wydziału dziennikarstwa.

Korda wcisnął pauzę.

To jedyne ujęcie, na którym dziewczyna nie miała rozpuszczonych włosów.

Przyjrzał się jej uważnie.

Nie mylił się. Kitka związana była czerwona, mięsistą gumką.

– Scrunchie – szepnął detektyw.
Znów poczuł, jak oblewa go gorąco.

2

Niepokój. Czują go, od kiedy pamiętała. Cichy, niewidoczny, niemal niezauważalnie drążący w jej ciele. Nie potrafiła wskazać momentu, w którym się w niej pojawił. Może był tam zawsze? Czasami o nim zapominała, czasami oszukiwała samą siebie, że już go w sobie nie nosi, ale to nie znaczyło, że zniknął. Zawsze czaił się pod powierzchnią, by wychynąć w najmniej oczekiwanym momencie.

Teraz wyraźnie wzrastał. Wzmagał go każdy jej krok, dźwięk stukających o chodnik obcasów, mdły zapach majowego popołudnia, radosne głosy mijanych ludzi. W głowie Alicji ponownie pojawił się obraz miejsca, w którym natknęła się na zamordowaną dziewczynę. Poczowała się tak, jakby znów wspinała się na leśne wzgórze, by dotrzeć do nagiego, bladego ciała. Niepotrzebnie tam wracała. Niepotrzebnie patrzyła w puste, jasnoniebieskie oczy, nachylała się nad zionącą jak jama raną na szyi, muskała zimną, twardą, jakby odlaną z wosku nierealną dłoń.

– No jesteś! – Aleksander Nowicki pomachał jej.

Głos chłopaka wyrwał Alicję z zamyślenia. Niepokój wycofał się lekko, przyczajając się tuż pod skórą. Wokół rozbrzmiała głośnie muzyka. Tapas Bar przy Pułaskiego wypełniał gwar rozmów. Przecisnęła się przez grupkę ludzi przy barze i podeszła do mężczyzny siedzącego przy wysokiej beczce służącej za stół. Ten wstał, pocałował ją w policzek i wskazał jej miejsce obok.

– Coś nowego – powiedział z kpiarskim uśmiechem.

– Ale co? – zapytała.

Miała ciągle wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się, ale nie zauważyła nikogo podejrzanego.

– Spotkanie sam na sam w miejscu publicznym. – Aleks rozłożył ręce.

Alicja ściągnęła brwi.

– Serio? – zdziwiła się.

– No. Zawsze spotykaliśmy się u mnie. Jedynie u mnie – podkreślił.

– Hm – odparła rozkojarzona Alicja.

Nie mogła się skupić.

– Pijemy? – zapytała.

– Pijemy – przytaknął Aleks. – Co chcesz? – Wstał i ruszył w stronę baru.

– Gruszkówkę – odpowiedziała.

Po chwili wrócił z karafką wypełnioną złotym płynem i dwoma szerokimi kieliszkami. Alicja sięgnęła po nią, wypełniła swój kieliszek i wypiła na raz. Nie czekając, powtórzyła całą procedurę.

– Ciężki dzień? – zapytał rozbawiony Aleks, siadając obok niej.

– Mało powiedziane. Znasz aplikację Place to Rest?

– Obiło mi się o uszy, choć słyszałem, że to ściema.

– Jak to?

– Podobno subskrybenci rzadko dostają powiadomienia o dostępnej lokalizacji, bo chyba na tej zasadzie to działa, jeśli dobrze pamiętam, a jeśli nawet, to aplikacja prowadzi ich w tak zwane puste pole. W sensie, wiesz, nic ciekawego nie znajdują.

Aleks sięgnął po nalewkę i polał sobie i Alicji.

– Ja znalazłam – powiedziała i znów wychyliła shota.

– O! Coś ciekawego? – zainteresował się Aleks.

– No. Trupa.

Nowicki prychnął.

– Serio – dodała Alicja, patrząc na niego poważnie.

– No co ty? – Mina Aleksa zaczęła rzednąć.

– Przedwczoraj sobie tę aplikację odpaliłam, wiesz, na poprawę humoru, bo znów wjechałam na czołówkę z matką. Wtedy jeszcze myślałam, że nic gorszego w tym dniu nie może mnie spotkać. A tu bam. Kolejna czołowa, tylko tym razem śmiertelna. – Alicja ciężko westchnęła.

– Ale jak to? – Aleks czuł, że nie rozumie już nic.

– Oglądałeś wczoraj *Panoramę*? – Aleks otworzył szeroko oczy ze zdumienia. – No, to chyba wszystko jasne.

Tym razem to on sięgnął po kieliszek i wychylił go do dna.

– Jasna cholera. Jak się czujesz? – Złapał ją za ramię.

– Pewnie lepiej niż tamta licealistka. Ale wiesz, też niewyraźnie. – Alicja uśmiechnęła się blado. – Mam do ciebie prośbę. – Spojrzała czujnie na Aleksa. – Zbadaj mi tę apkę.

– Co cię interesuje?

– Chcę wiedzieć, jak działa. I nie chodzi mi o to kwantowe gówno, o którym piszą w instrukcji, bo nie wierzę, by jakiś serwer gdzieś po drugiej stronie globu losowo wygenerował współrzędne miejsca, w którym akurat leżało ciało zamordowanej uczennicy. No chyba że sekcja wykaże, że to ciało wysmarowano czymś radioaktywnym. Co jeszcze? – zastanowiła się Grabska. – Interesowałoby mnie to, czy jeszcze ktoś oprócz mnie trafił na filmy porno w pustostanach, pary w lesie bzykające się jak króliki, no i oczywiście na ofiary zbrodni. Nawet nie pytaj – ucięła, widząc zaintrygowane spojrzenie Aleksa. – No i oczywiście chcę wiedzieć, kto stworzył tę diabelską apkę, ewentualnie kto to całe przedsięwzięcie sponsoruje i czemu wyłożył grubą kasę, żeby się promować w tak marnej gazecie jak „Dziennik Trójmiejski”.

Aleks skinął głową.

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? Może mógłbym cię rozluźnić? Wiesz jak. – Puścił do niej oko.

Alicja się zawahała.

Leżące na ziemi ciało.

Martwy, nieruchomy wzrok.

Zimna, zupełnie nierealna dłoń, jakby odlana z wosku.

– Dzięki. – Alicja wzdrygnęła się. – Chciałabym, ale chyba nie jestem dziś w nastroju. Najlepiej będzie, jak się położę. Wezmę taknę, bo nie mam siły nawet iść. Na razie! – Machnęła ręką i skierowała się ku wyjściu.

– To taksówkę ci zamówię! – krzyknął za nią Aleks, choć zdał sobie nagle sprawę, że tuż obok knajpy stoi ich cały rzadek.

Przez przezroczystry brezent zewnętrznego tarasu patrzył, jak Alicja wychodzi na dwór, otwiera drzwi srebrnego bmw, wymienia kilka słów z łysym taksówkarzem, po czym wsiada. Gdy samochód zniknął mu z oczu, sięgnął po kieliszek Alicji i ostrożnie spił z niego pozostałe na dnie krople.

3

Oskar podjechał pod dwukondygnacyjny dworek, w którym mieściła się redakcja „Dziennika Trójmiejskiego”. Zaparkował auto, wysiadł i po raz kolejny z irytacją zerknął na wyświetlacz telefonu. Nic. Nadal nie dostał powiadomienia od Place to Rest o dostępnej lokalizacji.

Wszedł do budynku i zapytał o pokój naczelnego. Miał wielką nadzieję, że Wiktor Szylbach będzie mógł mu powiedzieć coś więcej o tajemniczej aplikacji. W końcu Alicja Grabska wspominała, że jej szef podpisał umowę na promocję z właścicielem Place to Rest.

Wbiegł po schodach i zapukał w drzwi po lewej. Redaktor podniósł pytający wzrok znad klawiatury komputera.

– Detektyw Oskar Korda – przedstawił się policjant. – Dzwoniłem wcześniej.

– Tak, tak – odpowiedział naczelny. – Bardzo proszę. W czym mogę pomóc? – Uśmiechnął się, choć spojrzenie miał nieobecne.

Siwe włosy sterczały mu na boki. Koszulka polo, którą na sobie miał, była czysta, choć z pewnością pamiętała lepsze czasy.

– Poszukuję informacji na temat aplikacji Place to Rest, a pan podobno podpisał umowę na jej promowanie w waszym dzienniku.

Mina Szylbacha natychmiast zrzędała.

– A o co chodzi? – zapytał słabym głosem.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstw dokonanych na młodych kobietach, do których doszło w sopockim lesie. Na pewno pan słyszał. Okazuje się, że jedna z ofiar korzystała z tej aplikacji. Tym samym, rozumie pan, musimy to sprawdzić. Być może ustalenie trasy jej wycieczek rzuci jakieś światło na to, gdzie bywała i na kogo mogła się natknąć.

Redaktor pokiwał głową.

– No tak – powiedział jakby do siebie. – Co pan detektyw chce wiedzieć?

– Cóż, przede wszystkim: kto jest właścicielem tej apki.

Wiktor Szylbach zamarł.

– Właścicielem... – Zastanowił się.

Korda zmrużył oczy.

– A z kim pan podpisał umowę?

– Cóż, w sumie to wszystko działo się elektronicznie. Dostałem maila z propozycją współpracy, na którą chętnie przystałem, a potem przysłali mi przelew. I w sumie nadal czekam na umowę, mieli ją podesłać do redakcji, no ale, wie pan, umowa ustna liczy się tak samo jak umowa pisemna, więc już przystąpiliśmy do pracy. Pan chwilę poczeka. – Szylbach sięgnął po komórkę i powiedział do słuchawki: – Helenka, przyszła już może umowa od Place to Rest? Nie? Aha, dobra, dzięki. – Spojrzał z powrotem na detektywa. – No niestety, nadal czekamy.

Korda mruknął ironicznie.

– No dobrze, a te maile to z kim dokładnie pan pisał?

– Z Januszem Kowalskim, przedstawicielem Place to Rest. Zaraz zobaczę, może w mailu będzie jakaś stopka.

Szylbach energicznie zaczął klikać w klawiaturę, po czym kilkakrotnie przewinął pasek myszy w dół.

– No gdzie to... – Stęknął pod nosem. – Ach, tyle tych maili przychodzi. No dobra, zobaczę w wyszukiwarce. Place to Rest. Hmm. Nie wiem. – Ściągnął brwi. – Może zobaczę pod „Janusz Kowalski”. Nie. Też nie. Hmm. Dziwne... – Podniósł wzrok na Korde. – Zobaczę w koszu. Może przez przypadek... – Szylbach podjął poszukiwania, ale po jego minie było widać, że i tutaj nie wyładowała jego korespondencja z przedstawicielem aplikacji.

– To może pan sprawdzi na stronie banku? Na przelewie zawsze są dane. – Korda czuł narastające zniecierpliwienie.

– Tak! – ucieszył się naczelny. – Oczywiście! – Wyraźnie odetchnął, choć na jego policzkach pojawiły się rumieńce.

Szylbach znów zaczął klikać, wpatrując się w ekran. Od grubych szkielec odbijało się niebieskawe światło monitora.

Nagle poblądł.

– Nie, nie, nie, nie, nie – zaczął powtarzać nerwowo. – Nie! – Z niedowierzaniem zerwał się z krzesła.

Detektyw też wstał. Mierzył redaktora pytającym wzrokiem. Ten złapał się za serce. Z jego twarzy zupełnie odpłynęła krew.

Woda była przyjemna. Spływała po jej włosach, rzęsach, ustach. Alicja stała pod deszczownicą już kilka dobrych minut, starając się uspokoić nerwowe myśli, których nie przyhamował nawet wypity dziś alkohol. W końcu zakręciła wodę i wytarła się grubym białym ręcznikiem. Włożyła na siebie wyciągniętą jasną koszulkę i luźne dżinsy i wyszła z łazienki. Przeszła korytarzem do kuchni. Otworzyła lodówkę, przejechała wzrokiem po stojących w niej produktach. Jej spojrzenie zatrzymało się na butelce schłodzonego białego wina. Chwilę się wahała, jednak w końcu chwyciła kawałek pizzy, który został jej z wczoraj, zamknęła drzwiczki i wstawiła wodę na herbatę. Z dużego pokoju dobiegały dźwięki muzyki puszczanej w MTV 90s. „This is the rhythm of the night”, zaczęła podśpiewywać Alicja. Czajnik szumiał coraz głośniej. Wyciągnęła z szafki ulubiony kubek, wrzuciła do niego saszetkę earl greya, wgryzła się w pizzę, zalała herbatę.

Drrrr.

Usłyszała znajomy dźwięk.

Zamarła i niepewnie spojrzała na leżący na szafce telefon. Nie odrywając od niego wzroku, kilkakrotnie zamoczyła saszetkę we wrzątku, po czym ją wydobyła i niedbale położyła na przygodnym talerzu. Sięgnęła po aparat. Odblokowała.

„Masz dostępną lokalizację” – odczytała wiadomość zilustrowaną zieloną ikonką z pudłem prezentowym.

Przecież usunęła aplikację. Dokładnie pamiętała, jak wcisnęła polecenie „odinstaluj”. „Może w międzyczasie ktoś zadzwonił i proces został przerwany?” – zastanowiła się. W sumie nie sprawdziła, czy aplikacja zniknęła z jej smartfona.

Odnalazła na wyświetlaczu grafikę Place to Rest, przycisnęła ją palcem, znów wybrała opcję „Odinstalować tę aplikację?”. Wdusiła „OK”, ale ikonka apki nadal figurowała pomiędzy PicsArt a Messengerem. Powtórzyła procedurę, ale nic się nie zmieniło.

– Co do licha? – stęknęła.

Powietrze znów przeszył dzwonek. Tym razem do drzwi. Alicja spojrzała na zegar. To pewnie kurier Marcin z paczką. Podreptała przez korytarz i nacisnęła klamkę.

Ciemne, głęboko osadzone oczy, pofalowane włosy, cienka blizna ciągnąca się przez cały policzek, sięgająca ust.

– Mogę wejść? – zapytał.

Kiwnęła głową i wpuściła go do środka.

– Chcesz herbatę? – zapytała, przechodząc do kuchni.

– Dzięki, nie – odmówił, lecz mimo to Alicja wcisnęła pstryczek czajnika, wypełniając kuchnię kojącym szumem.

Chwilę stali bez słowa. Korda nie spuszczał z niej wzroku.

– Ładnie wyglądasz – powiedział w końcu, lekko się uśmiechając.

Blizna powędrowała do góry, sprawiając, że usta detektywa wykrzywiły się w znanym Alicji grymasie.

– Yhm. – Grabska wydała z siebie trudny do zdefiniowania dźwięk, mimowolnie poprawiając ręką wilgotne włosy, które opadły jej na czoło.

– Jak się czujesz? – Detektyw spoważniał.

– Okej – powiedziała pewnym głosem, choć nie do końca było to prawdą. – Po co tu jesteś? – szybko zmieniła temat.

Nie znosiła przyznawać się do słabości, nawet przed samą sobą.

– Miałaś rację co do tej aplikacji. W każdym razie coś jest na rzeczy, bo ostatnia z ofiar też używała Place to Rest.

Grabska wstrzymała oddech. Choć czuła, że nie przypadkiem natknęła się w lesie na ciało dziewczyny, to potwierdzenie tego z ust Kordy wywołało u niej mdłości.

– Namierzyliście jej twórcę?

– Na razie nie. Apka nie ma żadnej strony, a w jej opisie brakuje formalnych danych.

– Hm, to w jaki sposób znalazła się w sklepie operatora? – zdziwiła się Alicja. – Przecież musiała przejść jakąś wcześniejszą weryfikację czy coś...

– Ustalamy to.

– Zapytaj Szylbacha, mojego szefa, on z nimi podpisał ostatnio umowę.

– Pytałem. Okazało się, że umowa nie dotarła, a maile, które Szylbach wymienił z przedstawicielem Kowalskim, wyparowały.

Grabska wysoko podniosła brwi.

– W takim razie przelew. Szylbach mówi, że Place to Rest wybuliło z góry spore pieniądze.

– Znów cię zaskoczę. Po pieniądzach nie ma żadnego śladu, choć naczelny się zapiera, że przelew został zaksięgowany na firmowym

koncie i osobiście widział przelaną kwotę na rachunku.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się Alicja.

– To też staramy się ustalić – powtórzył Korda.

Grabska w zamyśleniu pokiwała głową. Znow zapadła niezręczna cisza. Dziennikarka spotkała się ze wzrokiem detektywa. Poczula, jak po jej twarzy rozlewa się rumieniec.

– Coś jeszcze? Bo jestem trochę zajęta. – Jej głos zabrzmiał bardziej ostro, niż chciała.

– Tak. – Oskar skinął głową. Odpalił filmik w telefonie. – Czy apka poprowadziła cię w to miejsce?

Alicja przyglądała się nagim, połamanym brzozom wyrastającym z wody i przeszedł ją dreszcz.

– Nie – powiedziała w końcu. – Najpierw mnie skierowała do wieży widokowej w Gdyni, potem do pustostanu we Wrzeszczu, a potem... sam wiesz gdzie. – Wzdrygnęła się. – Ale wydaje mi się, że mignął mi gdzieś ten obraz. – Zastanowiła się. – A tak! Wydaje mi się, że na tej kasecie w magnetowidzie we Wrzeszczu była taka przebitka! Musisz sprawdzić, czy ta kasetka nadal tam jest!

– Sprawdziłem. Zresztą sprawdziliśmy wszystkie te lokalizacje, które wskazałaś, ale nic tam nie znaleźliśmy. Wszystko wyczyszczone.

Alicja znow przyjrzała się obrazowi na telefonie trzymanym przez Korde.

– Co to za miejsce?

– Właśnie sam chciałbym wiedzieć – westchnął detektyw. – A dostałaś może aktualną informację o dostępnej lokalizacji na Place to Rest?

Teraz Alicja wbiła wzrok w Korde. Po chwili odrzekła:

– Tak, przed chwilą. Choć próbowałam to cholerstwo odinstalować, ale nie idzie.

– Pokaż.

Grabska weszła w wiadomość i otworzyła trasę.

– Hm, to gdzieś pomiędzy Żukowem a Kościerzyną – stwierdził policjant, przybliżając mapę.

– Tak daleko? Tego jeszcze nie grali – zdziwiła się Alicja.

– Czterdzieści kilometrów – powiedział Korda. – No dobra, to szykuj się.

- Słucham? – Alicja zaśmiała się.
 - Mówię serio. Trzeba to sprawdzić.
 - Sam sobie sprawdź. Ja nie jadę.
 - Okej. Ale biorę twój telefon.
 - Nie ma mowy, Korda. Zrób sobie screena.
 - Na tej trasie nie pokazuje punktu docelowego.
 - No to sam sobie ściągnij apkę i czekaj na szczęście.
 - Ściągnąłem kilka godzin temu, podobnie jak gwardia moich ludzi, ale szczęście nie przyszło.
 - Niemożliwe, przecież ja dostałam niemal... – Alicja urwała.
- Nie chciała skończyć zdania, bo na razie nie przyjmowała do świadomości wniosku, który jej się nasunął.
- Czuła, jak zalewa ją fala gorąca. Nie potrafiła się ruszyć.
- Korda chwilę się jej przyglądał, po czym podrzucił w dłoni jej telefon i ruszył do drzwi. Dopiero trzaśnięcie wyrwało Grabską z letargu.
- Szlag – syknęła.
- Popędziła do korytarza, niemal w biegu włożyła trampki, chwyciła rozpinany sweter i zbiegła po klatce.
- Oskar Korda czekał w czarnej alfie zaparkowanej przy Haffnera. Drzwi pasażera były szeroko uchylone.
- Nawet nie znasz PIN-u – rzuciła, wsiadając do środka.
- Korda ze zgryźliwym uśmiechem podał jej smartfona. Alicja z miną pełną niedowierzania odblokowała ekran.
- Kieruj się na wschód – zakomenderował telefon.

5

Pomarańczowe słońce chyliło się ku zachodowi. Mijali zielone łąki, gospodarstwa, małe miściny, pola obsadzone kwitnącym rzepakiem. Przez większą część drogi milczeli. Żadne z nich nie miało ochoty na rozmowę o niczym, zaś tematy, które krążyły im po głowach, były zbyt upiorne.

Minęli kolejne miasteczko. Po obu stronach drogi zaczął ciągnąć się gęsty las. Przez pnie drzew przebijały się słoneczne promienie, które rysowały po szybie.

– Dojeżdżamy na miejsce – odezwała się Alicja. – Za trzysta metrów mamy skręcić w lewo.

Podniosła głowę i spojrzała przed siebie. Tuż przy drodze stał parasol w kolorowe pasy. Pod nim, przy turystycznym stoliku z kobiałkami, siedział jakiś mężczyzna. Kilkanaście metrów dalej dostrzegła dwie kobiety – platynową blondynkę w czarnej miniówce, różowych platformach i niebieskiej bluzce bokserce oraz ściętą za ucho brunetkę w obcisłej, krótkiej sukience w paski i w lakierowanych butach za kolano. Jedna coś powiedziała do drugiej, wybuchnęły śmiechem, nie odrywając wzroku od jadących z naprzeciwka samochodów. To miejsce wydało jej się znajome, choć takich leśnych zatoczek było pewnie w Polsce milion.

Korda zwolnił.

– Za trzydzieści metrów skręć w lewo – odezwał się telefon.

Detektyw wrzucił kierunkowskaz, przepuścił rząd aut i wjechał w zatoczkę. Przystanął i spytał Grabską:

– Co dalej?

W tym momencie usłyszeli pukanie w okno. Alicja opuściła szybę.

– Szukacie przygody? – Schylająca się ku nim blondynka uśmiechnęła się zadziornie.

Grabska zerknęła na Korde.

– Zależy, o co pytasz. – Detektyw, nie odrywając rąk od kierownicy, lekko wychylił się w stronę kobiety.

– To ty mi powiedz, co ci chodzi po głowie. – prostytutka zaśmiała się. – Bo za odpowiednią cenę jestem skora zgodzić się niemal na wszystko. – Puściła oko, mimochodem dotykając palcami ramienia Alicji.

Grabska natychmiast odepchnęła jej rękę.

– To pomyłka – powiedziała, podnosząc szybę.

Blondynka wzruszyła ramionami i, kręcąc biodrami, wróciła na pobocze.

– Zaparkuj – rzuciła Grabska w przestrzeń. – Cel znajduje się dwieście metrów dalej.

Detektyw ruszył, jakby jej nie słyszał. Koła auta zabuksowały, spod nich posypał się suchy piasek. Stanęli tuż przy linii lasu i wysiedli z samochodu. Rozejrzeli się wokół. Blondynka właśnie

znikała za drzwiami granatowego passata, który zatrzymał się przy poboczu. Brunetka już wcześniej musiała odjechać z klientem.

Leśną drogą wkroczyli do lasu.

– Ładnie tu. – Korda z zaciekawieniem rozglądał się wokół. – Tak spokojnie. Zielono.

Alicja posłała mu groźne spojrzenie.

– No co? – Wzruszył ramionami. – No jakoś tak miło. Ciepło. Igliwem pachnie i szamponem twoim.

– I trupem też – przerwała mu dziennikarka. – Bo przecież tego się trzeba spodziewać, nie? – Zatrzymała się w pół kroku. – Nie, ja nie mam na to siły! – podniosła głos.

– Ej! – Korda też przystanął. – Spokojnie. Jak nie chcesz iść dalej, to nie musisz. Daj tylko telefon i na mnie poczekaj

– O nie! Chyba nie myślisz, że sama tu będę stać – prychnęła Alicja, rozglądając się wokół.

– No to zdecyduj się...

– Idę z tobą, ale jeśli natkniemy się na ciało, to osobiście i ciebie zakatrupię. Serio!

Korda uśmiechnął się półgębkiem. Ruszyli dalej. Nagle złapał ją za rękę i na migi pokazał, że ma przykleknąć. Po prawej stronie dróżki, tuż za niewielkim zakrętem, stało auto. Zielone, lekko sfatygowane. Oskar pociągnął Alicję ku wiekowemu drzewu, za którym się schowali, po czym wychylił zza niego głowę. Grabska zrobiła to samo. Obok samochodu dostrzegła dziewczynę podobną do tych, które stały przy drodze. Tlenione włosy, obcisła mini, wysokie toporne buty. Stojący obok niej mężczyzna miał na sobie błękitną koszulę w drobną kratkę i beżowe spodnie. Krzaczaste brwi i zaczesane do tyłu siwawe włosy sprawiały, że przypominał Leonida Breżniewa. Otworzył tylne drzwi i pchnął na siedzenie kobietę. Ta usiadła na samym skraju kanapy, ściągnęła sukienkę, odsłoniła piersi. Breżniew splunął na jej klatkę piersiową i rozpiął rozporek.

Zszokowana Alicja z niesmakiem odwróciła wzrok. Przywarła plecami do drzewa. Starła się nie myśleć o tym, czego przed chwilą była świadkiem. Zadarła głowę ku górze. Patrzyła na wierzchołki wysokich świerków. Odginały się lekko na boki, choć na dole w ogóle nie było czuć wiatru. Słońce gdzieś zniknęło, ale nadal rzucało ciepłą poświatę.

Nie wiedziała, ile dokładnie tak trwała. Czas przestał mieć znaczenie. Ruszyła się dopiero wtedy, gdy Korda trącił ją w ramię i na migi pokazał, żeby przesunęła się głębiej. Po chwili po leśnej drodze przejechało zielone auto. Za nim zaś pojawiła się prostytutka. Stała nieopodal nich, poprawiała stanik, sukienkę i włosy i poszła dalej.

Korda powiódł za nią wzrokiem, a gdy zniknęła z horyzontu, wyszedł z ukrycia.

– Daleko jesteśmy od celu? – zapytał Alicję.

Ta odblokowała telefon i zerknęła na ekran.

– To tutaj. Mniej więcej. Tak jak mówiłam, ten GPS nie jest doskonały. – Również ona wyszła w końcu na dróżkę. – Właśnie to mieliśmy zobaczyć? Miejsce schadzki zbieżnych staruchów i dziewczyn puszczających się za pięć dych? – Wzięła głęboki oddech.

– Wolałabyś trupa? – Korda wydawał się rozbawiony.

– Chyba i jeden, i drugi obraz pozostaną ze mną do końca życia. – Skrzywiła się. – Nie wiem, jak możesz oglądać coś takiego na co dzień.

– Szczerze mówiąc, z takim spittingiem nie miałem jeszcze okazji się zmierzyć. – Detektyw roześmiał się.

– Weź nie przypominaj, bo zbiera mi się na mdłości. – Alicja zrobiła zbolaną minę.

– Chodź, rozejrzemy się. – Korda już zmierzał dróżką w stronę pobocza, na którym wcześniej parkował zielony samochód.

Widać było, że to stałe miejsce spotkań. Roślinność była tu zdecydowanie mniej bogata, a ta, która zdążyła odrosnąć od podłoża, nosiła wyraźne ślady nieustannie rozjeżdżających ją kół.

Detektyw stanął pośrodku, bacznie zlustrował przestrzeń, po czym zaczął wodzić wzrokiem po ziemi.

– Czego szukamy? – zapytała Alicja.

– Wskazówek – odparł Korda, przechadzając się po zatoczce.

Alicja też zaczęła przyglądać się ziemi pod stopami. Minęła zatoczkę i weszła w wysoką trawę. Schyliła się.

– Masz coś? – Korda zerknął na nią.

– Tylko kawałki rozbitej ceramiki – powiedziała Grabska. – Choć wiesz, coś takiego widziałam już wcześniej. Przy wieży widokowej,

a może też w tym pustostanie we Wrzeszczu? – myślała głośno, prostując się.

Oskar Korda natychmiast znalazł się obok niej. Naciągnął na dłonie silikonowe rękawiczki, uklęknął, wziął do ręki kawałek białej porcelany i uważnie mu się przyjrzał.

– Weronika Mazur, ta zmarła dziewczyna, którą znalazłaś w lesie, też się na taką porcelanę natknęła. Jej koleżanka twierdziła, że Mazur drobiazgowo ją oglądała, jakby czegoś na niej szukała.

Policjant odłożył na ziemię zlustrowaną część i sięgnął po kolejny fragment. Porcelana była biała i gładka, jej krawędzie zaś chropowate i nierówne. Korda pieczołowicie śledził każde pęknięcie, przejeżdżał palcem po ściankach, macał, tarł szkliwo, jakby coś miało się tam kryć. Jednak nie znalazł nic, co można byłoby uznać za istotne. Z powątpiewaniem podniósł ostatni kawałek. Był grubszy niż pozostałe. Miał bardziej regularne krawędzie, choć jego górna część była wyraźnie szersza niż dolna. Korda odwrócił go w dłoni.

Na matowej, wpadającej w żółć stronie namalowano czarną grubą kreskę. Po jej dwóch stronach w rytmicznym ciągu ciągnęły się inne kreski, pomiędzy którymi nakreślono kilka małych kwadracików i prostokątów.

Korda wyciągnął rękę do przodu i wraz z Alicją przyjrzeni się rysunkowi z dalszej perspektywy.

– Wygląda jak... – zaczął detektyw.

– Mapa – dokończyła zdumiona dziennikarka.

– A raczej fragment mapy – mruknął Oskar i uśmiechnął się kącikiem ust.

– Tylko że trudno coś z tego wyczytać. – Alicja zmrużyła oczy.

– Bo nie znamy kontekstu. Gdybyśmy mieli więcej części...

– Myślisz, że Weronika Mazur też natknęła się na fragment z mapą?

– Musiała, inaczej tak zapalczywie nie oglądałaby tej porcelany. Chciała się dowiedzieć, do czego prowadzi droga.

– A ta doprowadziła ją do śmierci... – szepnęła Alicja.

W tym momencie rozbrzmiał telefon: charakterystyczny dźwięk gitary i basu unisono oraz wokale Jędrzeja „Kodyma” Kodymowskiego i Olafa Deriglasoffa. „Men. Men. Men-da. Men-da”.

– *Menda?* Serio? – Alicja ironicznie podniosła brew.

– Apteka to klasyka, a Olaf to mój dobry ziom. – Korda wzruszył ramionami, sięgnął do kieszeni szarych dżinsów i odebrał połączenie.

Odszedł kilka kroków i przez chwilę słuchał głosu w słuchawce.

– Serio? Udało się? – zapytał z niedowierzaniem. – I mamy w bazie? Okej. Dzięki. Niedługo będę, czekajcie na mnie – powiedział i rozłączył się. – Jedziemy – zakomenderował.

Alicja spojrzała na niego pytająco.

– O co chodzi?

– Wygląda na to, że mamy skurwysyna. – Oskar uśmiechnął się, a cienka blizna sięgająca jego ust lekko się podniosła.

6

Wjechali w ulicę Piaskową i zatrzymali się na skrzyżowaniu z ulicą Zacisze, tuż pod wiekowym kasztanowcem. Ta dzielnica Sopotu iskrzyła zielenią. Jasnozielone listki licznych brzoź odbijały miękkie promienie zachodzącego słońca. Z szarego nissana stojącego przed nimi wyskoczył niewysoki brunet z rozczochranymi włosami. W lusterku bocznym Alicja dojrzała podjeżdżająca srebrną furgonetkę.

– Zostań tutaj – nakazał jej Korda i wysiadł z samochodu.

Alicja patrzyła, jak brunet rozgląda się i podchodzi do detektywa, poprawia palcem opadające na nos oprawki okularów korekcyjnych i coś mówi. Przechyliła się w bok i powolutku obróciła kluczyk w stacyjce. W radiu rozbrzmiała muzyka, którą natychmiastowo ściszyła. Następnie bezgłośnie opuściła szybę. Do wnętrza auta przedostał się słodki zapach dzikiej róży i bzów.

– Dwudziestojednoletni Daniel Kujawski – dobiegł ją głos bruneta.

– Notowany w dwa tysiące piętnastym za słowny atak na piętnastolatkę. Śledził ją w drodze ze szkoły do domu i rzucał obelżywe propozycje takie jak, cytując: „Choć ze mną. Rozbierzemy się i poprzytulamy”. – Gustlik zerknął kątem oka na stojącego obok Oskara Korde.

Ten podniósł brew i ironicznie stwierdził:

– Grubo. Coś jeszcze?

– Matka napastowanej ostatecznie wycofała oskarżenie, a sąd stwierdził, że to za mało, żeby postawić chłopakowi zarzuty, ale DNA wylądowało w bazie.

– Jakim cudem udało się w końcu wydobyć DNA z tak śladowej ilości wymiocin? Przecież nawet Centralne Laboratorium Kryminalistyczne nie dało rady.

– Grzymała wysłał to do koleżanki kryminolożki z Instytutu z New Haven. Poznali się jakiś czas temu na konferencji i utrzymują stały kontakt, nie tylko zawodowy, z tego, co się zorientowałem. W każdym razie: bach! Na podstawie tego, co jej przesłał, udało jej się wyselekcjonować cały genom.

– No dobra. – Korda strzyknął paliczkami. – To bierzemy go. Jesteście pewni, że jest w środku?

Gustlik potwierdził kiwnięciem i podniósł do góry pięść.

Na ten znak z furgonetki stojącej za samochodem Kordy wysypali się mężczyźni w kaskach, maskujących mundurach, kamizelkach taktycznych i zielonych kominiarkach na twarzach. „Antyterror” – pomyślała Alicja, śledząc z fascynacją, jak z glockami i karabinkami szturmowymi w rękach przebiegli przez brukowaną ulicę, wyważyli białe, przeszklone drzwi na ganeczku i zniknęli w kłębie dymu wydostającego się z wrzuconego do środka granatu.

Po dłuższej chwili funkcjonariusze wyprowadzili z domu skutego kajdankami młodego mężczyznę w szarym dresie, o jasnych lokach niesfornie opadających na oczy. Szedł, powłócząc nogami, a kolana nieforemnie wyginały się na boki.

– Danielku! Danielku! – Wyleciała za nim pulchna kobieta w średnim wieku. Miała na sobie kwiecistą spódnicę i wełnianą brązową bluzkę z długim rękawem.

Jeden z antyterrorystów wyciągnął przed siebie rękę i zagroził jej przejście. Kobieta złapała się za głowę i niezrażona krzyczała w stronę prowadzonego do furgonetki syna:

– Danielku! Mama cię wyciągnie! Bądź dzielny, kochanie!

Syn też coś mówił, wbijając wzrok w ulicę, ale Alicja nie mogła nic dosłyszeć. Dopiero gdy był kilka metrów od alfy Kordy, wyłapała mamrotane pod nosem słowa:

– Wypadek. Wypadek. Wypadek. To nie ja. To nie ja. To nie ja.

W tym momencie podniósł głowę i spojrzał Alicji prosto w oczy. Jego twarz momentalnie się rozjaśniła. Wyszczrzył zęby w przedziwnym grymasie. Dziennikarka wyprostowała się i oparła plecy o fotel. Poczwała, jak oblewa ją gorąco. Czy to właśnie ten wyglądający niemal jak dziecko mężczyzna o pokrzywionej sylwetce i dzikim uśmiechu zabił dwie bezbronne dziewczyny? Beztrosko poderżnął im gardła i zostawił nago w lesie wśród liści i mchu? Serce podeszło jej do gardła. Chciała spuścić wzrok, ale nie potrafiła. Patrzyła na Daniela Kujawskiego jak zahipnotyzowana, ogarnięta paralizującym lękiem zmieszany z niezdrową fascynacją. Mężczyzna też nie odpuszczał – z każdym krokiem w jej stronę uśmiechał się coraz szerzej, niczym Joker. Gdy znalazł się na wysokości samochodu, zaparł się nogami, by stanąć, ale prowadzący funkcjonariusze pociągnęli go za sobą. Kujawski wesoło wykręcił głowę, by nie stracić jej z oczu.

– Ładna. Ładna. Ładna – doszło uszu Alicji.

7

Mężczyzna wyglądał jak nastolatek. Szczupły i wysoki, o jasnych, splątanych w małe loczki włosach, które otaczały jego twarz. Przygarbił się, skulił się, jakby chciał się schować w pancerzu z kościstych ramion. Dłonie splątane w kajdankach były niezdrowo wykręcone. Palce napięte jak struny wyglądały, jakby były złamane. Co jakiś czas przez jego ciało przechodził dziwny spazm – wówczas schowane pod stołem nogi raptownie się podkurczały, giął się w pół i wykrzywiał usta.

Siedział w ciszy przerywanej regularnym pohukiwaniem, które najwyraźniej mimowolnie wyrывało się z jego ust.

Oskar Korda od kwadransa przyglądał się Kujawskiemu przez szkło lustra weneckiego.

– Udaje? – powiedział jakby do siebie.

Stojący nieopodal policjant w mundurze drgnął.

– Słucham? – zapytał niepewnie.

– Myślisz, że udaje czy te wszystkie tiki są prawdziwe? – Detektyw nie odrywał wzroku od szyby.

– Nie wiem. – Funkcjonariusz wzruszył ramionami. – Nie sędzę. No bo jak?

Detektyw ironicznie zerknął na mężczyznę.

– Dutkiewicz, tak?

– Tak, panie komisarzu.

– Kojarzysz Rzeźnika z Rostowa?

– Tak jakby, panie komisarzu.

– A więc Andriej Czikałto wielokrotnie udawał obłąkanego, by zwieść śledczych. Szyderczo się śmiał, symulował urojenia, na rozprawie opuścił spodnie, krzycząc, że jest impotentem, co miało wzbudzić współczucie u ławy przysięgłych. Albo Ted Bundy. Zwabiając swoje ofiary, udawał niepełnosprawnego. Nakładał gips na rękę lub nogę, prosił o pomoc w przeniesieniu książek do samochodu. Generalnie seryjni mordercy mają dwa oblicza. Świetnie manipulują otoczeniem. – Korda znów wpatrywał się w Kujawskiego.

– To myśli pan komisarz, że ten tutaj też udaje?

– Trudno powiedzieć. Matka twierdzi, że syn ma żółte papiery, póki ich nie przedstawi, możemy działać z nim jak z każdym innym podejrzanym. Z drugiej strony, niepełnosprawność nie wyklucza przecież, że zabił te dziewczyny. Słyszałam kiedyś o seryjniaku, który był karłem. Zdołał zabić trzydzieści jeden osób. Ofiarami byli bardzo wysocy mężczyźni, którym za pomocą piły łańcuchowej obcinał nogi w kolanach. Robił z nich karłów, kumasz? A wiesz, jak go nazwano? Chopper!

– Czyli ten Kujawski wybierał ładne, zgrabne blondynki, bo zazdrościł im idealnego ciała?

– Niewykluczone. – Korda zmrużył oczy. – Ale o tym zadecydują biegli.

Przez chwilę jeszcze stał nieruchomo, taksując wzrokiem aresztowanego, po czym bez słowa wyszedł i udał się do pokoju przesłuchań.

– Dzień dobry – powiedział, zamykając za sobą drzwi strzeżone z jednej i z drugiej strony przez funkcjonariuszy z Samodzielnego Pododdziału Antyterrorystycznego Policji w Gdańsku. – Jak się czujesz?

Usiadł po drugiej stronie stołu i włączył leżący na blacie dyktafon. Skrzyżował ręce na piersi i nonszalancko wyciągnął przed sobą nogi.

– To nie ja. To nie ja. To nie ja. – Kujawski podniósł oczy na detektywa.

– Do tego jeszcze dojdziemy. Znałeś Magdalenę Wirewicz? – Korda rzucił na stół zdjęcie blondwłosej studentki dziennikarstwa, która subtelnie uśmiechała się do zdjęcia.

– Ładna. Ładna. Ładna. – Aresztowany uśmiechnął się, pochylając się nad fotografią.

– Prawda. Bardzo ładna – potwierdził Oskar. – Jej ciało zostało znalezione w sopockim lesie. – Detektyw zaczął układać na blacie jedno po drugim zdjęcia z miejsca zbrodni. – Nagie. Z podciętym gardłem. Ułożone wśród liści. Coś ci to mówi?

Daniel Kujawski rzucił okiem na serię drastycznych zdjęć, a jego ciało spazmatycznie się wygięło.

– To nie ja. To nie ja. To nie ja.

– Nie ty, mówisz? To co tam się stało, stary? – Korda swobodnie podrapał się w głowę, mierzwiąc ciemne włosy.

– Wypadek. Wypadek. Wypadek.

– Wypadek – powtórzył komisarz. – Czyli przez przypadek podciąłeś tej dziewczynie gardło, tak? I przez przypadek pośmiertnie ją rozebrałeś? Rozrzuciłeś wokół jej głowy włosy i ułożyłeś wokół nagiego ciała liście?

– To nie ja. To nie ja. To nie ja! – Chłopak zaczął zawodzić.

W jego oczach Korda dostrzegł łzy.

– A kto?

– Nie ja – powtórzył Kujawski.

– To czemu twoje buciory i wymiociny były na miejscu zbrodni? Skup się, chłopie, bo od tego zależy twoje życie.

Spazm wykręcił ciało Kujawskiego. Palce wyprostowały się i skurczyły.

– Poszedłeś do lasu, tak?

Młody mężczyzna wbił wzrok w ścianę. Jego gałki oczne zastygły bez ruchu, nie mrugał nawet powiekami.

– Byłeś w tym lesie, tak? – powtórzył Korda.

Chłopak nawet nie drgnął.

– No dobra. – Detektyw zwrócił się do funkcjonariuszy: – Wprowadźcie matkę.

Antyterrorysty wymienili spojrzenia.

– Chłopaki, nie bądźcie lapsy – westchnął Korda. – Jeniec się zaciął, to trzeba poprawić jego feng shui.

Funkcjonariusze znów zerknęli po sobie, po czym jeden z nich wyszedł i po chwili wrócił z kobietą w kwiecistej spódnicy. Ta rzuciła się do syna. Zaczęła całować go po głowie i twarzy. Dłońmi przejechała po jego plecach, gładziła go.

– Synuś! – zawołała. – Coś ty zrobił? Coś ty zrobił? – Zaczęła płakać. – Proszę natychmiast go rozkuć! – krzyknęła do policjantów. – Nie widzą panowie, że on jest chory? Przecież tak nie można!

– Niestety nie możemy. – Korda uśmiechnął się przepaszająco. – Mamy silne podstawy, by sądzić, że pani syn odpowiada za podwójną zbrodnię. Sama pani rozumie... – Rozłożył ręce. – Ale może mogłaby go pani wypytać o to, co się stało?

– Żądamy adwokata!

– Oczywiście, macie do tego prawo. Jakkolwiek bardzo zalecałbym współpracę z nami. Od tego, co teraz powie pani syn, zależy, jak zostanie potraktowany w dalszej kolejności. – Korda popukał palcami w stół.

– Co pan chce wiedzieć?

– Pani wie, co ja chcę wiedzieć.

Kobieta skinęła głową. Z wysiłkiem uklękła obok chłopaka. Położyła mu dłoń na udzie.

– Danielku – szepnęła. – Powiedz, byłeś w tym lesie, tak?

Chłopak odwrócił głowę w jej stronę. Przytaknął.

– Widziałeś tę dziewczynę?

Kujawski znów skinął.

– Czy to ty... czy to ty ją... zabiłeś? – wypowiedziała z trudem matka.

– To nie ja. To nie ja. To nie ja – powtórzył niespokojnie chłopak.

– Spokojnie. Ja ci wierzę. – Pani Kujawska pogłaskała Daniela po nodze. – A kto to zrobił?

– Wypadek. Wypadek. Wypadek.

– Wypadek? – zdziwiła się kobieta. – Widziałeś, jak to się stało?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Policjant – powiedział.

– Był tam policjant?

Daniel Kujawski wyszczerzył zęby. Zaczął szaleńczo kiwać głową.

– A skąd wiesz, że to był policjant? Był w mundurze?

Daniel znów zaczął się cieszyć. Pani Kujawska kontynuowała:

– No dobrze. Czyli spotkałeś policjanta, tak? I co ci powiedział?

– Wypadek.

– Policjant ci powiedział, że był wypadek, tak?

– Tak.

– A wcześniej? Co było? Poszedłeś do lasu, tak?

Kiwnięcie.

– I co wtedy?

– Ładna.

– Spotkałeś tę dziewczynę, tak?

– Ona leżała. Krew. Mi niedobrze.

– Nie żyła już, tak? I zrobiło ci się niedobrze, tak?

Chłopak potwierdził.

– I wtedy pojawił się jakiś mężczyzna, tak?

– Policjant.

– Policjant.

– Wypadek.

– I powiedział, że był wypadek, tak?

Daniel Kujawski zaczął nieporadnie klaskać w dłonie.

Kobieta spojrzała znacząco na Korde.

W tym momencie w drzwiach pokoju przesłuchań pojawiła się głowa Adama Gustowskiego.

– Nie teraz, Gustlik.

– Myślę, że chcesz to usłyszeć. – Sierżant znacząco podniósł brwi.

Oskar Korda wyszedł na korytarz.

– Co masz?

– Znaleźliśmy minikasetę w pokoju Kujawskiego.

– I co?

– A to.

Gustlik wyciągnął dłoń z przenośnym magnetofonem kasetowym. Wcisnął klawisz „play”. Po korytarzu rozniósł się dźwięk:

– Lubisz pały? – zapytał męski głos. – Co? Lubisz? Nie lubisz? Luuubisz. Lubisz pały. Inaczej by cię tu nie było.

– Nie chcę! – rozpaczliwie krzyknął inny, dziewczęcy głos. – Niech pan przestanie!

– Niech pan profesor przestanie.

– Niech pan profesor przestanie!

– O, tak, grzeczna dziewczynka.

Korda przechylił głowę ze zdziwieniem. Rozprostował ramiona i strzelił paliczkami.

8

Alicja weszła na tonącą w mroku klatkę schodową trzypiętrowej dziewiętnastowiecznej kamienicy przy Bema. Wspięła się po drewnianych schodach na drugie piętro. Zadzwoiła do drzwi. Oczekała. Znów nacisnęła dzwonek, który ostrym dźwiękiem odbił się od głuchych ścian. O tej porze Aleks niemal zawsze był w domu. Dla pewności nacisnęła klamkę, a ta ustąpiła. Dziennikarka przekroczyła ciemnobrazowy toporny próg.

– Aleks! – zawołała w przestrzeń.

Zamknęła za sobą drzwi i przeszła tonącym w szarości korytarzem w kierunku pokoju, z którego wylewało się niebieskawe światło. Stała u wejścia. W środku było zupełnie ciemno. Mężczyzna siedział przy biurku tyłem do niej. Na uszach miał słuchawki. Wpatrywał się w ekran stojącego przed nim monitora.

– Aleks! – krzyknęła rozbawiona.

Nawet nie drgnął. Przez chwilę obserwowała jego tonącą w mroku postać o smukłych ramionach i rozwichrzonych włosach. Patrzyła, jak pochyła się nad klawiaturą i miarowo w nią stuka. Uśmiechnęła się i przeszła przez pokój. Gdy znalazła się metr od niego, Aleks raptownie odwrócił się na obrotowym krześle w jej stronę. W tym samym momencie zgasł monitor. W pokoju zrobiło się czarno, a przestraszona Alicja wydała z siebie krzyk.

Coś huknęło, usłyszała kroki. Opuszczona wcześniej roleta podjechała do góry. Pomieszczenie zalało światło słoneczne. Grabska zmrużyła oczy i wyciągnęła przed siebie rękę, jakby chciała powstrzymać oślepiające ją promienie.

– Alicja? Co ty tu robisz?

Aleks stał teraz tyłem do okna. Wpatrywał się w Alicję poważnym, taksującym wzrokiem.

– Dzwoniłam, ale nie słyszałeś. Potem cię wołałam, a potem... – Urwała. – Matko, ale mnie przestraszyłeś! – Zaczęła się śmiać.

– Ja ciebie? Ty mnie przestraszyłaś! Myślałem, że to jakiś zbir czy coś. – Napięta twarz Nowickiego też zaczęła łagodnieć. – Jesteś... niepojęta. – Pokiwał głową.

– Ale cieszysz się, że przyszedłam?

– Pewnie. – Zbliżył się do Alicji. Przyciągnął ją do siebie. – Zawsze się cieszę, jak przychodzisz. – Przejechał palcami po jej szyi. Grabska wyswobodziła się z jego objęć.

– Złapali go – powiedziała.

– Kogo?

– No, mordercę tych dziewczyn.

– Rozpruwacza?

– Tak, Rozpruwacza. – Alicja przewróciła oczami i usiadła na stojącym w rogu niebieskim fotelu.

– Skąd wiesz? – zainteresował się Nowicki.

Znów podszedł do okna, otworzył jedno ze skrzydeł i sięgnął po papierosa.

– Byłam przy tym.

– To chyba nie było zbyt rozsądne? – Aleks ściągnął brwi.

– Tylko że on wcale nie wyglądał na seryjnego mordercę. – Alicja zbyła uwagę Aleksa.

– A jak wyglądał?

– Jakby był... nie wiem... upośledzony?

– Cóż, nerdzi zawsze wyglądają na upośledzonych. – Informatyk zaśmiał się, wypuszczając dym przez okno.

– Nie ty.

– Nie ja – przyznał z zadowoleniem Nowicki.

– Z drugiej strony było w nim coś... niepokojącego. To, w jaki sposób mi się przyglądał. – Alicja wzdrygnęła się. – Aż mnie dreszcz przeszedł.

– Koleś z zimną krwią podcina gardła dwóm blondynkom, a ty pozwalasz, żeby ci się przyglądał? Ten detektywina powinien za to beknąć! – zirytował się Nowicki.

– Skąd wiesz, kto prowadzi sprawę? – Alicja podniosła głowę.

– Widziałem w necie. Taki brzydka z blizną. W sumie w twoim guście, co? – Aleks nerwowo strzepnął popiół na parapet.

– Nie bądź arogancki – zirytowała się Alicja. – Chyba niepotrzebnie przyszedłam. – Wstała.

– Czyli nie interesuje cię już to, co zdołałem ustalić w związku z Place to Rest? – zmienił temat Nowicki.

– Oczywiście, że interesuje. Ciekawi mnie to, w jaki sposób znalazłam się tak blisko gówna, o którym nawet nie mogę napisać, bo szef postrzega mnie jak blond idiotkę, która potrafi myśleć tylko o jakichś głupich gadżetach i modzie, a przecież po dzisiejszych zdarzeniach miałabym dla niego totalną petardę!

– To słuchaj tego. – Aleks wyrzucił niedopałek za okno i przystawił odwrócone krzesło naprzeciwko Alicji. Usiadł, składając ramiona na oparciu. Jego kolano otarło się o jej nogę. – Właścicielem i producentem Place to Rest jest Janusz Kowalski. Wiesz, ile znalazłem wyników z takim imieniem i nazwiskiem? Podpowiem. Jakies pięć milionów. Oczywiście taki wynik mnie nie odstrasza. Przekopałem wszystko i żaden z istniejących Januszów Kowalskich nie jest związany z tą aplikacją.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że ktoś posłużył się fikcyjnym imieniem i nazwiskiem, zresztą zapewne specjalnie tak bardzo popularnym.

– Nie bardzo rozumiem. Przecież ta apka znalazła się w oficjalnym sklepie internetowym, więc tożsamość tego gościa musiała być w jakiś sposób zweryfikowana, nie?

– Niby tak. Ale większość tego rodzaju sklepów stawia na ilość i automatyzację. Umowę podpisuje się, akceptując tak zwaną umowę dystrybucyjną dla deweloperów i obowiązujący regulamin. Generalnie nietrudno więc podać fałszywe dane. A nawet jeśli! Dla dobrego hakera podrobienie tożsamości to naprawdę drobnostka.

– A sama aplikacja? Też chyba musiała przejść jakieś testy, zanim pozwolono na jej rozpowszechnianie.

– Oczywiście. Aplikacja też przechodzi proces weryfikacji. Jest to wielostopniowy, zautomatyzowany proces, który jest wciąż udoskonalany. A jednak cały czas odkrywano aplikacje, które na przykład pobierają kasę lub kradną twoje dane ze smartfona czy tabletu. Nawet najwięksi gracze wciąż zaliczają tego typu wpadki.

– Czyli tak po prostu przez jakąś głupią automatyzację przepuścili apkę, która zwabia kobiety do lasu, gdzie spotyka je potem śmierć, tak? – Zdenerwowana Grabska niemal się poderwała z miejsca.

– W mojej ocenie – Aleks położył jej dłoń na udzie – sama apka na pierwszy rzut oka nie wydaje się groźna, dlatego ten Kowalski umieścił ją w sklepie zgodnie z procedurą. Dobrze napisana, stworzona przez zdolnego gościa apka ma sposoby, by ukrywać swoje złośliwe działania. Poza tym może być aktualizowana, więc te mechanizmy można włączać, wyłączać, zmieniać i tak dalej. Trzeba naprawdę mocno pogrzebać, żeby dostrzec, że pod pozorem dostarczania oczekiwanej funkcji najwyraźniej robi coś innego w tle. Wiesz, po co więc nacierać na twierdzą, jeżeli można legalnie przejechać przez jej bramę, okazać podrobione dokumenty tożsamości i pod sianem na wozie przemyć do środka dowolny towar? W takich wypadkach doskonale sprawdza się taktyka konia trojańskiego. Od starożytności do dziś, w internecie i poza nim ten zabieg nadal wymiata.

– No dobra, to jak właściwie działa ten koń trojański? Możesz mi to wytłumaczyć?

– Nie do końca wiem, bo w moim telefonie najwidoczniej ten trojan się nie uaktywnia. Generalnie nie dostałem żadnego powiadomienia o dostępnej lokalizacji. Wygląda więc na to, że apka wybiera konkretne osoby, a ściślej, jak zakładam, kobiety.

– Na jakiej zasadzie?

– Gdybym to ja stworzył taką apkę, to najpewniej użyłbym kamery w telefonie.

– Czyli twierdzisz, że ten psychol mnie podglądał? – Teraz Alicja naprawdę zerwała się z miejsca. Podeszła do okna i sięgnęła po paczkę papierosów leżącą na parapecie.

– Tak strzelam – odpowiedział cicho Nowicki, podszedł do Alicji i odpalił jej papierosa, którego wsadziła już do ust. – Zakładam, że kiedy ktoś zainstaluje apkę, haker zyskuje nad nią kontrolę. Może nią też sterować zdalnie. I to wcale nie on musi się łączyć z urządzeniem ofiary, żeby kierować programem. Aplikacja może się okresowo łączyć z serwerem sterującym i pobierać rozkazy. Taki serwer sterujący bardzo trudno wykryć, bo to wygląda jak legalne połączenie z dowolnym serwerem w internecie, który może pełnić

dwie funkcje: pożyteczną i złośliwą. Takie działanie może generalnie trwać w nieskończoność, a nikt się w tym nie połapie.

– Czyli ja miałam być kolejna, tak? Bo jestem blondynką? Bo byłam w jego typie? Bo lubię ryzykanckie przechadzki po lesie? Czy ten wybór to zupełny przypadek, bo może nikt inny się nie nabrał na ściągnięcie i wypróbowanie tego szajsu? – Alicja wyrzucała z siebie zdania z prędkością karabinu.

– Nie wiem, Ala. Ale sama mówisz, że już go mają, więc przestań się już denerwować, okej? – Aleks starał się ją uspokoić. – Daj telefon, to sprawdzę, czy nie masz tam jakiegoś wirusa.

Alicja podała mu telefon, a on podłączył go do swojego komputera. Przez kilka minut stukał w klawiaturę, po czym stwierdził:

– Nic tu podejrzanego nie widzę. Ale wiesz, bywa, że takie złośliwe oprogramowanie może usunąć się samoczynnie, jeżeli odkryje, że podejmowane są działania, które mogą ujawnić jego obecność. A kiedy znowu będzie trzeba zainfekować urządzenie ofiary, to oprogramowanie zostaje dograne, przykładowo na takiej samej zasadzie, na jakiej infekuje się smartfony osób inwigilowanych za pomocą Pegasusa. – Alicja ściągnęła brwi. – No i dostęp do urządzenia może być też włączany w przypadku wystąpienia konkretnych warunków: określonej lokalizacji czy obecności innych, nawet legalnych, aplikacji w smartfonie. Najlepiej by było przywrócić twój telefon do ustawień fabrycznych z czyszczeniem zawartości, czyli zrobić coś, co wykonuje się przed sprzedażą urządzenia. Ale wtedy musiałbym przerzucić wszystkie twoje dokumenty do siebie, no i utraciłabyś w ten sposób...

– Nie, dzięki – przerwała mu Alicja. – Wolałabym nic nie przerzucać i nic nie utracić. Zresztą, tak jak mówisz, już go mają, więc... – Sięgnęła po swojego smartfona. – Zastanawia mnie jeszcze jedno – podjęła urwany wątek. – Czemu ten koleś wyłożył grubą kasę, żeby się promować w „Dzienniku Trójmiejskim”, co? Nie mówiąc o tym, skąd taką kasę miał. Może specjalnie chciał do mnie dotrzeć? – rozważała Alicja, gdy papieros wypalał się jej w dłoni.

– Daj spokój. Po prostu chciał trochę wypromować apkę, żeby dotrzeć do większej liczby potencjalnych ofiar...

– Więc może w ogóle nie miałam być następna – przerwała mu Grabska. – Może tylko miałam opisać jego chorą zbrodnię, żeby zrobić mu reklamę. W końcu seryjnym mordercom często o to właśnie chodzi! O sławę! – Alicja wypowiedziała tę myśl niemal na jednym oddechu, po czym rozejrzała się i zgasła papierosa w stojącej nieopodal popielnicze.

– Cóż, być może. – Aleks wzruszył ramionami. – Tak czy siak już możesz odetchnąć, zrelaksować się. – Podszedł do niej od tyłu, odgarnął jej włosy z karku i delikatnie zaczął całować szyję. – Mam nową, mocno zarysowaną wizję, o której mogę ci opowiedzieć – zamruczał.

– Nie teraz. – Alicja odwróciła się do Aleksa z przeproszającym uśmiechem. – Ale odezwę się niebawem, okej?

Na pocieszenie puściła mu kokieteryjne oczko i skierowała się do wyjścia.

Aleks bez ruchu patrzył w otwarte drzwi, przez które przed chwilą przeszła Alicja. Słuchał jej kroków na korytarzu. Wizualizował sobie, jak jej szpilki wędrują po terakocie. Jak Alicja sięga po klamkę. Zbiega po schodach, przejeżdżając palcami po balustradzie osadzonej na dekoracyjnych tralkach. Jak wychodzi na ulicę. Powoli podszedł do okna, przechylił się przez nie. Śledził blond włosy powiewające na wietrze ciągnącym od morza i to, jak opadały na smukłe plecy kobiety. Gdy zniknęła za rogiem, Aleks przeszedł korytarzem do drzwi wejściowych, stąpając po śladach Alicji. Delikatnie musnął klamkę, której wcześniej musiała dotykać jego kochanka. Mocnym ruchem zamknął drzwi na klucz. Wrócił do pokoju. Zaciągnął rolety i w ciemności usiadł do komputera.

9

Oskar zbiegł schodami i wyszedł przed ceglany budynek komendy. Stał na wprost półokrągłego, przeszklonego frontu. Gwar w końcu zelżał. W popołudniowym powietrzu przesyconym zapachami kwitnących kasztanowców i bżów wyczuć można było wyraźną morską bryzę.

Detektyw wziął głęboki oddech i przeciągnął się. Czy Daniel Kujawski mówił prawdę? Chodził po lesie, gdy nagle natknął się na leżące na ziemi ciało młodej kobiety. Przestraszył się, cofnął i pohamował odruch wymiotny. Matka twierdzi, że syn niemal nie jada, trudno go zmusić, by cokolwiek przełknął, co mogłoby tłumaczyć śladowe ilości wymiocin. I wtedy pojawił się policjant. Czy to możliwe, by Kujawski natknął się na ciało w momencie, gdy na miejsce zbrodni przyjechali pierwsi funkcjonariusze? Jakiemuś śledczemu zrobiło się żal chłopaka, pocieszył go, że to wypadek, i puścił wolno? Nie. To bez sensu. Żaden policjant nie pozwoliłby sobie na niezatrzymanie podejrzanego czy świadka. Taka opcja w ogóle nie wchodziła w grę. Czy Kujawski natknął się więc na sprawcę? Ten pokazał mu jakiś dowód i udał, że pracuje w policji, żeby go uspokoić? A może sprawca przebrał się za policjanta? Statystyki pokazują, że ponad dwadzieścia trzy procent seryjnych morderców obsesyjnie interesuje się pracą policjantów i lubi symbolikę policyjną, bo postrzegają ten zawód w kategoriach władzy i dominacji, a zatem cech, które są dla nich szczególnie pociągające.

No i była jeszcze kaseta. Przezroczysta mikrokaseta AKAI o białych, lekko przetartych napisach; taka, jakiej niewątpliwie już nie produkują.

– Znalazłem! Znalazłem tam! Obok ładnej! To gra! – Daniel Kujawski szeroko uśmiechnął się na jej widok, a mała strużka śliny ściekła mu po brodzie.

Jeśli chłopak nie kłamał, a detektyw coraz mniej wierzył, że to on byłby w stanie przygotować tak przemyślane i misterne tło dla obu zbrodni, to morderca zostawił dla nich kolejny trop – świadectwo gwałtu nauczyciela na jakiejś dziewczynie. Kim byli? Jakie to miało znaczenie? I czemu sprawca chciał to zakomunikować? Czy to on był tym nauczycielem? Dręczyły go wyrzuty sumienia? Pragnął, by w końcu go ujęto? A może morderca mścił się za to, co nauczyciel robił uczennicom? Czy to była jakaś przewrotna wendeta?

„Lubisz pały? Co? Lubisz? Nie lubisz? Luuubisz. Lubisz pały. Inaczej by cię tu nie było” – w jego głowie zabrzmiał męski głos nagrany na kasetę.

To nie był Daniel Kujawski. Tyle wiedział na pewno.

– Siema, Korda – usłyszał.

Podniósł głowę. W szklanych podwójnych drzwiach pojawiło się dwóch policjantów z jego wydziału. Jeden z długim kucykiem i ubrany na czarno, drugi z blond włosami, stojącymi na baczność jak pszenica, odziany w jasne kolory. Paweł Pągowski i Adam Kowalewski, znani jako Pająk i Kita, stanęli obok detektywa.

– Co, brachu, taki jesteś strapiony? – zapytał Pająk. – Zawiodłeś się na Rozpruwaczu? Podobno przyjechał z mamą. – Mówiąc to, zapalił papierosa.

– Wyobrażasz sobie wyrafinowanego Hannibala Lectera, a tu zderzasz się ze zwykłym laczkiem, nie? – Kita zaśmiał się, wypuszczając kłęb ciemnego dymu.

– To nie on – powiedział Korda i też zapalił. – Za cienki komandos jest na taki kaliber.

– Może za dużo kombinujesz? Wiesz, czasami to proste jak budowa pyzy – stwierdził Pągowski.

– Nie tym razem. – Detektyw pokręcił głową. – Za dużo tu elementów, żeby ten Kujawiak zdołał to unieść.

– Może ma pomagiera? – zastanowił się Kowalewski.

– Może. – Korda wzruszył ramionami i zdusił papierosa w stojącej popielnicy na długiej nodze. – Lece, chłopaki.

– Jakby co, to wiesz, oferujemy pomoc dla powodzian – rzucił Kita.

– Połapię. Na miękkim kapciu. Dzięki – odparł Korda i wszedł do środka budynku.

Podszedł do automatu z kawą. Wrzucił do niego monetę i wduśił odpowiedni numer. Do koślawego białego kubeczka zaczęła ciurkać szara lura.

Nagle ktoś stanął obok niego.

– Słyszałem, że go macie.

Korda odwrócił się niechętnie. Obok stał rosły, zgolony na łyso mężczyzna. Charakterystyczny pieprzyk tuż nad jego brwiami dodawał mu zawadiackiego wyglądu. Wszyscy na komendzie uwielbiali podkomisarza Igora Olszewskiego z wydziału gospodarczego. Wszędzie, gdzie się pojawiał, robiło się głośno i wesoło, ale Oskar za typem nie przepadał. Facet miał ewidentny problem z agresją i alkoholem. I z tego, co słyszał, nie raz odbiło się to

na jego żonie. Jakiś czas temu wisiała nad nim dyscyplinarka, ale Tajfun zawsze z wszystkiego się wymigał.

– Mielimy na razie – odpowiedział wymijająco detektyw i nerwowo sięgnął po kubeczek.

Ten lekko się zgiął, a kawa połała się po ściankach.

– Ja bym go przemielił. – Olszewski uśmiechnął się półgębkiem.

– Hm. Nie wątpię – stwierdził cynicznie Oskar, strzepując z palców krople rozlanego płynu.

– Trzeba usadzić gnoja. – Głos Tajfuna spoważniał. – Widziałeś, co ten chory koleś zrobił tym dziewczynom? Macie jego buciory, DNA. To, że jest sprawcą, nie podlega dyskusji.

– To się zobaczy – odparł detektyw i ominął Olszewskiego.

– Żebyś ty, Korda, się nie okazał mięką Bożeną. – Podkomisarz pokręcił głową.

– Słyszałem, że to raczej ty masz mięką faję. Twoja żona wspominała – rzucił coraz bardziej poirytowany detektyw.

Olszewski przypadł do komisarza. Złapał go za koszulkę. Jego nozdrza drżały jak u byka.

– Uważaj, Korda, bo nakurwisz salto.

Detektyw uśmiechnął się z politowaniem.

– Ty uważaj, bo się zaraz spuścisz z tej ekscytacji.

Tajfun zacisnął pięść na T-shircie Kordy.

Trzasnęły drzwi. Do środka weszli Pająk i Kita. Przystanęli.

– Ej, byczki – powiedział pobłażliwym tonem nadkomisarz Pągowski. – Może zbastujcie bajerkę, co?

– Dokładnie – wtrącił się Kita. – Pokaz był fajny, dziękujemy, a teraz przybijcie sobie żółwika czy coś, bo po co się tak koksować na oczach całej komendy. – Kowalewski skrzyżował ręce na klatce piersiowej.

Tajfun rozejrzał się wokół. Oczy wszystkich osób w budynku zwrócone były na nich: policjantów stojących w grupkach, recepcjonisty, stojącej obok recepcji kobiety, która przyciągnęła do siebie na oko siedmioletniego synka, przechodzącego petenta, siedzących w poczekalni trzech prostytutek, które wesoło zaczęły coś wykrzykiwać. Niechętnie puścił koszulkę Kordy.

– Trzeba się czasami zmotywować, nie? – Uśmiechnął się do detektywa, po przyjacielsku klepnął go w bark i odszedł.

W jednej chwili świat znowu ruszył, a komendę zalał gwar rozmów. Recepcjonista skierował petenta do odpowiedniej sali, chłopczyk oderwał się od mamy i rozsypał jakieś ulotki, sierżant zaprowadził prostytutki do pokoju przesłuchań. Pająk i Kita zniknęli za drzwiami windy. U boku Kordy zjawił się Gustlik.

– O co chodziło Tajfunowi? – spytał.

– O testosteron – skwitował detektyw i wzruszył ramionami. – Co tam, Gustlik?

– Grzymała na ciebie czeka w gabinecie. Chyba ma coś nowego.

10

Szef Zakładu Medycyny Sądowej na gdańskich Dębinkach uważnie przyglądał się dużej tablicy korkowej, do której przyczepiono zdjęcia i notatki związane ze sprawą Rozpruwacza. Gdy Oskar Korda wszedł do środka, Grzymała odwrócił się od ściany i bez przywitania rzekł:

– Jak wygląda?

– Jak anioł w skórze diabła – odparł zgryźliwie Korda. Podszedł do okna otwartego na oścież i wyciągnął papierosa. – Albo odwrotnie – dodał. – Nie mogę się zdecydować.

– Myślisz, że to on?

Korda wzruszył ramionami i zapytał:

– Co dla mnie masz?

– DNA włosa wyjętego z gardła Weroniki Mazur. Nie ma zgodności z DNA wymiocin znalezionych na miejscu zbrodni Magdaleny Wirewicz. Twoi chłopcy sprawdzili, że nie pasuje też do nikogo z bazy.

Detektyw wydmuchał przez okno gęsty dym. Pokiwał głową. Był przyzwyczajony, że w tego typu sprawach nie ma prostych rozwiązań.

– Udało ci się wydobyć jakieś dodatkowe informacje podczas badania? – zapytał Korda bez nadziei w głosie.

– Cóż, badanie polimorficznych cech DNA jądrowego wykazało, że z całą pewnością ten brązowy włos należy do mężczyzny, z dużym prawdopodobieństwem o niebieskich oczach.

- Okej – mruknął Korda. – Zawsze coś.
- No i nie jest z głowy.
- Detektyw podniósł brew.
- To fragment włosa łonowego.
- No dobra. Co to zmienia? – zapytał detektyw.
- Że koleś wcale nie musi mieć brązowych włosów na głowie.
- Jak to? – zdziwił się Korda.
- W większości przypadków sprawdza się zasada, że owłosienie na ciele jest w tym samym kolorze, co owłosienie na głowie. Ale nie jest to reguła, bo odcień włosów zależy od ilości melaniny, no i jej pigment rozkłada się na ciele w odmienny sposób. Dlatego też nawet osoby z kruczoczarnymi włosami na głowie mogą mieć bardzo jasne włosy na łonie.
- Czyli facet może być równie dobrze blondynem, co brunetem, tak? – westchnął Korda.
- Tak – przyznał Grzymała. – No i równie dobrze może być łysy.
- Cudownie. – Korda zgasił papierosa w popielniczce. – Czyli facet ma niebieskie oczy – skonstatował i pokręcił głową.
- Prawdopodobnie. – Lekarz medycyny sądowej się zaśmiał.
- Taa, co my byśmy zrobili bez tego waszego genetycznego profilowania.
- Śmieję się. Współczesna genetyka sądowa pozwala na stworzenie pełnego obrazu przestępcy razem z kolorem oczu i włosów, piegami, lokami, wzrostem, wiekiem i typem sylwetki – zapalił się Grzymała.
- Tylko że nie w Polsce – dodał ciszej. – W Stanach, no a na pewno w Nowym Jorku.
- Yhm. – Korda ściągnął usta i popatrzył na ścianę wypełnioną zdjęciami z miejsca zbrodni. – Reasumując, w gardle ofiary znajdował się fragment włosa łonowego należącego do mężczyzny, prawdopodobnie o niebieskich oczach. To teraz zastanówmy się, w jaki sposób się tam dostał.
- Włos znajdował się dość głęboko, bo w cieśni gardzieli, a zatem w przestrzeni pomiędzy łukami podniebiennie-językowym a podniebiennie-gardłowym. Myślę, że można tym samym wziąć pod uwagę miłość francuską albo gwałt oralny. I też niekoniecznie tuż przed samą zbrodnią.

– A czy to możliwe, żeby ten włos pojawił się tam zupełnie przypadkowo? W sensie bez jakiegokolwiek ingerencji osób trzecich?
– zapytał Korda.

– Cóż. Jak dobrze wiesz, tego typu dowody łatwo przenoszą się z obiektu na obiekt, a czasami przechodzą po drodze przez kilka obiektów. Jakiś czas temu było głośno o sprawie wybitnego amerykańskiego lekarza, absolwenta Harvardu, którego oskarżono o zabójstwo żony, bo na miejscu zbrodni znaleziono jego DNA. Podczas procesu profesor tłumaczył, że w dniu morderstwa przez omyłkę wytarł się ręcznikiem żony, którego następnie użyła jego małżonka i tym sposobem przeniosła na siebie jego DNA. Gdy ofiara została napadnięta, bandyta przyłożył jej do twarzy ostrze noża i tym sposobem DNA męża znalazło się na narzędziu zbrodni. Eksperyment zlecony przez sąd udowodnił, że taki proces przeniesienia DNA był możliwy, a tym samym facet uniknął wiszącej nad nim kary śmierci.

– Czyli co? Ten włos może równie dobrze należeć do mordercy, jak i do wcześniejszego gwałciciela, kochanka albo do przypadkowego sprzedawcy bułki, którą Weronika Mazur zjadła na śniadanie?

– Teoretycznie tak. – Grzymała uśmiechnął się przepaszająco. – No i oczywiście nie możemy odrzucać hipotezy, że ktoś ten włos celowo tam ulokował tuż po dokonaniu morderstwa.

– Tak samo jak inne ślady pozostawione na miejscu zbrodni – stwierdził Korda, nie odrywając wzroku od tablicy z dowodami.

– Tak samo jak inne ślady pozostawione na miejscu zbrodni – potwierdził lekarz medycyny sądowej i podążył za wzrokiem Oskara Kordy.

11

– Zostaw! Zostaw! – śmieje się Alicja.

Igor pochyla się nad nią i podgryza ją w szyję. Raz z jednej, raz z drugiej strony. W tle leci wieczorny film. Na stoliku przy kanapie stoi do połowy wypełniony kieliszek białego wina i kilka opróżnionych butelek piwa. Do środka przez otwarte na oścież

drzwi balkonowe wpada letni wietrzyk, lekko kołysząc białą zasłonką.

– Agrrrrr! Agrrrrr! – wygłupia się Igor.

Nagle wgryza się w jej skórę zębami. Mocno. Natarczywie. Drapieżnie.

– Auuu! – krzyczy Alicja i stara się odepchnąć mężczyznę.

Ale ten jeszcze mocniej zaciska zęby na jej szyi. Alicja czuje, że wgryza się do krwi. Wydaje z siebie wrzask i bije rękoma na oślep. Trafia w jego skroń i Igor w końcu ustępuje. Podnosi głowę. Wydaje się rozbawiony. Oczy mu błyszczą, a twarz wykrzywia uśmiech.

Alicja łapie się za szyję i zrywa z miejsca.

– Jesteś nienormalny?! – podnosi głos, a po policzkach cieką jej łzy.

Igor patrzy na nią zdziwiony.

– O co ci chodzi? – pyta.

– O co mi chodzi? O co mi chodzi? Zobacz, co mi zrobiłeś! – Alicja odrywa dłoń od szyi.

Na jej palcach widać ślady krwi.

Igor marszczy nos. Wydaje się zaskoczony.

– Przecież tylko się z tobą droczyłem – mówi takim tonem, jakby to Alicja zrobiła mu przykrość. – Czy ty zawsze musisz robić z wszystkiego aferę? – Zrywa się z kanapy.

Jest zły.

Jego czoło przecina nabrzmiąta żyła. Pulsuje, jakby miała wybuchnąć.

– Idę się przejść – mówi i zmierza w stronę drzwi.

Mieszkanie wypełnia trzask.

Alicja opada na kolana i łapie się za głowę.

– Co podać? – Kruczoczarny kelner stanął obok jej stolika i uroczo się do niej uśmiechnął.

Grabska podniosła na niego wzrok. Miał mocno zarysowaną szczękę, brązowe głębokie oczy i złamany w połowie nos. Dziennikarka poczuła nagłą chęć, by zniknąć z nim za drzwiami toalety, poczuć na policzku zimny łazienkowy kafel. Przesuwać się po nim w górę i w dół. Przestać myśleć. Wypełnić się szumem.

– Białe wino. Wytrawne – powiedziała w zamian i przeniosła wzrok za okno.

Zmierzchało. Do wnętrza Fidela wpadało bursztynowe światło, które osiadało na ciemnobrązowych stołach i krzesłach. Ale nawet ta ciepła poświata nie była w stanie przerwać ciągu wspomnień, który przelatywał przez głowę Alicji:

Igor wraca. Szybciej, niż się spodziewała. Ona wciąż klęczy, trzymając się za włosy. On niemal wbiega do pokoju. Hamuje. Patrzy na nią z wyrzutem.

– Jezu! – jęczy. – Ty nadal w tej samej pozycji? Musisz mnie zawsze tak dręczyć, co? Uwielbiasz, jak mam wyrzuty sumienia, prawda? Ty chcesz mnie wykończyć! – podnosi głos. Niedowierzająco, z niesmakiem kręci głową. Znika w przedpokoju. Znów staje w progu. W rękę trzyma służbowy pistolet. Zaciska na nim palce. Rytmicznie. Miarowo. Jakby coś rozważał. Nagle przykładą lufę do swojej grdyki. Unosi brodę. Patrzy jej prosto w twarz. – Tego chcesz? – mówi przez zaciśnięte zęby. – Tego? No powiedz! Tegooooo!?! – krzyczy.

Alicja patrzy jak oniemiała. Ma dość. Nie ma sił, by coś powiedzieć. Ogląda scenę odgrywaną przez męża jak z ostatniego siedzenia w sali kinowej.

„Don't cry, shopgirl. Don't cry!” – słyszy za sobą uspokajający głos Toma Hanksa.

Film w telewizji zmierza ku końcowi, a ona czuje się dziwnie lekka.

„I wanted it to be you. I wanted it to be you so badly” – Alicja powtarza w myślach wraz z Meg Ryan i czeka.

A Igor robi się wściekły.

– Ty niewdzięczna suko. – Opuszcza nagle glocka. – Wiedziałem, że życzysz mi śmierci. Ale może ty umrzesz zamiast mnie? Co ty na to?

Podchodzi do niej szybkim krokiem i nim Alicja zdąży zareagować, wsuwa jej lufę do ust. Jest ciepła, o metalicznym posmaku. Jej zęby głucho szczękają o metal.

– Bardzo proszę. – Na jej stoliku pojawiła się lampka wina. Szkło zachręściło o stalową podstawkę, wybijając ją z zamyślenia.

Wzięła kieliszek do ręki. Wino było dobrze schłodzone. Miało przyjemnie cierpki smak.

– Dziękuję. – Posłała uśmiech kelnerowi, który patrzył na nią wyczekująco.

– Zostawić całą butelkę? – Puścił jej oko.

– Nie dzisiaj – odparła i znów poczuła ochotę, by zaciągnąć kelnera do łazienki, poczuć na policzku zimny kafel, przesuwając się po nim w górę i w dół. Nie myśleć. Zniknąć. Wypełnić się szumem. – Ale mam inną propozycję. – Kokieteryjnie podniosła brew.

– Tak? – Zaciekawiony kelner przechylił głowę.

W tym momencie usłyszała charakterystyczny sygnał. Ekran telefonu leżącego na blacie stolika rozjaśnił się.

„Masz nową lokalizację” – odczytała wiadomość, a po jej ciele przeszedł nagły dreszcz.

12

Mężczyzna był zmęczony. Pod jego oczami rysowały się sine worki. Ściągnął brwi. Przez dłuższą chwilę przyglądał się odznace Kordy.

– Nie rozumiem. – W końcu podniósł wzrok na detektywa. – Przecież już wszystko oglądaliście.

– Tak. Ale nurtuje mnie jedna kwestia. Jeśli mógłbym się jeszcze rozejrzeć, byłbym wdzięczny.

Ojciec zmarłej Weroniki, Wojciech Mazur, pokiwał głową. Wydawał się nieobecny. Jak automat uchylił drzwi i wpuścił Korde do środka.

– Słyszał pan, że pozwolili w końcu na pogrzeb tej pierwszej dziewczyny? – zapytał smutno.

– Tak – pokiwał detektyw.

– A naszą? Kiedy dacie pochować naszą? – Mazurowi załamał się głos.

– Niestety nie potrafię w tym momencie powiedzieć – Korda spojrzał na mężczyznę ze współczuciem.

– A czy coś wiadomo o tym... o tym gnoju? – Ojciec Weroniki Mazur szeroko otworzył oczy.

– Nie – krótko odpowiedział Korda. – Nadal szukamy, choć mamy kilka nowych tropów. Proszę uzbroić się w cierpliwość.

– No bo dzisiaj sąsiad mówi, że...

– Badamy sprawę. Przesłuchujemy podejrzanego, ale nikomu nie postawiliśmy jeszcze zarzutów.

Mazur smutno skinął głową i znów zapadł się w siebie. Poprowadził Kordę korytarzem i wskazał na białe drzwi. Sam skierował się do dużego pokoju i zgarbił się na krześle przed włączonym telewizorem.

– Panie Bartoszu, w którym wieku żył tatrzański zbójnik Janosik? – Korda usłyszał głos Tadeusza Sznuka prowadzącego program *Jeden z dziesięciu*.

– W osiemnastym? – niepewnie zapytał uczestnik.

Rozbrzmiał charakterystyczny wysoki sygnał.

– W osiemnastym i siedemnastym – pochwalił Sznuke, a detektyw nacisnął klamkę.

W pokoju zamordowanej Weroniki Mazur panował nieład. Na podłodze leżała kolorowa bluzka, z uchylonej szafy z ubraniami wystawał pasek i jakiś skrawek materiału. Na biurku walały się zeszyty i kosmetyki. Lusterko na nóżce nosiło ślady odcisków palców. Na blacie stolika nocnego Korda dostrzegł talerzyk z kilkoma okruszkami po ciastku. Łóżko w jasnej drewnianej ramie w połowie zasłano kocem. Na pościeli w kolorze rózu odbiła się tłusta plama.

Wszystko wyglądało tak, jakby licealistka wyszła tylko na chwilę i zaraz miała wrócić. Korda podejrzewał, że rodzice Wery nie mieli sił, by w ogóle tu wchodzić. Detektyw zerknął do tyłu. Wojciech Mazur wlepił niewidzący wzrok w ekran telewizora. Miał zapadniętą twarz starca, choć nie mógł mieć więcej niż czterdzieści pięć lat. Oskar cicho przymknął za sobą drzwi i stanął na środku pokoju.

Zerknął na przyklejony do ściany kolorowy plakat z nieznanymi mu postaciami z jakiegoś japońskiego anime. Podeszedł do pomalowanego na czarno skrawka ściany, na którym widniały napisy naniesione białą kredą: „Tu byłam – Ania”, „Lovciam

Werkę”, „Kiss me before you go”, „Mama Werki jest Milfem”, „Kocham BTS”. Szerzej uchylił drzwi szafy. Wsunął rękę pod warstwę skotłowanych ciuchów i przesunął palcami po półce. Dokładnie przejrzał zawartość biurkowych szuflad, pełnych długopisów, ścinków od ołówka, papierków, kartek i innych szkolnych drobiazgów. Zerknął pod łóżko, lecz znajdował się tam tylko kurz. Wymacał poduszkę, podniósł materac. Otworzył leżącą na podłodze drewnianą skrzynkę sygnowaną wojskową pieczętą. Na jej środku leżał stary, zużyty nabój do broni, najpewniej jeszcze z czasów wojennych. Otworzył szuflady komody. Majtki, skarpetki, staniki. Pogrzebał w rzeczach, lecz nic szczególnego nie wymacał. Usiadł na obrotowym krześle. Złożył ręce na piersiach i powiódł wzrokiem po przedmiotach należących do ofiary. Jego wzrok zatrzymał się na półce z książkami, w większości mangami. Wstał i przysunął krzesło do regału. Stał na ruchomym siedzisku, złapał pion i wsadził dłoń pomiędzy książki a ścianę. Nic.

Strzepnął pył, który został mu na prawej ręce. Kłębek kurzu zawisł w powietrzu, powoli zaczął zlatywać w dół i osiadł na listwie podłogowej. Wzrok Kordy mimowolnie podążył za nim i zatrzymał się na kratce wentylacyjnej wbudowanej w dolny róg ściany. Żaluzje porastał brud. Detektyw się schylił. Po obu stronach obudowy dostrzegł odciski palców – podobne do tych, które znajdowały się na tafli lusterka. Uklęknął. Bez trudu wyjął kratkę ze ściany.

W środku znajdowało się zawiniątko. Oskar Korda naciągnął na rękę lateksową rękawiczkę i delikatnie sięgnął po pakunek. Ze środka materiału wydobył kawałek porcelany. Obrócił go w dłoni. Na białej ścianie ciągnęły się wąskie, przecinające się kreski ulic. Detektyw odłożył ceramikę na podłogę i rozwinął materiał. Różowe figi z poliamidu i elastyny. Intuicja podpowiadała mu, że należały do Magdaleny Wirewicz.

13

„Masz nową lokalizację”.

Alicja jak oniemiała patrzyła na wyświetlacz telefonu.

– Jaką propozycję? – Czarnowłosy kelner nachylił się do niej poufale.

Dziennikarka zerknęła na niego przelotnie i szybko przeniosła wzrok na smartfona, który w tej samej chwili się wygasił.

– Bo kończę zmianę za godzinę, ale jeśli ci się spieszy, to wiesz, możemy iść na zaplecze – szepnął jej do ucha kelner.

– Sorry. Chyba mnie źle zrozumiałeś. – Alicja posłała kelnerowi przepaszający uśmiech.

– W takim razie to ja przepraszam – taktownie wycofał się brunet, ale Grabska nie zwracała już na niego uwagi.

Przełknęła ślinę i wzięła telefon do ręki. Odblokowała ekran i kliknęła w otrzymaną wiadomość.

Lokalizacja w Dębках była oddalona od Sopotu o sześćdziesiąt cztery kilometry i dostępna przez kolejne dwie godziny.

Dziwne. Przecież ujeli tego psychola, więc aplikacja nie powinna pokazywać nowych miejscówek. Chyba że Place to Rest nie miało nic wspólnego z morderstwami i to, że trafiła na ciało, było całkowitym przypadkiem... A może apka działała automatycznie i wyświetliła wcześniej przygotowaną lokalizację? To w sumie miało sens. Tak czy siak, należało to sprawdzić. Przecież Rozpruwacz mógł pozostawić na miejscu kolejny trop, który tym razem okaże się obciążający i pomocny w skazaniu?

Wstała, zostawiając na stoliku banknot i niemal nietknięte wino. Wyszła przed lokal. Uderzyło ją gorące powietrze zmierzchającego majowego dnia. Na zewnątrz panował gwar. Ludzie siedzący przy stolikach żywo dyskutowali. Głośno zaśmiewali się palacze stojący w grupkach pod filarami. Chodnikami przechadzali się turyści, pod wiadukt wjechało auto ze ściągniętym dla picu tłumikiem. Wybrała numer Kordey, lecz ten nie odbierał. Spróbowała raz jeszcze. Bez odzewu. Ponownie zerknęła na wyświetlacz. Minutnik pokazywał upływający czas. Lokalizacja będzie dostępna jeszcze przez godzinę pięćdziesiąt.

Zerknęła na trasę. Potrzebowała godzinę dwadzieścia, żeby tam dojechać.

– Szlag – stęknęła.

Korda na pewno siedział na komendzie i maglował Rozpruwacza.

Chwilę walczyła z wątpliwościami, jednak dziennikarska ciekawość zwyciężyła z irracjonalnym lękiem, który odczuwała na wspomnienie znalezionej w lesie zamordowanej dziewczyny. Wsiadła w stojącą pod Grand Hotelem taksówkę i podjechała pod dom przy Haffnera. Przesiadła się do swojej białej toyoty C-HR, uruchomiła silnik i pojechała trasą wyznaczoną przez apkę: Sopotką przebrnęła na Karwiny, obwodnicą Trójmiasta wypadła na Chylonię, minęła Rumię, Redę i Wejherowo i znalazła się na dwieścieosiemnastce. Uwielbiała polski krajobraz, który w majowej odświeżeniu wyglądał szczególnie pięknie. Soczysta zieleń lasów, porośnięte zbożem pola, maki na łąkach, błękitny matowy nieboskłon pokrywany się czerwienią zachodzącego słońca. Pogłodziła muzykę i przycisnęła pedał gazu.

Nim się obejrzała, wjeżdżała do Dębek. Na deptaku skręciła w lewo i dojechała aż pod stojącą w lesie roгатkę. Zaparkowała wśród krzaków i dalej poszła pieszo. O tej porze roku Dębki nie były jeszcze tak zapchane turystami jak w okresie wakacyjnym. Po drodze, delektując się zapachem świerków i świeżym powietrzem docierającym od strony morza, minęła raptem kilka osób. Z uśmiechem przeszła wąskim drewnianym mostkiem nad przecinającą plażę rzeką Piaśnicą. Korciło ją, by zdjąć trampki i iść boso, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Do tej pory miała w pamięci serię artykułów o jakimś czubie, który na trójmiejskich plażach zastawiał na ludzi pułapki. Ile to osób poraniło się ostrym szkłem, które wystawało spod piasku! Jeden chłopak w ten sposób niemal stracił piętę. A że był pijany, to wszedł do wody i po prostu się wykrwawił. Było o tym swego czasu głośno. Mieszkańcy północnej Polski jeszcze długo nie czuli się swobodnie nad morzem, nie mówiąc o turystach, którzy masowo rezygnowali z przyjazdów. Na to wspomnienie z niedowierzaniem pokręciła głową. Tyle lat minęło, a ona nadal nie potrafiła zanurzyć palców stóp w ciepłym, jasnym piasku.

W końcu przystanąła i rozejrzała się wokół. Nie było tu niemal nikogo. W oddali zobaczyła siedzące tu i ówdzie postaci. Woda Piaśnicy spokojnie płynęła w stronę brzegu morza, o który raz po raz uderzały spienione bałwany. Uniosła brodę, delektując się chłodnym, porywistym wiatrem, który targał jej długimi blond

włosami. Uwielbiała to miejsce. Przyjeżdżała tu często, gdy była młodą dziewczyną. Westchnęła i niechętnie zerknęła na ekran telefonu. Była już blisko. Do celu zostało kilkaset metrów.

„Co też mnie dzisiaj tu czeka?” – przemknęło jej przez głowę. „Oby nie było to znów jakieś porno na żywo”. – Skrzywiła się i ruszyła przed siebie. Nie byłaby zawiedziona, jeśli tym razem Place to Rest chciałyby po prostu zaprezentować jej tę najpiękniejszą w Polsce plażę.

Gdy przecinała piasek, przedzierając się przez wiatr, w wodzie zgasł ostatni promień słońca. Momentalnie zrobiło się szaro. Morze huczało coraz donośniej.

Znów zerknęła na ekran. Zostało sto metrów w linii prostej. Podniosła wzrok. Nieopodal znajdował się wbity w ziemię pał, do którego przybito dyktę z napisem: „Naga plaża. Każdy mile widziany, lecz rozebrany”. Prychnęła i znów rozejrzała się po zupełnie wyludnionej przestrzeni. Dostrzegła jakieś polana i unoszący się tuż nad nimi dym. Jako że nic innego nie przyciągnęło jej uwagi, skierowała się w ich stronę.

„Jesteś na miejscu” – poinformowała aplikacja.

– Hmm – mruknęła Grabska i kucnęła przy dogasającym ogniu.

Wyciągnęła ręce i starała się ogrzać palce, które nagle skostniały jej z zimna. Nie miała ze sobą nic z długim rękawem, a przecież nad otwartym morzem zawsze było chłodno, nawet przy dwudziestu kilku stopniach w pełnym słońcu.

– No dobra, co chcesz mi pokazać? – powiedziała do siebie i znów rozejrzała się wokół, wpatrując się uważnie w ziemię. Po chwili wstała i obesła tłące się ognisko. Wśród drewniek mignęło jej coś białego. Zmrużyła oczy, lecz zakradający się na plażę zmrok spowił wszystko szarością, która zabierała ostrość przedmiotom. Włączyła latarkę w telefonie, schyliła się i poświeciła do środka drewnianej konstrukcji. Serce zabiło jej szybciej. Była pewna, że to kawałki porcelany. Takie, jakie widziała już wcześniej w miejscach, do których doprowadziła ją apka. Kopnęła polana, które rozsunęły się na boki, niemal nietknięte przez ogień. W warstwie szarego popiołu rzeczywiście leżały fragmenty rozbitej ceramiki. Alicja rozejrzała się za jakimś kijem, a następnie za jego pomocą przyciągnęła białe części porcelany ku sobie.

Odwróciła największy z nich. Naniesione na ceramikę czarną farbą uliczki przecinały się z gęstym szpalerem iglastych drzew narysowanych cienką kreską. Jej serce znów przyspieszyło. Zerknęła na dymiące polano i dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że ktoś, i to całkiem niedawno, musiał je przecież podpalić. Poczowała, jak w gardle staje jej gula strachu.

Szybkim ruchem poświeciła latarką wokół siebie. Starła się cokolwiek wypatrzeć, lecz nie dostrzegła nikogo, kto czaiłby się w szarości nadciągającego wieczoru. Szybko obejrzała resztę wyłowionej z popiołu porcelany, ale nic na niej nie znalazła. Wsadziła zdobycz do kieszeni spodni i zaczęła z całych sił biec w stronę auta.

14

Padalo. Niebo było niemal czarne. Absolutnie gniewne. Oskar Korda stał pod drzewem, podniósł kołnierz skórzanej kurtki, patrzył, jak grube, mięsiste krople odbijają się od wielu rzędów ciemnych parasoli. Raz po raz migały białe chustki, którymi przecierano lecące po policzkach łzy.

– Prochem jesteś i w proch się obrócisz, ale Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym. Żyj w pokoju – mówił ksiądz okryty białą szatą, a jego zniekształcony przez megafon głos przecięło zwierzęce wycie matki Magdaleny Wirewicz.

Załamana ręce i niemal padła na ziemię. W ostatniej chwili przytrzymał ją stojący obok syn. Młodszy brat zamordowanej dziewczyny, piętnastoletni Marcin Wirewicz, ubrany w szary, slimowany garnitur, miał zbolalą minę. Zdezorientowany patrzył to na matkę, to na trumnę. Ojciec Magdy, Antoni Wirewicz, wyglądał dziś niczym duch: blada, niemal przezroczysta twarz nie wyrażała żadnych emocji. Korda był pewien, że myślami jest gdzieś bardzo daleko.

Detektyw poczuł silną chęć, by zapalić. W zamian wsadził w usta wygrzebaną z kieszeni wykałaczkę, którą przygryzł zębami. Nie znosił pogrzebów, dlatego chodził na nie jedynie służbowo. A patrząc na cierpienie rodziny Wirewiczów, cieszył się, że nie ma

na tym świecie nikogo prawdziwie bliskiego. Przesunął językiem wykałaczkę w lewo i w prawo, po czym znowu ją przygryzł. Wodził wzrokiem po uczestnikach pogrzebu, którzy zgromadzili się przy głębokim dole, nad którym na linach wisiała sosnowa trumna. Rodzina, którą Oskar zdążył wcześniej poznać podczas rozpytań, koleżanki i koledzy ze studiów, z którymi detektyw też wielokrotnie rozmawiał. Sąsiedzi, których twarze kojarzył, kilka nieznanym mu osób, które miał potem spisać stojący po drugiej stronie cmentarza Gustlik. Alicja Grabska w czarnym garniturze i białej bluzce stała kilka grobów dalej, jakby bała się podejść. Korda przez chwilę zawiesił na niej wzrok, a w jego brzuchu pojawiło się przyjemne ciepło. Alicja podniosła nagle głowę, jakby wyczuła na sobie jego spojrzenie. Detektyw nieznacznie kiwnął jej głową, a ona smutno uśmiechnęła się w pozdrowieniu.

Na wszystkich twarzach malował się ból. Wiele osób bezgłośnie łkało, kilka zanosilo się płaczem. Korda doskonale wiedział, że jeśli ktoś płacze na pogrzebie, niekoniecznie rozpacza z powodu śmierci. Może odczuwa wyrzuty sumienia? Może udaje? Próbuje zdjąć z siebie podejrzania? A może zmarły był mu dłużny pieniądze, których płaczący nigdy nie odzyska? To, co widzimy gołym okiem, wcale nie musi być prawdziwe.

– Złożymy ciało naszej siostry w grobie – powiedział ksiądz. – Ponieważ Chrystus zmartwychwstał jako pierwszy z umarłych i odnowi nasze śmiertelne ciała na podobieństwo swojego ciała uwielbionego, ufamy, że wskrzesi ciało naszej siostry, gdy przyjdzie w chwale.

Mężczyźni w znoszonych ciemnych garniturach odwiązali liny i zaczęli opuszczać trumnę do grobu. Deszcz jeszcze mocniej zaczął walić o parasolki, nie zagłuszył jednak łkań, które niosły się w powietrzu.

– Witaj Królowo, Matko miłosierdzia – zaintonował ksiądz, a wykałaczką w ustach Kordy przewędrowała z jednej strony ust na drugą.

Matka Magdaleny Wirewicz rzuciła się do opadającej na linach trumny. Jej dłonie i kolana pokryła gęsta, ciemna warstwa błota.

Korda odwrócił wzrok. Spojrzał w lewo. Za oddalonym o kilkadziesiąt metrów drzewem mignęła mu czapeczka z daszkiem

i długi obiektyw aparatu skierowany w jego stronę. Poczł znajome ukłucie, oderwał się od pnia wysokiej sosny i zaczął iść w tamtym kierunku. Czapeczka nagle się cofnęła i zniknęła mu z oczu. Przyspieszył kroku. Minął drzewo, przy którym stał wcześniej mężczyzna, i przystanął na skrzyżowaniu cmentarnych dróg. Kobieta w czarnej sukience pochylała się nad marmurową płytą, jakiś staruszek o melancholijnym wyrazie twarzy siedział na małej ławeczce, wpatrzony w nagrobkowe zdjęcie kobiety, dalszymi ścieżkami przetaczali się anonimowi ludzie. Nikogo w czapeczce z daszkiem. Żadnego aparatu.

– Panie detektywie – usłyszał nagle za sobą.

Odwrócił się. W jego stronę zmierzał Marcin Wirewicz. Przykrótkie spodnie od garnituru odsłaniały czarne skarpetki w czerwone ludziki.

– Panie detektywie – powtórzył piętnastolatek, stając obok Kordy. Przejechał ręką po blond włosach, które zmoczył deszcz. – Ma pan chwilę? – Uśmiechnął się nieśmiało.

Detektyw zauważył, że chłopak miał identyczne oczy jak zmarła siostra: jasnoniebieskie, błyszczące jak woda. Skinął głową.

– Pytał pan przedwczoraj, czy Magda interesowała się ceramiką, czy coś.

– Yhm.

– No więc w sumie raczej nie. Tak jak mówiliśmy. Ale ojcu się coś przypomniało. Poszperał w szufladach i znalazł to. – Chłopak mokrą ręką wyciągnął z tylnej kieszeni spodni złożoną na pół ulotkę. – Magda była tam kilka razy na jakichś zajęciach. Jakoś parę miesięcy temu. Ale z tego, co kojarzę, to chyba coś bardziej z malowaniem robiła. Nie jestem pewien.

Korda przejął pomietą ulotkę, na którą zaczęły opadać grube krople deszczu.

„Fundacja »Sztuka Serca«. Zapraszamy do świata rysunku, malarstwa i ceramiki w naszej pracowni w Sopocie”.

– Dzięki. Sprawdzimy to – powiedział Korda i znów uważnie rozejrzał się wokół.

Kobieta w czarnej sukni zaczęła iść w stronę bramy wejściowej, staruszek siedzący na ławce miał niezmiennie melancholijne spojrzenie, z lewej strony nadciągała jakaś liczna rodzina, która

głośno debatowała o wyższości naturalnych kwiatów nad sztucznymi, mimo że trzeba potem sprzątać opadłe liście z płyty nagrobnej.

– Ale znicze elektryczne to dobry wynalazek – doszło jego uszu. – Bo pół roku bez przerwy się może palić, jak ma mocne baterie.

– Eeeee. – Pan z wąsem machnął ręką. – Ogień jest symbolem wieczności, a nie tam jakaś bateria.

Korda zmrużył oczy, próbując namierzyć mężczyznę w czarnej czapeczce. Nikogo takiego jednak nie widział. Deszcz powoli ustawał, a ceremonia pogrzebowa musiała dobiec końca, bo w jego kierunku zaczęły zmierzać czarne parasole żałobników.

– Cześć – usłyszał nagle obok siebie. Spod parasola wyjrzała Alicja. – Musimy pogadać.

15

– Jak mogłaś tam pojechać beze mnie? – Korda wymownie zerknął na Alicję zajmującą siedzenie pasażera. – Przecież mogło ci się coś stać! – podniósł głos.

Dziennikarka poczuła nieprzyjemne ukłucie w brzuchu.

Męskie palce wbijające się w jej żuchwę.

Otwórz usta! Otwieraj!

Odwrociła wzrok do okna. Taki ton zawsze sprawiał, że chowała się w skorupie. Nie potrafiła reagować na krzyk. Zamierała i czekała na to, co ma nadejść.

– Ala? – Korda znów na nią zerknął. Tym razem łagodnie, uważnie. – Co jest?

Milczała.

Otwórz usta! Otwieraj.

– Przepraszam – powiedział detektyw, jakby odczytał jej myśli. – Nie powinienem krzyczeć. – Skręcił w prawo. – Po prostu martwię się o ciebie.

– Przecież niby go złapaliście – szepnęła Alicja.

Szare miasto mknęło przed jej oczami. Kamienice, ulice, drzewa, ludzie – wszystko zdawało jej się nierzeczywiste.

– To nie on – powiedział spokojnie Korda. – Raczej nie on – dodał.

– Nie odbierałeś. – Alicja oderwała w końcu spojrzenie od okna i przeniosła je na detektywa. Lewy łokieć nonszalancko oparł na wnęce drzwiowej, prawa ręka kontrolowała kierownicę. Wszedł w zakręt, dociskając ją śródrezczem, wyprostował palce. Kontrola. Grabska doceniała tę cechę u innych ludzi. – Nie chciałam, żeby przepadł nam jakiś trop.

Oskar ze zrozumieniem skinął głową.

– Dobrze się spisałaś. – Uśmiechnął się łagodnie.

Blizna podeszła do góry, nadając jego twarzy grymas, który Alicja zdążyła już poznać.

Uśmiech, nie uśmiech.

Lubiła to w nim.

Niczego nie udawał.

Jego nieprzeniknioność była prawdziwa. Tego była pewna, choć tak naprawdę nic to o nim nie mówiło.

– Mamy trzy części mapy. Brakuje tylko ostatniego elementu. – Korda zaparkował. – A ty jesteś cała, siedzisz obok, więc było warto pojechać. Na twoim miejscu zrobiłbym pewnie to samo.

Alicja poczuła się mile połechtana, a zarazem zrobiło jej się nieswojo. Nie była przyzwyczajona do tego, by ktoś ją w ten sposób chwalił.

– Udało się coś ustalić odnośnie do tego przelewu widmo? – zmieniła temat. – Jak to możliwe, że kasa tak po prostu zniknęła z konta? Przecież wszystkie transakcje dokonywane w sieci są monitorowane.

– Masz rację. Istnieją odpowiednie systemy, które to uniemożliwiają. KYC, AML i CTF. Zresztą same banki na mocy prawa mają obowiązek przeciwdziałać hakerskiej działalności. Sporo się w to inwestuje, całe zespoły zajmują się analizą danych, dlatego zniknięcie tej kasy z konta to scenariusz mało prawdopodobny, choć oczywiście nie niemożliwy, bo jednak podobne nadużycia już się zdarzały. Tylko że czymś takim zajmują się naprawdę wyspecjalizowane grupy przestępcze, działające na czarnym rynku lub zajmujące się praniem pieniędzy, i w takim wypadku przesyłane wynagrodzenie stanowi ułamek jakiejś większej kwoty. Takie grupy

mają odpowiednie siły i środki, wiesz, infrastrukturę i ludzi, włączając oczywiście wiedzę. Do tego cyberterrorysty korzystają z ochrony państw takich jak Rosja, Chiny czy Korea Północna. Dla Korei Północnej to zresztą sposób ominięcia sankcji i zdobycia kasy. – Korda się rozkręcał. – Układ jest doskonały: zespoły zdolnych łebków robią to, co lubią, dostają wsparcie od rządu danego państwa, czyli kasę na najlepsze zabawki i dobre życie, no i gwarancję niekaralności, przynajmniej tak długo, jak długo są potrzebni i nie opuszczają kraju. Cóż, żyć szybko, umierać młodo, niektórzy to lubią. – Korda znów uśmiechnął się w swój zwyczajowy sposób.

– Czyli co? Cała ta aplikacja, morderstwa i tak dalej to działanie cyberterrorystów? – Alicja ironicznie podniosła brew.

– Nie tym razem. – Detektyw pokręcił głową. – Okazało się, że twój szanowny szef nabrał się na hakerski atak socjotechniczny. Był tak bardzo zdesperowany, że kliknął w link, który podesłał mu rzekomy pracownik banku pomagający przy przelewie od klienta. W ten sposób haker przejął obraz w monitorze komputera Szylbacha i nałożył na niego zdalny obraz swojego pulpitu. Tym samym transfer środków faktycznie poszedł i nawet pojawił się na koncie, tylko nie właściciela „Dziennika Trójmiejskiego”. Do tego nie trzeba być elitarną grupą hakerską ze wsparciem z KRLD. Wystarczy ekipa z Polski albo jeden zdolny haker. Ja osobiście obstawiałbym samotnego wilka.

– Naszego mordercę?

– Niewykluczone – westchnął Korda. – Idziemy? – Położył rękę na klamce drzwi.

Stromo opadająca w dół ulica była wąska. Po obu jej stronach znajdował się chodnik ze starych, połamanych, parujących od upału i wilgoci płyt. Nad wysokimi tujami rozciągało się grafitowe niebo, zza chmur nieśmiało przebijało się słońce. Przy Sienkiewicza Alicja i Oskar stanęli przed domkiem o beżowoszarych ścianach, obok którego umieszczono tablicę z napisem „Fundacja »Sztuka Serca«”.

Korda otworzył mosiężną furtkę i przepuścił Grabską przodem. Wspięli się schodami i zadzwonili do drzwi.

– Zapraszam, zapraszam! – Otworzyła im kobieta w średnim wieku, o zielonych oczach i delikatnej pajęczynie kurzych łapek. Na

głowie nosiła dredy zwinięte na kształt turbanu. – Zaraz zaczynamy.
– Uśmiechnęła się i zniknęła w ciemnym korytarzu, na którym panował przyjemny chłód.

Detektyw i dziennikarka popatrzyli na siebie porozumiewawczo i podążyli za kobietą.

Pokój był przestronny. Przez wysokie narożne okna o drewnianych białych szprosach wpadało dzienne światło. Słońce musiało na chwilę wyjść zza chmur, gdyż w jednej chwili zrobiło się jasno, niemal jaskrawo. Przy długim, szerokim drewnianym stole siedziała grupa ludzi: mocno umalowana ciemnowłosa dziewczyna nosząca liczne koralikowe naszyjniki, ruda nastolatka z długimi kolczykami o włosach za ucho, kobieta w średnim wieku w apaszcze w groszki, krótkowłosa blondyn z brodą o twarzy pokrytej drobnymi piegami, mężczyzna z wąsem w T-shircie w kolorowe mazaje.

– Siadajcie. – Kobieta, która ich wprowadziła, wskazała im miejsca. – Śmiało. – Uśmiechnęła się.

– Dziękujemy – odparł Korda i wyciągnął odznakę. – My w innej sprawie. – Rozmowy ucichły. Wszyscy nagle spojrzeli w ich stronę. – Porozmawiamy w cztery oczy?

Zaskoczona kobieta w dredach skinęła głową i poprowadziła ich do niewielkich rozmiarów biura.

– O co chodzi? – Zmarszczyła czoło tak mocno, że przecięła je sieć głębokich linii.

– Detektyw Oskar Korda i Alicja Grabska – przedstawił ich policjant. – A pani to...?

– Katarzyna Sobolewska, właścicielka fundacji. – Kobieta przełknęła ślinę.

– Proszę się nie denerwować. Mamy tylko kilka rutynowych pytań w związku z prowadzonym śledztwem i być może będzie mogła nam pani pomóc.

Sobolewska widocznie odetchnęła.

– Kojarzy pani tę twarz? – Korda wyciągnął zdjęcie Magdy Wirewicz.

– To ta zamordowana dziewczyna z lasu, prawda? – spytała Sobolewska.

– Tak – potwierdził policjant. – Znała ją pani?

Katarzyna Sobolewska ze zdziwieniem zmarszczyła czoło.

– A powinnam? – zapytała.

– W jej mieszkaniu znaleziono ulotkę tego miejsca. Podobno wybierała się do was na zajęcia.

Sobolewska przekrzywiła głowę i z napięciem wpatrzyła się w zdjęcie.

– Hm. Gdy zobaczyłam jej zdjęcie w telewizji, to od razu wydała mi się jakaś znajoma, ale nie skojarzyłam, żeby... Wie pan, tutaj przewija się wiele osób. Niektórzy przychodzą raz albo dwa i więcej się nie pojawiają.

– Nie macie żadnej listy uczestników kursu? – zapytał z nadzieją Korda.

– Niestety. Nie zbieramy formalnych danych. Zajęcia są finansowane z budżetu miasta, każdy z ulicy może przyjść i zostać, jeśli mu się spodoba. Mogę jedynie powiedzieć, że na pewno ta dziewczyna nie bywała u nas na stałe, jeśli w ogóle była kiedykolwiek. Jeszcze zapytam kolegę. Marek! – zawołała, wychylając się przez drzwi.

Po chwili do biura wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o jasnobrązowych włosach sięgających za łopatki.

– No, co jest? – zapytał.

– Kojarzysz tę dziewczynę? – Sobolewska przekazała mu zdjęcie.

– No – odparł Marek. – To chyba ta ofiara. Tego Rozpruwacza?

– Była tu kiedyś? – wyrwała się Alicja.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– A to? – Korda wyjął z kieszeni woreczek strunowy.

W środku znajdował się kawałek porcelany przekazany mu przez Alicję.

Oboje pochyłili nad nim głowy.

– Robiliście kiedyś coś takiego? – Korda przyglądał im się uważnie.

– No, mamy zajęcia z ceramiki – odpowiedziała Sobolewska. – Uczymy technik lepienia z płatów, wałeczków, przez wyciskanie, odciskanie z formy... i oczywiście zajmujemy się dekorowaniem: szkliwimy, angobujemy, tworzymy faktury i reliefy. Często pomagamy też wykonać pracę na podstawie własnych pomysłów.

– A taką mapę ktoś kiedyś chciał u was zrobić?

Katarzyna Sobolewska pytająco spojrzała na kolegę. Ten pokręcił głową.

– Nic nie kojarzę – przyznała kobieta.

– Rozumiem. A może pani coś powiedzieć o wykonaniu tego kawałka mapy? – poprosił policjant.

– Cóż, mamy tutaj do czynienia z produktem błyszczącym, nieprzepuszczalnym dla wody, ze szlifowanymi bokami. Tak na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że szkliwo zostało uformowane i wypalone samodzielnie, bo w sklepach można nabyć szkliwione przedmioty porcelanowe, na które możemy nakładać warstwy farby, ale na pewno nie o takim kształcie.

– Czyli ten, powiedzmy, artysta musiał dysponować jakimś piecem? – spytała Alicja.

– Tak, piecem ceramicznym. Ale niekoniecznie profesjonalnym, bo na polskim rynku funkcjonuje wiele firm, które prowadzą sprzedaż pieców hobbystycznych, czyli pieców elektrycznych, prostych w obsłudze i mających niewielkie rozmiary.

– Rozumiem. – Entuzjazm Alicji opadł.

– A jaką technikę zdobienia zastosowano?

– Wysokotemperaturową. Malowanie czy też pisanie, bo w tym przypadku raczej jest mowa o tym drugim, przypomina tutaj technikę akwareli. Farbę rozcieńcza się do konsystencji pasty do zębów i bardzo cienką warstwą nakłada na ceramikę.

– Jak by pani oceniła efekt tego malowania?

– Chodzi panu o to, czy nasz artysta zrobił to profesjonalnie? – upewniła się właścicielka fundacji. – Nie sądzę, by to był profesjonalista, ale wykonał tę pracę bardzo przyzwoicie. Wie pan, zdobienie porcelany nie jest wcale takie łatwe, jak się wydaje, bo wymaga dużej wiedzy technologicznej i sporej wprawy. Dla osoby uzdolnionej artystycznie nie jest problemem malować na płaskim arkuszu papieru lub na płótnie, ale proszę mi uwierzyć, dużo trudniej przenieść określony wzór na trójwymiarowe naczynie o nieregularnych kształtach. Po pierwsze, trzeba malować z wyczuciem, bo inaczej zrobią się smugi i plamy, które na dobre uwidaczniają się dopiero po wypaleniu. Po drugie, gładka i śliska powierzchnia potrafi sprawiać artyście wiele niespodzianek. Na pewno więc osoba, która to wykonała, miała wiedzę i umiejętności.

Proszę zerknąć na wykonanie tych maluteńkich choineczek, które stoją przy liniach trasy. Te drzewka są bardzo precyzyjne, niby schematyczne, ale dość charakterystyczne. Powiedziałabym, że to podpis, który zostawił twórca. – Sobolewska zaśmiała się. – Ja zawsze mówię moim uczniom, żeby eksperymentowali, nawet jeśli chcą coś odtworzyć.

Korda znów wymienił z Alicją porozumiewawcze spojrzenia.

– Chyba wszystko wiemy – podziękował detektyw. – Jeśli coś by się pani przypomniało, proszę o kontakt. – Podał jej wizytówkę.

Detektyw i dziennikarka wyszli z budynku i niespodziewanie znaleźli się w strugach deszczu. Nie wiedzieć kiedy słońce znów skryło się za ciężkimi chmurami, które opadły nisko nad ich głowami.

– Cholera – stęknęła Alicja i powoli zeszła w stronę auta po śliskich schodach w sandałach na słupku.

16

Ciasna winda skrzypiała. Naprężające się stalowe liny powoli podciągały ją do góry. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i deszczu, który skapywał z ich ubrań, zostawiając mokre plamy na linoleum. Podniosła wzrok i spotkała się z jego spojrzeniem. Było mgliste i nieprzeniknione. Nie potrafiła nic z niego wyczytać. Blizna przecinająca policzek lśniła od wilgoci. W końcu jego usta ułożyły się w charakterystyczny grymas uśmiechu. Winda z gruchnięciem stanęła. Wysiedli. Puste ściany odbijały ich kroki echem.

Oskar Korda otworzył mieszkanie. Rzucił kluczyki na stojącą w korytarzu komodę. Wnętrze było surowe. Przetarty parkiet, białe ściany, plafon ze szkła pamiętający czasy PRL-u, drewniany wieszak ścienny, na którym wisiała skórzana kurtka.

– Tu masz łazienkę. – Wskazał Alicji. – Czyste ręczniki znajdziesz w szafce. Ja tymczasem ogarnę coś do jedzenia.

Skinęła głową i zniknęła za przeszklonymi rubinowymi drzwiami. Korda stał chwilę bez ruchu. Patrzył na cień kobiety ściągający bluzkę. Plecy, wcięcie w tali, zarysowujące się pośladki. Przełknął ślinę i podążył do kuchni.

Zrzucił mokrą koszulkę na oparcie krzesła. Palcami przeczesał włosy. Umył ręce i otworzył drzwi lodówki. Sięgnął po próżniowo pakowaną, trzymaną w naczyniu z lodem kałamarnicę, którą nabył z samego rana u sprawdzonego handlarza na hali rybnej w Gdyni. Wyciągnął też rzodkiewkę i mleko kokosowe. Świeże mango i chili czekały w bambusowej misce stojącej na drewnianym blacie kuchennym.

Rozciął worek próżniowy i wyjął z niego cienko pokrojone, niemal przezroczyste steki z kałamarnicy. Ich powierzchnia była kremowa i wolna od pęknięć. Pachniały jak morze: cierpkimi wodorostami i solą. Wrzucił je do półmiska i pokropił sokiem z limonki. Trzasnęły drzwi, zaskrzypiał parkiet. Oskar odwrócił głowę. W progu stała Alicja. Miała wypieki na twarzy i mokre, rozpuszczone włosy. Korda już drugi raz widział ją bez makijażu, jednak dopiero teraz zauważył, że jej nos pokrywały drobne piegi.

– Co to będzie? – Alicja wyciągnęła szyję, lustrując produkty rozłożone na blacie.

– Ceviche z kałamarnicy – Korda zawadiacko uniósł brwi. – Paradoksalnie bardzo proste w przygotowaniu.

Alicja ze szczerym zaskoczeniem usiadła przy stole. Za oknem nadal padał deszcz, cicho obijając się o szyby.

Korda znów otworzył lodówkę i wyciągnął z niej białe wino. Odkorkował butelkę i sięgnął do szafki po smukły kieliszek. Powoli, nie dotykając go szyjką butelki, nalał wino i podał je Alicji.

– Hibernial – powiedział. – Będzie idealne do ceviche.

Ponownie odwrócił się do blatu i sięgnął po przyprawy. Sól, pieprz, odrobina imbiru. Mięśnie na nagich plecach detektywa lekko drgały. Alicja rzuciła okiem po nabrzmiąłych żyłach i napinających się ścięgnach na jego przedramionach. Przeniosła spojrzenie na bosc stopy i dzinsy opadające na biodra. Sięgnęła po kieliszek. Jego ścianki zdążyły się zrosić. Nie mogła się powstrzymać; przejechała palcem po wewnętrznym brzegu, ścierając ze szkła wodną mgiełkę. W końcu uniosła kieliszek do nosa. Wino pachniało ziołami, czarnymi porzeczkami i mandarynką. Upiła. Było rześkie i głębokie. Wyraźną kwasowość przełamywała słodycz. Zadowolona przymknęła oczy, po chwili znów je otworzyła.

Drgające mięśnie na plecach, nabrzmiące żyły na przedramionach.

Wstała szybko.

– Mogę jakoś pomóc? – Podeszła do Oskara.

– Cóż... – Korda się rozejrzył. – Możesz pokroić kolendrę.

Skinęła głową. On podał jej deskę, zioła i nóż o cienkim, delikatnym ostrzu i prostokątnej klindze.

– Imponujący tasak. – Uśmiechnęła się.

– To nakiri. Tradycyjny japoński nóż do cięcia ziół i warzyw. Dostałem go od przyjaciela, też policjanta. Pająk jest zafiksowany na punkcie Japonii i czasami podrzuca mi takie smaczki.

– Okej. Czyli na pewno trzeba go używać w jakiś specjalny sposób? – spytała Alicja.

– Dzięki prostej krawędzi można nim kroić w linii pionowej i stosować wiele różnych technik, jak julienne czy chiffonade. – Alicja rzuciła mu pytające spojrzenie, więc Korda uciął wywód. – Najważniejsze jest to, by pokroić kolendrę na tyle sprawnie, żeby smak trafił do potrawy, zamiast zostać na desce. Chodź, pokażę ci.

Stanął za plecami Alicji.

– Najpierw trzeba ułożyć kolendrę w ciasną rolkę – powiedział. – Yhm. Właśnie tak. Przytrzymaj rolkę lewą ręką, tylko nie przyciskaj. Pamiętaj, że chcemy, żeby w daniu wylądowało maksymalnie dużo smaku. Najlepiej, gdy wysuniesz palec środkowy do przodu, a wskazujący i serdeczny zegniesz z tyłu. – Korda przysunął się bliżej, otoczył ją ramionami i delikatnie chwycił jej dłonie. – I teraz kierujesz nóż wzdłuż górnego paliczka i odcinasz cieniutkie paski z rolki. Tylko ostrożnie, uważaj na koniuszki palców. Yhm. – Korda zaczął prowadzić jej rękę. – Ładnie i powoli, okrągłymi ruchami. Dokładnie tak. – Zniżył głos, choć w jego uszach zaczęło huczeć.

Jego ręce zamaryły na jej dłoniach. Oddychał ciężko i szybko w jej kark. Na skórze Alicji pojawiła się gęsia skórka. Przymknęła oczy. Poczwała w podbrzuszu znajome mrowienie. Choć wydawało im się, że stoją bez ruchu, napór ich ciał stawał się coraz większy.

Fenyletyloamina, dopamina, adrenalina, endorfiny.

– To nie jest dobry pomysł – wychrypiał Korda.

Zwążone naczynia krwionośne, przyspieszone tętno, rozszerzone źrenice.

Jego broda przejechała po jej szyi.

Teraz jęknęła ona.

Rozgrzanie kończyn, ukrwienie mięśni, oszołomienie.

Korda przesunął ręką po jej ramieniu, pogładził jej bok. Dotarł do prawego uda, zacisnął na nim swoją dłoń, znów skierował się ku górze i złapał opięty spodniami pośladek.

– To nie jest dobry pomysł – powtórzyła słowa Oskara Alicja i napięła się jak struna, ale jej biodra bezwiednie zaczęły poruszać się zmysłowo.

Raptowny wyrzut hormonów.

Korda jak w transie sięgnął do jej rozporka. Odpiął górny guzik i jednym ruchem ściągnął jej spodnie do kostek. Przeciągle mruknął, gdy dostrzegł białe koronkowe stringi. Podciągnął materiał jej bluzki, odsłaniając smukłe plecy, pośrodku których biegło pionowe wgłębienie. Schylił się i przejechał po nim językiem, jednocześnie zdejmując z Alicji top. Jedną ręką sięgnął do lewej piersi, wysunął ją z pasującego do majtek stanika, mocno zacisnął palce na sterczącym sutku. Druga ręka zaczęła ślizgać się po stringach, po chwili odsunęła materiał i zanurzyła się w wilgoci.

Alicja stęknęła i gwałtownie odsunęła leżącą przed sobą deskę do krojenia; pocięta w cieniutkie paseczki kolendra rozsypała się po podłodze. Oparła ramiona na blacie, wypięła pupę. Korda sięgnął do swojego rozporka. Nie ściągając spodni, szybko znalazł się w Alicji. Odetchnął głęboko, jakby poczuł przemożną ulgę. Złapał Alicję za mokre włosy i zaczął wbijać się w nią rytmicznie, jeżdżąc paznokciami po jej plecach.

Fenyloetyloamina, dopamina, adrenalina, endorfiny.

Zwężone naczynia krwionośne.

Przyspieszone tętno.

Rozszerzone źrenice.

Rozgrzanie kończyn, ukrwienie mięśni.

Oszołomienie.

Maksymalny wyrzut hormonów.

Korda, dysząc, odsunął się od Alicji i oparł plecami o szafkę. Zerknął na dziennikarkę. Jej twarz przywarła do drewnianego blatu. Nie widział jej miny, ale był pewien, że Alicja patrzy na ściekające po szybie krople deszczu. Oddychała miarowo, jej ciało poruszało się w górę i w dół. Wyciągnął dłoń i delikatnie przeciągnął palcami wzdłuż kręgosłupa. Znów zadrżała, a on uśmiechnął się do siebie.

– W porządku? – zapytał, zapinając rozporek.

– Yhm – odpowiedziała.

Wyprostowała się i zaczęła naciągać spodnie. Rozejrzała się za bluzką. Leżała na podłodze, pokryta małutkimi kawałeczkami liści kolendry. Szybko ją chwyciła i włożyła przez głowę. Podeszła do stołu. Łapczywie upiła białe wino.

Szron zdążył zniknąć ze ścianek kieliszka. Półwytrawny alkohol przestał być przyjemnie zimny.

– Muszę już lecieć – stwierdziła, omijając Kordeę wzrokiem.

– Alicja... – szepnął zdziwiony detektyw.

– Naprawdę muszę. – W końcu na niego spojrzała.

Miał potargane włosy i łagodny wyraz twarzy, którego wcześniej u niego nie zauważyła. Otworzył usta, ale nie zdążył nic już powiedzieć.

– Następnym razem – ucięła i skierowała się do wyjścia.

Przebiegła ciemną klatkę schodową i wsiadła do windy.

Ciasną przestrzeń wypełnił zapach kolendry.

17

Wściekłość lub pustka. Jakby nie było nic pośrodku. Gdy wypełniała ją pustka, marzyła o wściekłości. Gdy wygrywała wściekłość, pragnęła pustki. Była już tym zmęczona. Była zmęczona sobą. Udawaniem, że ma w sobie siłę, mimo że odczuwała wieczny lęk, z którego wyrastały wszystkie inne emocje.

Westchnęła i wpatrzyła się w okno wychodzące na ulicę. Powoli nadchodził wieczór. Powietrze robiło się lżejsze, choć nadal było wilgotne od deszczu, który w końcu przestał padać. Nie mogła tak tkwić. Nie mogła zapadać się w sobie za każdym razem, gdy się do kogoś zbliży. To nie jest prawdziwa Alicja. Nie знаła tej osoby, którą się stała.

Na przemian zaciskała i rozluźniała pięści. Miała ochotę krzyczeć. Zamiast tego szybkim krokiem podeszła do szafy i wyciągnęła z niej strój do joggingu. Włożyła buty i zbiegła po schodach. Wypadła z bramy. Nie spodziewała się nikogo za furtką. Nagle zderzyła się z kimś przechodzącym obok. Poczwała przenikliwy ból barku.

– Auuuu! – stęknęła i zaczęła masować bolące miejsce.
– Przepraszam! – wykrzyknął mężczyzna. – Ale wypadła pani tak nagle. – Też złapał się za ramię. – Zupełnie pani nie widziałem. Tylko szedłem – zaczął się tłumaczyć.

Alicja zagryzła zęby. Bolało. Tak przyjemnie bolało.

„Zasłużyłam na to” – przemknęło jej przez głowę. „Zasłużyłam na wszystko, co mnie spotyka”.

Paradoksalnie ta myśl dodała jej sił. Dawniej lubiła się oszukiwać, że nic nie zależy od niej.

Podniosła głowę.

Mężczyzna miał jasnoniebieskie oczy i piegi. Ulizane blond włosy i broda dodawały mu intelektualnego sznytu.

Obdarzyła go uśmiechem.

– To moja wina – przyznała. – Powinna być się rozejrzeć.

Mężczyzna zmrużył oczy. Wokół jego powiek pojawiły się malutkie wesołe zmarszczki.

– My się znamy – stwierdził.

Alicja podniosła brew. Pokręciła głową.

– Przepraszam, ale nie kojarzę.

– A ja kojarzę. Doskonale kojarzę. – Nieznajomy uśmiechnął się. Jego oczy błysnęły. – Trzy Siostry? Shoty?

Grabska znów pokręciła głową, choć twarz nagle wydała jej się jakoś znajoma.

– Sorry – bąknęła.

– Mieliśmy iść do mnie, ale nie zdołaliśmy tam dotrzeć. – Zaśmiał się. – Byłaś zbyt napalona. – Kokieteryjnie przekręcił głowę. – Nie pamiętasz? – zdziwił się.

– Widocznie się nie spisałeś. – Grabska zacisnęła usta i wzruszyła ramionami. – Sorry, ale muszę lecieć – ruszyła.

– Czekał, czekaj! – Nieznajomy w ostatniej chwili złapał ją za rękę. – Może byśmy się potem spotkali? – zaproponował. – Żebyś tym razem dobrze mnie zapamiętała. – Puścił jej oczko.

Popamiętasz mnie! Popamiętasz mnie na zawsze!

Dziki głos męża przeszył jej mózg.

– Nie daję drugich szans. – Grabska wyrwała rękę, szybko się odwróciła i zaczęła biec.

Serce biło jej jak szalone. Dotyk mężczyzny odcisnął w jej umyśle kolejny ślad, który nerwowo będzie próbowała zapomnieć, wymazać z pamięci. Czy to, co mówił, było prawdą? Czy wykorzystwała go jak wielu innych? Ocierające się o korę drzewa plecy, ostra ściana budynku raniąca do krwi jej pośladki, zamarznęta droga, szorstki plażowy piasek, wbijający się w ciało gruz. Którym z tych bezimiennych mężczyzn był? Nie wiedziała. Żaden z nich nie miał twarzy, rysów, znaków szczególnych. Rozpływali się w jej umyśle jak we mgle, jakby to wszystko, co w tamtym czasie robiła, było snem.

Zbiegła w dół ulicą Goyki, po drodze mijając korty tenisowe. Przecięła plac Mancowy i wbiegła na plażę. Wiatr uderzył ją w twarz. Raz jeszcze. I jeszcze. Jak piść. Jak pas. Jak wierzch książki. Jak wszystko, czym kiedykolwiek dostała. Uśmiechnęła się przekornie. Poczwała, jak ogarnia ją entuzjazm.

Przedostała się na brzeg morza po ciężkim, mokrawym piasku i następnie przyspieszyła. Nogi pracowały miarowo. Plecy wyprężyły się, czubek brody uniósł się ku górze. Była czystym ruchem. Zwierzęciem uciekającym przed wspomnieniami.

Gdy w końcu stanęła, zaczęła się już zmierzchać. Schyliła się i położyła dłonie na zmęczonych udach. Dyszała; prawie tak głośno jak wieczorne morze. Wiatr jeszcze bardziej się wzmógł. Jego mocne uderzenia pieściły gorącą skórę jej twarzy. Powoli przecięła plażę i przez wyjście obrośnięte wydmowymi roślinami wydostała się na wyludnioną promenadę. Tu zrobiło się ciemniej. Rosnące wokół wiekowe drzewa tworzyły ciemne tunele.

Jej oddech powoli się uspokajał. Zmierzała w stronę domu. I wtedy to poczuła. Czyjś wzrok, który palił ją w plecy. Mechanicznie odwróciła głowę. Kilkanaście metrów za nią szedł jakiś mężczyzna. Znów popatrzyła przed siebie. Nie miała się czego lękać. Ktoś szedł tą samą trasą. Ot tyle. A jednak jej serce przyspieszyło. Znów odwróciła głowę. Mężczyzna był trochę bliżej, lecz w zapadającym mroku nie mogła dostrzec jego twarzy.

Wiedziała, że sygnały wysyłane przez ciało są absurdalne. Mimo to zaczęła biec. Powoli, spokojnie, tak jakby po prostu kontynuowała trening. Nie zatrzymując się, spojrzwała w tył.

Ten ktoś też wyraźnie przyspieszył i teraz znalazł się raptem kilka metrów od niej. Serce znów zakołatało jej w piersi. Jej oddech zrobił się tak płytki, że niemal nie mogła zaczerpnąć powietrza. Robiło się coraz ciemniej. Chciała uciekać, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa, jak w koszmarze.

– Alicja! Ala! – zaczęły dochodzić ją nawoływania.

Ciemność, gwałtowne pulsowanie skroni. Czyj to głos? Czyj?

– Ala. No zatrzymaj się do cholery! Alicjaaaa!

A ja kojarzę. Doskonale kojarzę. Mieliśmy iść do mnie, ale nie zdołaliśmy tam dotrzeć.

– Ala! – Ktoś klepnął ją w bark.

Odwróciła się i na oślep wymierzyła cios, ale musiała chybić, bo pięść przeszła powietrze.

– Ala! Co z tobą? Co z tobą? – Potrząsnęły nią czyjeś ręce. – To ja. Aleks. Aleks! – powtarzał głos.

– Aleks?

Mgła przed jej oczami zaczęła się przersedzać. Z ciemności wyłoniła się postać.

– No, to ja. Dobrze się czujesz?

Aleks nadal zaciskał dłonie na jej ramionach.

– Tak – wydukała. – Ja... ja tylko... chyba wpadłam w jakąś panikę czy coś. – Zdezorientowana rozejrzała się wokół. – Nie wiem, po prostu się przestraszyłam – przyznała.

Aleksander Nowicki przyglądał się jej bez słowa. Rozbłysło światło latarni stojących przy ścieżce. Wyłaniający się z szarości uśmiech na twarzy Aleksa przemienił się w wyraz troski.

– Nie musisz się mnie bać – powiedział spokojnie.

– Nie boję. – Wzruszyła ramionami. – Zwyczajnie za dużo tego wszystkiego ostatnio.

– No tak. Rozumiem. Pewnie. – Przechylił głowę w bok.

– Co ty tu robisz, tak w ogóle? – zapytała nagle Alicja.

– Nic. Spacerowałem i cię zobaczyłem. To postanowiłem się przywitać – wyjaśnił. – Nie odbierasz telefonów ode mnie – dodał z wyrzutem.

– Tak, przepraszam. Byłam zajęta i ... sam rozumiesz. – Wzruszyła ramionami.

– Ymm – mruknął. – A teraz? Masz czas? Może bym wpadł do ciebie i... – Aleks wyciągnął rękę i z nieprzeniknioną miną przesunął jej za ucho kosmyk opadający na twarz.

– Przepraszam, Aleks, ale dziś nie bardzo. – Alicja znów niespokojnie się rozejrzała.

– To chociaż cię odprowadzę.

Skinęła głową. Szli w milczeniu. Pomiedzy nimi rysowało się jakieś niezdefiniowane napięcie, którego nigdy wcześniej nie odczuwała.

– I jak tam Rozpruwacz? – zagadnął nagle Aleks. – Postawili mu już zarzuty?

– To nie on – odparła.

– No proszę – mruknął zdawkowo.

Podeszli pod narożną jasną kamienicę. Alicja otworzyła furtkę.

– Uważaj na siebie – powiedział beznamiętnym głosem.

– Pewnie. – Alicja uśmiechnęła się delikatnie i ignorując wyrzuty sumienia wobec Aleksa, zniknęła za drzwiami prowadzącymi na klatkę.

18

Jej twarz jest pełna spokoju. Czarne, długie rzęsy leżą nieruchomo.

Jego twarz kurczy się nerwowo. Blizna na policzku wędruje ku górze, opada. Pod zamkniętymi powiekami to w lewo, to w prawo przemykają gałki oczne.

Alicja powoli otwiera grafitowe oczy i przeciąga się błogo. Przesuwa ramionami po białej, gładkiej, atłasowej pościeli.

Powieki Kordy raptownie drgają. Otwierają się. Ciemne źrenice gwałtownie zwięzają się od światła, po chwili znów się rozszerzają. Mężczyzna siada na łóżku. Dyszy. Dotyka blizny, przejeżdża po niej palcami, jakby chciał się upewnić, czy nadal tam jest.

Alicja wstaje. Otwiera okno. Patrzy przed siebie. Drzewa, za którymi kryje się kort tenisowy, ulica, którą przejeżdżają auta, niebieskie niebo, po którym fruwały mewy. Słony zapach morza, słodki zapach kwiatów.

Oskar zwleka się z łóżka. Stopy ciężko opadają na podłogę. Ma przepoconą koszulkę. Białe prześcieradło, na którym siedzi, pogniotło się i starmosiło.

Ona z gracją idzie do łazienki. Kafle na korytarzu są chłodne, przesuwa po nich gołą stopą. Krótki podkoszulek ledwo przykrywa jej pośladki.

On bierze szybki prysznic, ubiera się i chwytą kluczyki od auta.

Alicja staje przed lustrem. Długo wpatruje się w swoje odbicie w lustrze. Jest bezbarwne, zupełnie bez wyrazu. Nagle szczyrzy zęby. Są białe i lśniące. I równe. Na pierwszy rzut oka, bo trójka leciutko zachodzi na dwójkę, ale nie zauważa tego nikt oprócz niej. Zamyka usta. Jej mina znów nie wyraża nic.

Oskar prowadzi auto. Skręca i staje przy jednopiętrowym budynku Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji przy Haffnera. Wchodzi do środka.

Ona znów się uśmiecha. Tym razem skromniej, ale po obu stronach twarzy i tak pojawiają się małe poprzeczne dołeczki. Ściąga usta. Maską. Tyle się pod nią chowa. Uśmiech. Smutek. Uśmiech. Smutek. To tylko miny. Tylko miny.

Nagie stopy detektywa uderzają o białe kafle. Te są mokre i śliskie. Plask. Plask. Spogląda w dół. Mocne łydki napinają się przy każdym kroku. Krótko przycięte paznokcie u stóp, na paluchach sterczą czarne włoski. Podnosi głowę do góry. Na basenie nie ma nikogo. Trójkolorowe liny oddzielające tory spokojnie układają się na tafli wody.

Alicja odkręca kurek. Lejący się z niego strumień szumi jak wodospad. Gdy woda robi się dostatecznie zimna, kobieta korkiem zatyka półokrągłą umywalkę, a ta napęlnia się szybko i sprawnie.

Oskar w niewielkim rozkroku staje na niebieskim słupku. Pochyla się do przodu, lekko ugina nogi w kolanach i ręce w łokciach, mocno wyrzuca ramiona przed siebie. Wybija się w przód, łączy dłonie, prostuje ręce i nogi i strzałką zanurza się w błękitnej wodzie. Ta rozbryzguje się na boki, a on znika pod jej powierzchnią. Sunie przed siebie jak ryba, powoli wypuszczając z płuc małe bąbelki powietrza.

Ona zakręca kurek i przygląda się gładkiej powierzchni wody, w której dostrzega swoje odbicie. Podejmuje decyzję. Jej twarz, tak

samo jak twarz Kordy, znika pod wodą. Blond włosy unoszą się wokół jej głowy jak u Meduzy. Otwiera oczy, chwilę dryfuje, a potem krzyczy. Przerażliwie i głośno, choć nic nie słyhać. Widać tylko wydobywające się z jej ust bąble, które wypełniają umywalkę.

19

Trzy kawałki półokrągłej porcelany pasowały do siebie jak ulał. Choć brakowało jednego kawałka, nie było wątpliwości, że razem tworzyły niedużą, owalną maskę. Po jej wewnętrznej stronie wyrysowano mapę – matrycę przeciętych ze sobą ścieżek zmierzających najpewniej do lasu, bo wokół pojedynczej kreski na ostatnim z fragmentów rozciągały się małe charakterystyczne choineczki.

Oskar przeniósł wzrok na wydruk odwzorowujący mapę złożoną z fragmentów porcelany. Nie pasowała do żadnej z trójmiejskich tras, które bardzo uważnie prześledził wcześniej. Czemu, do cholery, nie mieli jakiegoś oprogramowania, które porównałoby to miejsce do dróg zapisanych w GPS-ie? Policyjny informatyk entuzjastycznie zareagował na to pytanie. W teorii powinni mieć, stwierdził.

– Takie oprogramowanie potrafiłoby rozpoznać skalę lub pozwalałoby na określenie skali przez operatora – zapalił się informatyk. – Mogłoby też przeszukiwać bazę danych różnych map zapisanych w formacie wektorowym, porównywać z wzorcem, który jest na znalezionym fragmencie mapy, i starać się go dopasować. W sumie celność mogłaby być naprawdę zaskakująca! – skwitował. Tak. W teorii mogłoby tak być. W teorii praca Kordy mogłaby wyglądać jak w amerykańskim serialu *CSI*. Ale nie wyglądała, westchnął Oskar.

Detektyw sięgnął po graficzne opracowanie BTS-ów, z którymi łączyły się ofiary w kilku dniach przed śmiercią. Musiał przyznać, że gdański Wydział Techniki Operacyjnej się spisał, bo wcześniejszy wykaz współrzędnych geograficznych od operatorów nic mu nie mówił. Dwie mapy Trójmiasta sporządzone na białym pergaminie pokrywały liczne punkciki. Korda próbował dopasować do nich przekalkowaną matrycę z porcelany, lecz nic to nie dało.

Znów ciężko westchnął. Odłożył na bok szkic skopiowany z wnętrza porcelanowej maski i znów przyjrzał się rozrysowanym trasom, którymi w dniu śmierci poruszały się ofiary. Wykluczył z listy podejrzanych lokalizacji miejsca zamieszkania Magdaleny Wirewicz i Weroniki Mazur, placówki edukacyjne, do których uczęszczały, a także ich drogę z domu do szkoły oraz uniwersytetu. Uważnie przyjrzał się obu kartkom. Położył je na sobie. Znów lekko rozsunął i na powrót nałożył jedną za drugą.

Czerwone linie wyznaczające trasę, którą poruszała się studentka dziennikarstwa, i niebieskie linie kreślące punkty, w których logowała się sopocka licealistka, w wielu miejscach nakładały się na siebie. Korda wziął zielony cienki pisak i połączył stacje bazowe, z których korzystały obie ofiary. Tym sposobem powstał zarys obejmujący fragment Górnego Sopotu graniczący z kompleksem Lasów Sopockich, w których dokonano obu zbrodni.

Korda usiadł na obrotowym krześle i wpatrywał się w utworzoną przez siebie mapę. „Czy to mapa mentalna sprawcy?” – zastanowił się. „Psychologiczny rewir jego działania?” Wiedział, że seryjni mordercy z reguły nie działają na terenach, które postrzegają jako trudne lub niebezpieczne. Pierwszych zbrodni zawsze dokonują w miejscach sobie znanych, a nawet znajdujących się blisko swojego miejsca zamieszkania. Bo tylko w takiej przestrzeni puszczają im blokady, tylko tam są zdolni do największych okrucieństw.

Detektyw wziął pustą kartkę papieru i zapisał na niej: „Górny Sopot, las, staw, porcelana, maska, mapa, karta pamięci do aparatu fotograficznego, finka myśliwska, aplikacja”. Po chwili do listy dodał słowo „seks”. Ale coś mu nie pasowało.

„Brzydki seks?” – pomyślał. „Nielegalny seks? Seks uprawiany na łonie natury? Zakazany seks?”

Popukał palcami w blat i ponownie przeczytał sporządzoną przez siebie listę. Wciąż czekali na rys psychologiczny sprawcy, który miał sporządzić profiler, ale nie trzeba było być Bogdanem Lachem, żeby stwierdzić, że sprawca jest uzdolniony plastycznie, ma rozwinięte zdolności informatyczne i lubi porcelanę, a do tego ciacha blondyny nożem myśliwskim. I najprawdopodobniej jest jednym z ponad trzydziestu siedmiu tysięcy mieszkańców Sopotu. To było wszystko, czego dotąd zdołali dowiedzieć się o Rozpruwaczu, a raczej

wszystko, co sam chciał im o sobie powiedzieć. Bo tego, że te zbrodnie razem tworzyły jakąś historię, Korda był akurat pewien. Nie wiedział tylko jeszcze, o czym miała być ta opowieść.

20

Kieliszek białego wina Solaris przyjemnie chłodził jej palce. Upiła łyżką i dla lepszego efektu przymknęła powieki. Aromaty słodkich owoców i miodu, ale też przełamująca je kwasowość grejpfruta. Smaczne. Orzeźwiające.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Oskar przechodzi na ukos przez plac Przyjaciół Sopotu. Dżinsy, czarny, lekko rozciągnięty T-shirt, ciemne włosy falami układające się nad czołem. Był w typie bad boya, a w takich zawsze gustowała. Tym bardziej na jego widok skręciło ją w żołądku.

Nie lubiła tego, w jaki sposób na niego reagowała. Coś magnetycznie ją do niego przyciągało, a zarazem miała ochotę od niego uciekać.

Wszedł do środka Centrum Haffnera. Rozejrzał się i skierował się w stronę stolika przy przeszklonej ścianie wychodzącej na taras.

– Cześć. – Usiadł naprzeciwko Alicji.

– Cześć – odpowiedziała.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

– Coś nowego w sprawie? – przerwała ciszę Grabska.

– Nic, o czym mógłbym ci powiedzieć – odparł i zagryzł wargę w miejscu, w którym zaczynała się blizna. – Po to chciałaś się spotkać? – zapytał bez ogródek.

– Nie – odparła. – Ja... hmm... w sumie sama nie wiem, co chciałam.

– To nic nowego – skwitował Korda.

– Słucham? – Alicja się skrzywiła. – To był chyba błąd. – Wstała.

– Uciekasz? Tak szybko? – prychnął detektyw.

Dziennikarka zagryzła zęby.

Usłyszała w głowie podniesiony głos pijanego męża.

Uciekaj, uciekaj i tak cię dogonię, suko!

Z powrotem usiadła.

– Mogę przyjąć zamówienie? – Przy stoliku stała kelnerka ubrana w czarną obcisłą bluzkę i szary fartuch. Miała brązowe włosy, okulary i serdeczny uśmiech.

– Ach, jeszcze nie zdążyliśmy się przyjrzeć menu, ale... – Korda rozejrzał się. – Może szef kuchni coś poleci? – Wychylił się zza kelnerki.

– Oskar! – Do stolika zbliżył się młody mężczyzna w krótkich spodenkach, granatowych crocsach i czarnym kuchennym fartuchu.

Przybił z Kordą soczystą piątkę. Alicja dojrzała na jego przedramieniu geometryczny tatuaż kopra włoskiego.

– Alicja, to jest Jacek Koprowski. Potwornie zdolny szef kuchni. – Kucharz uklonił się. Miał podkrążone oczy i nieśmiały uśmiech. – Co tu dzisiaj dajesz, chłopie?

– Na przystawkę proponuję tatar z troci fiordowej z gorczycą, kompresowanym ogórkiem, koperkiem i lodami wędzonymi crème fraîche, a jako danie główne grillowanego arbuza z emulsją paprykową, pak choi z miso i sajgonką z kimchi. I oczywiście na deser wegańską bezę malinową z kremem chantilly z kwiatami bzu, konfiturą z rabarbaru i sorbetem.

Korda pytająco zerknął na Alicję. Ta z uśmiechem kiwnęła głową.

Po chwili zostali sami.

– Powiesz mi coś o sobie? – Korda nachylił się ku niej. Alicja otworzyła usta, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, on dodał: – Ale coś prawdziwego.

Alicja wypuściła powietrze. Spojrzała w okno. Przez dłuższy moment milczała.

– Czasami mam wrażenie, że nie ma mnie naprawdę – wyznała w końcu, po czym z zażenowania zacisnęła usta.

– Też czasami mi się wydaje, że moje życie jest wymyślone – stwierdził poważnie Korda. I zerknął na nią czujnie.

Alicja przez chwilę przyglądała mu się z uwagą, po czym obdarzyła go uśmiechem. Korda odwzajemnił uśmiech.

– Moja matka zawsze mawiała, że życie doczesne nie może smakować – zaczęła opowiadać Alicja. – A że mi zawsze smakowało, to od zawsze gnębiły mnie wyrzuty sumienia. Robiłam wszystko, żeby udowodnić jej, że się myli, a im bardziej się starałam, tym bardziej przestawałam być realna. Nie wiem, czy to ma sens...

– Ma. – Korda ze zrozumieniem pokiwał głową. – Czemu twoja matka nie kosztowała życia? – zapytał.

– Hm – zastanowiła się Alicja. – Pewnie przez wiarę? Wiesz, moja matka całe życie jej poszukuje. Przerobiła chyba wszystkie sekty, jakie istnieją: Bractwo Zakonne Himavanti, Hare Kriszna, Kościół Zjednoczeniowy Moona, Jednotę Braci Polskich, Amway, jehowych, księdza Natanka. Ciągłe zmieniała system wartości, ale jedno pozostawało niezmiennie: to, że nieważne jest to, co tu i teraz, tylko to, co przyjdzie potem. Tym samym ja też w jej oczach zawsze byłam na drugim miejscu. A może i na trzecim, czwartym, piątym? Trudno powiedzieć.

– Nie miałaś łatwo – stwierdził Korda.

– Nie miałam. Matka zawsze była labilna psychicznie. Ona wierzy, że na Bałtyku jest baza UFO; przyznaje, że ziemia jest okrągła, ale uznaje, że w środku jest śródziemie, do tego uważa, że reptilianie istnieją, wiesz, jaszczuroludzie... Wierzy, że na Świętej Górze na Chyloni jest piramida antracytowa. Kosmos generalnie. Gdy byłam po rozwodzie, przez chwilę myślałam, że się zmieniła. Pozwoliła mi zamieszkać w takiej obskurnej, zagrzybionej dobudówce obok siebie. Zaproponowała nawet, żebym to sobie wyremontowała, urządziła się tam, a ona mi ten lokal przepisze. Więc wsadziłam w to miejsce wszystkie oszczędności. Zrobiłam gaz, prąd, iniekcję krystaliczną, żeby budynek nie był zawilgocony, dach, fundament. Kupa forsy. A gdy remont dobiegł końca, oznajmiła, że jednak muszę się wyprowadzić, bo ona potrzebuje tego dla nowej sekty, do której wstąpiła.

– O kurczę. Grubo. – Policjant się skrzywił.

– Tak. Wmówili jej, że idzie nowa ciężka era, że ludzie będą głodować, nie będzie pracy, a ta jej chata to będzie ziemia obiecana, dzięki której wybrani przetrwają. Nagle przyjechała ciężarówka z dwuipółmetrowym Jezusem, który stanął w ogrodzie, a ja musiałam szukać sobie nowego miejsca do życia.

– Mamuśka z piekła rodem – skonstatował Korda.

– Taa, można tak to ująć. – Grabska zaśmiała się. – No nic. Poradziłam sobie. Nie ma co do tego wracać. – Machnęła ręką.

– Czyli jesteś rozwódką? – wyłapał detektyw.

– Tak. Byłam żoną przez... hm, na pewno zbyt długo. Ale to już dawne dzieje. – Nonszalancko machnęła ręką.

Wspomnienie przeszło jej umysł.

Otwórz usta! Otwieraj!

– A ty? Powiesz mi coś prawdziwego? – zmieniła temat.

– Nie wiem, czy mam coś do powiedzenia. – Korda zaśmiał się przewrotnie, po czym spoważniał. – Prawdziwa jest dla mnie – zastanowił się przez chwilę – śmierć. Ona jest potwornie, namacalnie prawdziwa. I pewnie dlatego jej szukam – wyjaśnił.

Przy stoliku pojawiła się kelnerka z pierwszymi daniami. Przez kolejną godzinę degustowali, komentowali, zastanawiali się, co właśnie zjedli, a co to może być takiego kwaśnego, gładkiego, a skąd ten czy tamten smak. Alicja była pod wrażeniem kolorów, tekstur, balansów, minimalizmu składników, które wybuchały feerią niespodziewanych wrażeń smakowych. Białe wino coraz bardziej ją rozluźniało. Pierwszy raz poczuła się przy Kordzie w pełni zrelaksowana.

– Dziękuję – powiedziała, gdy wyszli na zewnątrz. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak dobrze się bawiłam.

– Do usług. – Korda uśmiechnął się zwyczajowo kącikiem ust, a blizna dotykająca górnej wargi lekko się uniosła.

Alicja poczuła przemożną chęć, by przeciągnąć po niej palcem i poczuć pod opuszkami jej gładką powierzchnię. Zamiast tego zwróciła głowę ku placowi, po którym leniwie spacerowali przechodnie. Z uśmiechem powiodła wzrokiem po niszczącym kultowym pawilonie słynnego kombinatu gastronomicznego z początku lat sześćdziesiątych. Alga – ostatni relikwiny peerelowskiej modernistycznej architektury, do której Grabska miała słabość. Choć niebo nabrało ciemnoniebieskiego koloru, pomarańczowe światło latarni na placu Przyjaciół Sopotu odbijało się już od szarych i czerwonych granitowych płyt obsadzonych szpalerami platanów. Oddalona o kilkadziesiąt metrów podświetlona fontanna szemrała cicho. Pachniało nadchodzącym latem.

Grabska znów spojrzała na Korde.

– Ty sukinsynu! – dobiegło do niej nagle.

Korda zatoczył się w tył i złapał za twarz. Gdy oderwał rękę, dostrzegła krew na jego ustach.

– Czy mnie bił? – zapytała, a Korda potwierdził kiwnięciem głowy. – Kobieta niebita czuje się niekochana. – Alicja uśmiechnęła się sarkastycznie. – Jest taka piosenka trójmiejskich muzyków.

– Dlatego swoją starą napierdalam od rana – zacytował Korda. – Znam.

Alicja naląła wodę utlenioną na wacik.

– Nie ruszaj się – szepnęła i wyciągnęła rękę.

Przyłożyła wacik do zakrwawionych ust Kordy i zaczęła je przecierać.

– Nie jest tak źle – stwierdziła. – To tylko niewielkie pęknięcie.

Zatrzymała wzrok na bliźnie. Znów poczuła przemożną chęć, by jej dotknąć, poznać pod palcami jej kształt. Szepnęła:

– Skąd masz tę bliznę?

Spotkała się z jego wzrokiem. Był mroczny, nieprzenikniony. Ich twarze znajdowały się tak blisko siebie, że czuła zapach jego skóry.

Wyciągnęła dłoń, a on nie zaprotestował. Delikatnie, jakby jej dotyk mógł go sparzyć, palcem wskazującym przemierzyła ciągnącą się od oka ku ustom cieniuteńką skazę. Następnie przewędrowała palcem po jego rozchylonych wargach, po szczytach równych zębów, które zagryzły się nagle na jej opuszku. Znów wymienili pełne napięcia spojrzenia. Korda przyciągnął jej twarz do swojej. Jego język był wilgotny i ciepły. Smakował malinami i krwią.

Alicja usiadła na mężczyźnie okrakiem i przez dłuższy czas całowali się namiętnie, z niczym się nie spiesząc. Korda ściągnął z niej w końcu beżowy top i przez koronkowy stanik wgryzł się w sutki. Ona westchnęła i odchyliła głowę do tyłu. Po chwili podniósł ją za pośladki i zaniósł ją do sypialni. Tym razem kochali się długo, uważnie obserwując swoje reakcje, widząc siebie tak, jak nigdy wcześniej siebie nie widzieli. W końcu opadli na poduszki. W ich ciężkich oddechach czuć było ukojenie.

Alicja nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wpatrywała się w sufit, obserwując nierówności i odpryski farby. Udawała przed samą sobą, że ramię Kordy nie przylega do jej ramienia, że ich palce nie splatają się w intymnym tańcu, który przerastał czułością nawet to, co przed chwilą robili.

– Muszę się napić. – Nie wytrzymała w końcu tego błogiego ciśnienia.

Wstała, wciągnęła na siebie bluzkę i skierowała się w stronę kuchni.

– Włączysz muzykę?! – krzyknął za nią Korda.

Alicja nalała sobie szklanek wody i przeszła do dużego pokoju. Nie dostrzegła nigdzie odtwarzacza, więc podeszła do stojącego na stole laptopa. Poruszyła myszką. Ekran się rozświecił. Na monitorze dostrzegła otwarty plik dźwiękowy, więc dwukrotnie kliknęła na niego.

Upiła wodę i otworzyła drzwi na balkon.

Na barierce, niemal na wyciągnięcie ręki, stała mewa. Nie zerwała się do lotu. Wpatrywała się w Alicję bladożółtymi oczami. Rozbawiona Alicja zrobiła krok w tył.

– Lubisz pały? – doszedł ją dźwięk z głośnika. – Co? Lubisz? Nie lubisz? Luubisz. Lubisz pały. Inaczej by cię tu nie było. Nie chcę! Niech pan przestanie!

– Chcesz kaw... – do pokoju wszedł Korda. Na widok jej miny urwał pytanie w pół słowa. – Co jest, Ala?

– Skąd to masz?! Skąd, do cholery, to masz?! – krzyknęła Alicja.

1999

1

– No dobra, kochani. Wyciągamy karteczki. – Nauczyciel matematyki Wojciech Romanowski szeroko się uśmiechnął.

– Niiieeee, panie profesorze – dało się słyszeć jęki uczniów. – Po co to?

– Żadne po co to, tylko wyciągamy, już. Tajfun, a ty nie fisiuj mi tu znowu – zwrócił się do Igora Olszewskiego, który zaczął przestawiać ławkę do przodu. – I tak ci Jankowska nie podpowie. No co tak, Ulka, patrzysz? Nie podpowiesz, bo pewnie nie umiesz, co? – Żartobliwie wzruszył ramionami. – A ty, Grabska, przestań się mizdrzyć do Turskiego jak jakaś... – upomniał dziewczynę, która pogładziła siedzącego obok Radka po nodze. – Zachowujcie się wszyscy, okej?

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Pojawiła się w nich kobieta o włosach ułożonych na wzór jednej z bohaterek serialu *Przyjaciele*.

– Ja w sprawie syna – powiedziała.

– Dzień dobry, pani Szmytek. Tylko że my akurat klasówkę mamy.

– To nie może czekać, panie Romanowski. Nie może – odpowiedziała wzburzona kobieta.

– To zapraszam. O co chodzi?

– Jak pan wie, ostatnio chłopcy z tej klasy powiesili mojego syna na haku za pasek...

– Mamo! – prosząco odezwał się siedzący w pierwszej ławce Marcel Szmytek.

– I syn nie mógł zejść, przez co miał nieobecność na lekcji – kontynuowała niewzruszona kobieta.

– Tak, pani Szmytek, już rozmawiałem z klasą, żeby to się więcej nie powtórzyło – zapewnił nauczyciel.

– Natomiast wczoraj, gdy kąpałam syna...

Cała klasa wybuchnęła śmiechem. Marcel zasłonił twarz rękoma i położył twarz na ławce, jakby chciał zniknąć. Niewzruszona matka przekrzykiwała gwar:

– ...zobaczyłam na jego ciele siniaki...

Śmiech się wzmógł. Tajfun ocierał łzy, które leciały mu po twarzy.

– Spokój dzieci – krzyczał Romanowski, choć i on nie mógł ukryć rozbawienia.

– Czemu? Czemu się nad Marcelkiem znęćacie? Czemu go nie lubicie? – lamentowała matka.

– Bo jest mały – ryknął Tajfun. – I słaby – dodał, śmiejąc się jeszcze donośniej.

– Olszewski! – zwrócił chłopakowi uwagę Romanowski. – Pani wybaczy, ale to nie jest miejsce i czas...

– Nigdy nie jest czas i miejsce! – zaczęła płakać Szmytek. – Chodź, Marcelku, idziemy. – Zabrała chłopaka z ławki.

Kolejna salwa śmiechu wypełniła pokój.

– Co wy macie do tego Szmytka, co? – wychowawca usiadł na skraju biurka.

– Pan profesor wie, że on jest z dwunastoosobowej rodziny? – powiedział rozbawiony Igor.

– No wiem.

– I oni wszyscy na czymś grają – dodał Olek.

– Dziadek na pianinie, matka na gitarze, ojciec na harmonijce... – podjęła Ula.

– ... a Szmytek na flecie! – Tajfun znów przetarł oczy. – I w chórze kościelnym śpiewają... Jak jakieś... – zaśmiewał się. – Jak jakieś... Jak jakieś pierdolone Kelly Family – skończył.

– Tajfun! Język! – nauczyciel pokręcił głową, ale jego wzrok skupiony był na Alicji.

Zauważył, że Radek pogładził dziewczynę po ramieniu, a ta szeroko się uśmiechnęła.

– Grabska! – podniósł głos. Alicja wyprostowała się zdziwiona. – Do pierwszej ławki proszę.

– Ale panie prof...

– Bez gadania. Przesiadaj się i wyciągamy karteczki.

Dziewczyna zabrała swoje rzeczy i z naburmuszoną miną przeszła do przodu. Nauczyciel zapisał na tablicy zadania, a następnie stanął tuż obok Alicji. Patrzył, jak przepisuje równania, jak kreśli cyfry długopisem trzymanym w smukłych palcach. W końcu Alicja podniosła na niego wzrok.

Nauczyciel z uśmiechem zwichrzył jej włosy dłonią, puścił jej kokieteryjne oczko i, wyraźnie zadowolony, usiadł do biurka.

2

– Ty mały popierdoleńcu! Ciebie gdzieś wysłać, to... Eeeee... – Matka machnęła ręką. – Albo jesteś łajzą, albo żeś specjalnie się tak ubrudził, żebym pranie miała. To co?

– Co co? – Chłopak popatrzył na matkę z nienawiścią.

– Jesteś łajzą czy chciałeś mi roboty specjalnie narobić?! – ryknęła matka. – Którą opcję wybierasz?!

– A daj mi spokój, stara kurwo – odparł i trzasnął drzwiami tak, że omal nie wypadły z futryny.

– Ja ci trzasnę! Ja ci trzasnę! – Matka zaczęła dobijać się do pokoju, lecz on zaparł się o klamkę.

Szarpała i szarpała. W końcu jednak dała sobie spokój, bo nastała cisza.

Odszedł do drzwi i otworzył szufladę biurka. Noże połyskiwały w świetle żarówki wiszącej pod sufitem. Myśliwskie, sprężynowe, rybackie, monterskie. Z głównią o wyznaczonej krzywiznie krawędzi: w kształcie fali, symetryczną, obosieczną, geometryczną i w kształcie ostrego, wydłużonego trójkąta. Z krótkimi i długimi trzonkami. Z trzonkami z drewna lub z tworzywa sztucznego. Jego kolekcja. Źródło jego siły. Często wyobrażał sobie, jak sięga po jeden z nich, może po tę zwykłą, niepozorną finkę, nie za dużą, nie za małą, o ostrym, cienkim ostrzu, i wychodzi z nią na korytarz. Idzie do dużego pokoju, podchodzi do fotela, na którym siedzi odwrócona do niego plecami matka, bezszelestnie wyciąga rękę i przystawia nóż do jej szyi. Wystarczyłby jeden szybki, mocny ruch, by trysnęła krew. Wystarczyłby jeden szybki, mocny ruch, by po chwili przestała oddychać.

Nie wiedział czemu, ale ten obraz go uspokajał. Koił poczucie, że jest nikim. Że dla nikogo nic nie znaczy.

Zamknął szufladę i położył się na materacu. Wlepił wzrok w sufit. „*Trójkąt przedni szyi – powtarzał w myślach – rozciąga się pomiędzy przednimi brzegami obu mięśni mostkowo-obojczykowo-sutkowych. Dzieli się na trójkąt podżuchwowy, mięśniowy i trójkąt tętnicy szyjnej. Zawartość trójkąta tętnicy szyjnej to głównie tętnica szyjna wspólna i jej odgałęzienia – tętnica szyjna wewnętrzna, żyła szyjna wewnętrzna i nerw błędny. Żyła szyjna wewnętrzna uwidacznia się tylko w górnym kącie trójkąta tętnicy szyjnej. Dalej przykryta jest mięśniami. To pod nim leży dolna część tętnicy szyjnej wspólnej, która na poziomie kręgu C4 dzieli się na tętnicę szyjną zewnętrzną i wewnętrzną*”. – Wizualizował sobie rycinę, którą znalazł w atlasie medycznym w bibliotece. Przez długi czas studiował przebieg żył i umiejscowienie wszystkich narządów, których rażenie powoduje nagłą śmierć. I zdecydował, że to jednak szyja pociąga go najbardziej – zawsze odsłonięta, napięta, łatwo wbić w nią ostrze, by rozdzielić ją na pół. Było w tym coś dziewiczego, zupełnie czystego, niemal humanitarnego; coś, co sprawiało, że będzie lepszy od tych wszystkich rzeźników, którzy odbierali życie bez żadnej wiedzy, bez żadnego szacunku do ludzkiego ciała. Już był lepszy, bo w myślach wielokrotnie realizował swój scenariusz, wielokrotnie zabijał i upajał się tym uczuciem. Czy w rzeczywistości też będzie tak czysto i pięknie? Czy emocje będą tak samo silne, jak to sobie wyobraża? Czy w ostatnim momencie nie stchórzy? Szybko odepchnął tę myśl. Nie. Nie był tchórzem i nigdy nie będzie. Czekał tylko na iskrę, która roznieci płomień, który tlił się w nim od dawna.

3

– No, Alicja, i jak ty to sobie teraz wyobrażasz, co?

Ostatni uczniowie zniknęli za drzwiami. Za oknem padał śnieg. Grube płatki prześlizgiwały się tuż przy szybie; tak gęsto, że salę zalała szarość.

Wojciech Romanowski przekręcił klucz w zamku.

– Żebyśmy mogli w spokoju porozmawiać – wyjaśnił, robiąc poważną minę.

Klucz z uwagą położył na swoim biurku; metal cicho stuknął o drewniany blat. Zbliżył się do ławki, przy której siedziała, i przysiadł na jej rogu. Jego wysoka postać przysłoniła widok na rząd okien. W pomieszczeniu zrobiło się jeszcze ciemniej. Nauczyciel położył przed jej nosem klasówkę i ostentacyjnie popukał w kartkę długim palcem.

– Jedyńka, Grabska. Kolejna. Jak tak dalej pójdzie, to nie zaliczę ci semestru.

Alicja spuściła głowę. Popatrzyła na ocenę kilkakrotnie podkreśloną długopisem. Matematyczne równania, które napisała, przekreślono na czerwono. Przełknęła ślinę.

– Co się dzieje, dziewczyno? Od kiedy tu uczę, miałaś dobre oceny. Może nie wybitne, ale radziłaś sobie. A teraz?

Uczennica milczała. Nie wiedziała, co miałyby powiedzieć.

– To przez tego chłopaka – stwierdził nauczyciel, wstając.

Od razu podniosła wzrok, ściągnęła brwi.

Wojciech Romanowski stał teraz nad nią. W mroku dostrzegała jego jasne oczy. Był inny niż reszta nauczycieli. Świeżo po studiach, zaangażowany, otwarty. Równiacha – tak o nim mówili uczniowie. Czasami, gdy pisali klasówkę, podchodził do niej i nachylał się nad jej kartką. Kiwał głową, a potem mimochodem przejeżdżał palcami po jej włosach; mierzwił je łobuzersko, jakby była dzieckiem.

– No nie patrz tak na mnie. – Nauczyciel przekrzywił głowę, pobłażliwie się uśmiechając. – Taka prawda. Zmieniłaś się, od kiedy zaczęłaś chodzić z Turskim. Osobiście nic do twojego chodzenia z nim nie mam, ale jako pedagog... cóż, jestem zobowiązany zauważyć, że ten chłopak nie ma na ciebie dobrego wpływu.

Ominął ławkę bokiem i tym razem stanął tuż za Alicją. Blisko, za blisko. Czuła na plecach nacisk jego ciała.

– Na pewno uprawiacie już seks – stwierdził nagle, a Alicja zamarła.

Skąd to wiedział? Jej serce przyspieszyło. Tylko się domyślał czy miał dowody? A może ktoś widział ją z Radkiem i doniósł do szkoły? Czy inni nauczyciele też wiedzieli? Matka by ją zabiła, gdyby to wypłynęło... Myśli pędziły.

– To oczywiście nic złego – kontynuował Romanowski. Jego ręce paraliżująco zacisnęły się teraz na jej ramionach. – Seks rozluźnia, relaksuje, ma dobroczynny wpływ na człowieka. – Nie przestając jej masować, nachylił się do jej ucha. Jego szept szeleścił jak ostry papier. Przez ścianę dolatywał ich gwar szkolnej przerwy. – Ale nie może dekoncentrować! – podniósł głos i znów się wyprostował. Kciuki wbiły się w jej kark. – Co by powiedziała twoja mama, gdyby się dowiedziała, co? Nie dość, że jej córka się puszcza – wycedził – to jeszcze zbiera same pały!

Lekko popchnął jej plecy. Odruchowo zgarbiła się nad blatem ławki.

Przeszedł obok niej i znów usiadł na skraju ławki. Jego kolano stykało się z jej udem. Poczowała mdłości.

– Lubisz pały? – Patrzył na nią pytająco. – Co? Lubisz?

Przecząco pokręciła głową. Czuła się zdezorientowana. W jej oczach wzbierały łzy.

– Nie lubisz? – Skrzywił się. Rozległ się ostry dźwięk szkolnego dzwonka. – Luubisz – stwierdził po chwili, przeciągając głoski. Tembr jego głosu ponownie stał się miękki, niemal przymilny. Wyciągnął rękę i zwyczajowo zmierzwił jej włosy jak dziecku. – Lubisz pały. Inaczej by cię tu nie było.

Zacisnął palce na jej włosach i przyciągnął głowę Alicji do siebie. Drugą ręką sięgnął do swojego rozporka.

– Nie chcę! – Zaczęła się opierać. – Niech pan przestanie!

– Niech pan profesor przestanie – poprawił dziewczynę, zawijając wokół swoich palców blond włosy Alicji.

– Niech pan profesor przestanie! – poprosiła przez płynące po ustach łzy.

– O, tak, grzeczna dziewczynka. – Romanowski pociągnął mocniej, zmuszając ją, by padła na kolana i wsparła ręce o rant biurka.

– Nie chcę! Proszę, nie! – powtarzała, nim agresywnie przycisnął jej głowę do dzinsów.

– W porządku – szeptał. – Wszystko jest w porządku. Nikt się nie dowie, co wyprawiasz, obiecuję. Nikomu nie powiemy.

Głosy na holu ucichły. Śnieżne chmury musiały się rozrzedzić, bo w sali zrobiło się jaśniej, niemal słonecznie.

– Pierwsza piątka w tym semestrze – stwierdził po wszystkim z uśmiechem. Wciąż kurczliwie zaciskał palce na jej głowie. – Zadowolona? – Popatrzył na nią, jakby naprawdę oczekiwał odpowiedzi. Z niedowierzaniem milczała, przełykając łzy. Czarny tusz rozmazał się wokół oczu. – Zadowolona? – powtórzył ostrzej, boleśnie ciągnąc ją za włosy do tyłu.

Lekko skinęła głową.

Rozluźnił uścisk. Palcami wygładził jej fryzurę.

– Cieszę się. A teraz leć, bo się spóźnisz na lekcję – powiedział, zapinając rozporek.

Alicja wstała z kolan. Powoli, jak we śnie, przeszła pomiędzy ławkami. Trzęsącymi się dłońmi sięgnęła po leżący na biurku klucz. Chwilę walczyła, by trafić w zamek. W końcu go przekreśliła i odchyliła drzwi.

Hol, niczym ona, był cichy, zupełnie pusty.

4

Ciasno i ciemno. Spadzisty schowek zastawiony był wiadrami, szczotkami i krzesłami ustawionymi jedno na drugim. Nie zastanawiał się długo, nim do niego wlaźł. To był impuls, zwierzęcy instynkt.

Usłyszał kroki, skrzypienie starego parkietu. Trzasnęły drzwi.

Cisza.

Serce nadal biło mu mocno, właściwie wyrywało się z piersi. Szumiało mu w uszach. Czuł dziwne podniecenie; trochę na kształt tego, które go przepełniło, gdy z kolegami zaciągnęli Marysię Wilk pod śmietniki i na siłę ściągnęli jej majtki. Szczególnie wyraźnie zapamiętał z tamtego dnia jej zawstydzone spojrzenie. I wypowiedziane trzęsącym się głosem słowa: „Proszę, zostawcie mnie”. To zdanie często do niego wracało. Ta błagalna nutka wyłaniająca się z oczywistego strachu – jak kropka nad i wieńcząca dopaminowy strzał, którego wtedy doznał.

Tak, teraz było podobnie, choć znacznie lepiej. Tym razem sytuacja zaszła znacznie, znacznie dalej. I była tak niespodziewana, że początkowo z wrażenia przestał myśleć logicznie. Na szczęście po

chwili się opamiętał i rozedrganymi rękoma wydobył sprzęt z kieszeni.

Uśmiechnął się do siebie w mroku. Zerknął przez szparę rysującą się pomiędzy drewnianymi drzwiczkami a ścianą.

Pusto.

W końcu mógł wyjść ze swojego ukrycia.

Wyprostował plecy. Strzyknął kręgami szyi. Pogładził blat ławki, jakby nadal tam siedziała. Jedyna taka, wyjątkowa. Pokiwał głową. Nie przepuszczał, że było ją na to stać.

Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Tak jak przeczuwał, były zamknięte. Zagryzł wargę i wciągnął powietrze przez zęby. Odwrócił się i skierował do okna. Podciągnął zamek kurtki i uchylił ciężkie skrzydło. Szyba odbiła promienie słońca wyglądającego zza ciężkich chmur. Wyjrzał. Na dole nie było nikogo. Przyległe boisko pokrywał biały, niczym niezmacony puch. Niewiele myśląc, odgarnął z parapetu śnieg i spuścił nogi na zewnątrz. Przewrócił się na brzuch, stopami wyczuł gzyms. Trzymając się parapetu, przesunął się po nim w lewo, aż dotarł do rynny. Bez trudu się po niej spuścił. Nieraz uciekał w nocy z domu dokładnie w ten sam sposób.

Szybko przedostał się na chodnik ciągnący się przy alei Niepodległości. Rozejrzał się, czy nikt go nie widział. Nie dostrzegł nic, co budziłoby jego wątpliwości.

Idąc różnym krokiem w dół Monte Cassino, wyjął z kieszeni słuchawki i założył je na uszy. Przewinął kasetkę w dyktafonie i nacisnął „play”.

– Nie chcę. Niech pan przestanie! – usłyszał dziewczęcy głos.

2018

1

– Skąd to masz? Skąd, do cholery, to masz?!

Alicja zaczęła się trząść.

– Znaleźliśmy to u Daniela Kujawskiego. Z tego, co zrozumieliśmy, zabrał kasetkę z miejsca zbrodni. Leżała nieopodal ciała pierwszej ofiary, Magdaleny Wirewicz – wyjawiał Korda.

Grabska pobladła. Nagle odwróciła się i poszła znowu do sypialni. Oskar podążył za nią.

– Czemu pytasz?

Alicja włożyła majtki i wciągnęła spodnie. Zaczęła zapinać koronkowy stanik.

– Ala! Czemu pytasz? – powtórzył detektyw.

Grabska przeciągnęła ramiączka przez rękawy bluzki. Niespokojnie się rozglądała.

– Alicja! Czemu, do cholery, pytasz? Wiesz, kto jest nagrany na tej taśmie?

Dziennikarka w końcu na niego spojrzała.

– Tak – przyznała. – To mój nauczyciel matematyki z liceum.

– Jesteś pewna? – Korda podniósł wysoko brew.

– Jestem.

– Jak się nazywa?

– Wojciech Romanowski. Pracuje w sopockiej „Dwójce”, a przynajmniej pracował dziewiętnaście lat temu.

Korda chwycił telefon i wybrał numer.

– Gustlik? Wojciech Romanowski. Nauczyciel matmy z „Dwójki”. Zawijaj mi go na komendę.

Gdy się odwrócił, Alicja w biegu wkładała szpilki.

– Muszę iść – odpowiedziała na jego pytające spojrzenie. Ze zrozumieniem kiwnął głową. – Cały czas chodziło o mnie – dodała beznamiętnie.

Korda zmrużył oczy i przyglądał się jej przez chwilę.

– Ciągle miałem niejasne wrażenie, że skądś znam ten głos. Twój głos, który jest teraz dojrzały i głębszy niż kiedyś. Bo to twój głos, prawda? – stwierdził w końcu. – Na nagraniu. To ty.

– Ja – potwierdziła.

– Co chcesz zrobić?

– O tym zdarzeniu wiedziała tylko jedna osoba na świecie.

– Poczekaj na mnie. Potrzebuję kilku godzin i pojedę z tobą.

– Nie mogę czekać – odparła. – Nie martw się. Nic mi się nie stanie. – Uśmiechnęła się. – Jeśli on chciałby mnie zabić, to już dawno byłabym martwa.

2

Stanąła przed domem ukrytym za wysokimi choinami. Budynek przy ulicy Andersa w Górnym Sopocie okalał wysoki mur oporowy zwieńczony małym pordzewiałym płotkiem. Bramę wjazdową porastało gęste pnącze, które wyglądało złowieszczo w świetle ulicznych latarni.

Nie była tu dwa lata. Ani razu od momentu gdy spakowała walizkę i odeszła. Już nigdy nie wróciła po resztę swoich rzeczy. Zostawiła je tu bez żalu. Nie po tym, co się stało, nie po tym, co narastało przez lata.

Alicja nacisnęła klamkę i weszła na podjazd. Spojrzała w górę. W dużym pokoju paliła się nocna lampka; dostrzegła niebieskie, mieniające się refleksy rzucane przez włączony telewizor. Nagle zapaliło się też światło w łazience. Ostre, jasne, to, którego tak nie lubiła. Po chwili zgasło, lecz wspomnienie już zdążyło wychynąć na powierzchnię. Kap. Kap. Kap. Usłyszała w głowie kapanie z kranu...

...Kap. Kap. Kap. Woda jest ciepła. Koi. Zanurza się głębiej. Biała, pachnąca wanilią pianka szczelnie otacza jej szyję i kolana wystające spod powierzchni wody.

– Hmm – mruczy i przymyka oczy.

Cisza. Tylko regularne kapanie kropli z kranu przy umywalce, delikatne dudnienie w rurach, widmo głosu spikera we włączonym w kuchni radiu. Powoli uspokaja umysł zszargany dzisiejszym

dniem. Stara się nie myśleć o wiecznie poirytowanym szefie, pędzących terminach, deadline'ach i ogólnym chaosie, jaki panuje w redakcji.

Wzdycha. Czuje, jak jej ciało się rozgrzewa. Dzisiejsza śnieżycą sparaliżowała miasto. Komunikacja miejska w pewnym momencie zupełnie stanęła. Na kolejkę SKM czekała przeszło godzinę i zmarzła na kość. Teraz dla pewności robi pod wodą małe kółeczka stopami. Palce przestają szczytać. Czucie wraca. Całe szczęście. Na wspomnienie siebie drepczącej w tę i w tę po peronie w Gdańsku Głównym kręci z niedowierzaniem głową. Musi w końcu pomyśleć o kupnie jakiegoś auta. Woda chlupie; rozlewa się ciepłem po brodzie.

Alicja znów przymyka oczy. Cisza. Tak rzadko ma czas się w nią wsłuchiwać. Zasadniczo teraz też tego czasu nie ma. Musi jeszcze ogarnąć mieszkanie, poprasować, przygotować obiad dla Igora, a potem napisać ważny artykuł. Ale postanawia dać sobie jeszcze chwilkę. Jedną małą błogą chwilę dla siebie.

Kap. Kap. Kapie z kranu.

Alicja zanurza głowę pod wodą. Otwiera oczy. Długie włosy dryfują wokół jej twarzy. Dudnienie w rurach przybiera basowy tembr, zgłodniałe gołębie gruchają na dachu tuż obok komina. Przesuwa twarzą w lewo i w prawo. Włosy przepływają obok niej ocieżale, jak w zwolnionym tempie. Podnosi nieznacznie głowę, by twarz znalazła się tuż pod powierzchnią wody. Włosy wirują nad nią jak glony. Powoli zaczyna wypuszczać powietrze. Dookoła wypływają bąbelki wypełnione tlenem. Z powrotem się wynurza i opiera plecami o ściankę wanny.

Kap. Kap. Kapie z kranu. Dudnienie w rurach. I jeszcze coś. Zgrzyt zamka. Alicja dobrze zna ten dźwięk; powoduje, że na chwilę truchleje. Teraz też czuje nieprzyjemne, zupełnie absurdałne mrowienie w całym ciele.

„Przestań” – karci się w myślach. „Przecież nie robisz nic złego. Po prostu zmarzłaś i weszłaś do wanny, żeby się rozgrzać. To zupełnie normalne. Każdy by tak zrobił, przekonuje samą siebie”.

Kiwa głową, odganiając raptowną myśl, by wyskoczyć z łazienki i jak najszybciej wyjść Igorowi naprzeciw.

– Nic złego nie robisz – mówi na głos i ciasniej przywiera plecami do wanny.

– Ala! – słyszy jego głos.

– Biorę kąpiel! – odkrzykuje.

Jej głos jest spokojny, zupełnie naturalny.

Po chwili Igor naciska klamkę drzwi i staje w progu.

– Cześć. – Uśmiecha się. – A ty co? – pyta, zadziornie przekrzywiając głowę.

– Zmarzłam jak cholera – odpowiada. – Godzinę czekałam na kolejkę.

– Oooo – wzdycha współczująco. – Bidulek.

Wchodzi do środka, siada na sedesie i zaczyna ściągać buty. Brudny śnieg spada na beżowy chodniczek.

– Jak dzień? – Alicja zaczyna znów się odprężyć.

– W porządku – Igor odpowiada lakonicznie. Nie lubi mówić o pracy.

Stawia buty na posadzce. Wokół nich rozlewa się mokra plama z rozpuszczającego się śniegu.

– To fajnie. – Ona uśmiecha się łagodnie. – Myślałam, że będziesz później. Zaraz zrobię jakiś szybki makaron.

– Znowu? – On przeciągle ziewa i wodzi wzrokiem po łazience.

– Przecież lubisz.

– Ale nie codziennie. – Wzrusza ramionami.

– A na co masz ochotę?

– Na ciebie. – Igor porozumiewawczo podnosi brwi i zanurza rękę w wodzie.

Przejeżdża dłonią po jej łydce.

– Zimna już ta woda – stwierdza, klękając na ziemi.

Kolano. Udo. Wewnętrzna strona uda. Krocze.

– Hmm. – Alicja wzdycha i rozchyła nogi. – Właśnie miałam wychodzić. – Stęka z rozkoszy, gdy palce mężczyzny dostają się do jej środka.

– Trochę musiałas siedzieć, co?

– Co? – pyta roztargniona.

Igor porusza ręką coraz szybciej.

– Trochę musiałas siedzieć w tej wannie, skoro woda taka zimna.

Alicja patrzy na twarz mężczyzny. Ten wzrok. Zna go nazbyt dobrze. Igor wbija teraz w nią palce z siłą. Nie ma to nic wspólnego z pieszczotą.

– Przestań – szepcze żona.

Lecz mąż przyspiesza. Jego ruchy są pełne złości.

– Przestań. To boli! – kobieta stara się odepchnąć jego rękę, lecz ten nie puszcza. – Przestań!!! – wrzeszczy przez łzy.

Jej krzyk odbija się echem od ścian wyłożonych granatowymi kaflami.

Igor raptownie wstaje. Ma koszulę moką od wody. Dyszy. Oczy ma rozbiegane.

I wtedy Alicja podnosi wzrok. Nie powinna tego robić. Nie to Igor chciał w nich dostrzec.

– Ty pasożycie – cedzi.

Łapie ją za szyję i przydusza do dna.

Włosy wirujące jak glony.

Zmącona woda.

Nachylająca się nad nią rozmazana twarz o mętnych oczach.

Wędrujące do góry coraz mniejsze bąbelki powietrza...

Alicja wzięła głęboki oddech, bo wspomnienie nadal pozbawiało ją powietrza. Wciąż pamiętała to bolesne klucie w płucach. I strach. Przerazający, namacalny strach, że umiera. Położyła rękę na klamce. Drzwi ustąpiły. Igor nigdy ich nie zamykał, tak jakby nigdy niczego się nie bał. Może miał rację? Może nie było gorszego potwora niż on?

Korytarz tonął w ciemności. Alicja znała go na pamięć, nie potrzebowała światła.

Igor siedział na fotelu. Tym samym co zawsze. Zielonym, wysiedzianym, tym, który kupili do nowego domu. W telewizji leciał film.

– I'm standing here; you make the move. You make the move. It's your move. – Robert De Niro wyciągnął gnata i wymierzył go prosto w ekran.

Był taki młody, gładki. Alicja uśmiechnęła się lekko.

– You talkin' to me? You talkin' to me? You talkin' to me? Then who the hell else are you talking... you talking to me? Well I'm the

only one here. Who the fuck do you think you're talking to? Oh yeah? OK.

Igor Olszewski zaczął się śmiać i sięgnął po piwo stojące na stoliku. Jedno z wielu, które dziś wypił, sądząc po liczbie pustych butelek.

Nagle się odwrócił. Zupełnie nie zdziwił go jej widok. Tak jakby się jej dziś spodziewał. Tak jakby nigdy nie wyprowadziła się z tego domu, który zresztą nadal był jej współwłasnością.

– Cześć – powiedział.

Jego lewy łuk brwiowy był przecięty, spuchnięty i podbiegnięty krwią. Korda przecież powalił go pięknym prawym sierpowym. Znów odwrócił się ku telewizorowi.

– *Taksówkarz* – zaczął tłumaczyć. – Siedemdziesiąty szósty rok, a nic się ten film nie postarzał. Robactwo nadal jest wszędzie. Wszędzie. – Znów odwrócił się w jej stronę z okropnym uśmiechem. – Wiedziałem, że w końcu sama przyjdiesz.

Alicja podeszła do drugiego fotela. Usiadła. Rozejrzała się. Drewniana komoda, zapełniona książkami biblioteczka, orientalny niebieski dywan, poczerniały nieodpalony kominek, którego blaszane drzwiczki zgubiły gdzieś jedno skrzydło. Obok na stojaku zestaw stalowych narzędzi: pogrzebacz, miotełka i szufelka. Na stoliku obok butelek dziennikarka dojrzała zakrwawione gaziki, którym Tajfun musiał opatrywać ranę.

– Niemal nic się tu nie zmieniło – oceniła.

– Tak jakbyś wyszła wczoraj. – Tajfun pokiwał głową. – Są twoje ciuchy, książki, nawet szczoteczka do zębów. Tylko zapachy wyblakły. Wdychałem je tak długo, aż zupełnie uleciały. – Popił piwo prosto z butelki.

– Nagranie – powiedziała Alicja, patrząc na niego bez cienia emocji. – Wiesz, o które mi chodzi?

Igor przekrzywił głowę.

– To, które ktoś zostawił dla mnie w skrzynce, gdy zaczęliśmy się spotykać – wyjaśniła.

– To, na którym tak ładnie prosisz profesorka o litość – stwierdził. Grabska przełknęła ślinę.

– Miałeś je zniszczyć. Obiecałeś.

– Zniszczyłem – odparł Tajfun. – Tak jak chciałaś. Wyrwałem taśmę i spaliłem.

Alicja zacisnęła zęby.

– A jednak jakimś cudem wypłynęła.

– Wiem.

Alicja zmarszczyła brwi.

– Skąd? – syknęła.

– Dostałem kopię. Chciałem ci powiedzieć ostatnio, ale nie chciałaś ze mną gadać. – Igor spojrział na Alicję znacząco.

– Ty? Dlaczego ktoś miałby ją przysłać właśnie tobie?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Bo jestem twoim mężem?

– Byłeś, Tajfun. I to całkiem kiepskim.

Mężczyzna dopił duszkiem piwo.

– Wręcz koszmarnym – przyznał i lekko się skrzywił.

Alicja mimowolnie się uśmiechnęła.

– Chcę, żebyś się dowiedział, kto tę taśmę nagrał.

– Wiesz, że próbowałem. Przez długi czas. I nadal obstawiam tę samą osobę. – Olszewski znów obdarzył byłą żonę znaczącym spojrzeniem.

Alicja z niedowierzaniem pokręciła głową. Wstała.

– Radek? Nie. To nie mógł być on.

Tajfun też wstał.

– Czemu? Przecież to był zboczony pojebus – warknął. – W ilu dziwnych miejscach cię brał? Czego od ciebie wymagał? Ciągłe badał twoje granice, a ty na wszystko zawsze przystawałaś – prychnął. – Na pewno go kręciło to, co zrobił ci Romanowski, a raczej to, że się na to zgodziłaś.

Alicja wymierzyła mu policzek, lecz nim jej dłoń dosięgła twarzy Tajfuna, ten złapał ją za rękę.

– Zapomniałaś już, że jestem silniejszy? – Zaśmiał się. – Zawsze cię to kręciło. „Niech pan profesor przestanie” – cienkim głosem zacytował rozmowę z nagrania. – Założę się, że ssiałaś Romanowskiemu z niemąłą rozkoszą. W końcu zawsze byłaś puszczalską lafiryndą.

– A może to ty nagrałeś, co? – Alicja nawet nie próbowała się wyrywać. – Przecież tak bardzo mnie wtedy pragnęłaś. Krążyłeś wokół mnie jak pies, tak bardzo chciałeś, bym stała się twoja. A to

nagranie bardzo ci w tym pomogło. Nieprawdaż? – syknęła. – Masz jeszcze ten nóż? – nagle coś jej się przypomniało.

– Jaki nóż?

– Tę finkę po ojcu?

– Nie. Dawno ją zgubiłem. – Igor uważnie przyglądał się Alicji. – Ty myślisz, że to ja zabiłem te dziewczyny – stwierdził i z niesmakiem puścił jej przegub.

– Myślę, że byłbyś do tego zdolny. – Alicja się odsunęła.

– Gdybym miał kogoś zabić, to tylko ciebie. – Oczy Olszewskiego błysnęły groźnie. – I swoją matkę, choć ta już dawno śmiertelnie zachłysnęła się żurem. – Zaczął szaleńczo się śmiać.

Grabska odwróciła się i zaczęła biec korytarzem do drzwi wejściowych. W dłoni ścisnęła okrwawiony gazik, który zabrała ze stolika.

– Zostań! – płaczliwie krzyczał za nią Tajfun. – Zostań!

Gdy naciskała klamkę, usłyszała odgłos rozbijanej o ścianę butelki.

3

Alicja miała jasną skórę, która odcinała się od otaczającej ją ciemności. Lubił obserwować jej ruchy – niespieszne, pełne gracji i czegoś ulotnego, czego nie potrafił nazwać. Podniosła rękę, sięgnęła do klamki i otworzyła okno, a po jego cieple przeszedł dreszcz.

Nosiła białą rozciągniętą koszulkę, pod którą zarysowały się krągłe piersi. Nawet z daleka widział sterczące pod materiałem drobne sutki, które wyobrażał sobie tysiące razy. Wychyliła się lekko przez framugę. Spojrzała w dal, a potem zapatrzyła się w księżyc. Ten był dziś ogromny, nisko zawieszony tuż nad ich głowami. Ale wcale nie dawał światła. Pokrywał go krwawy nalot, który zabarwiał przestrzeń najbardziej dosadnym odcieniem. Podobało mu się to. Podobało mu się, że wspólnie byli świadkami czegoś tak pięknego i mrocznego zarazem. Zresztą nie pierwszy raz. Alicja już kilkakrotnie patrzyła na to, co chciał jej pokazać.

W końcu przeniosła spojrzenie na podwórko. Przemierzyła wzrokiem całą przestrzeń, ale go nie dostrzegła, choć patrzyła wprost na niego. Był niewidoczny. Zupełnie niewidzialny, choć wcale nie starał się ukryć. Był jednym z licznych cieni.

Uśmiechnął się i czmychnął w bok. Teraz coś zauważyła, bo wyraźnie zamarła. Wpatrywała się w mrok. Widział, że po chwili drgnęła. Jakby chciała się schować, ale nie znalazła w sobie siły, by podjąć działanie.

Wziął głęboki oddech. Strach. Wyraźnie go wyczuwał. Cierpki, piwniczny zapach, a zarazem najśłodszy feromon, jaki można sobie wyobrazić. Choć wokół szaleńczo śpiewały świerszcze, mógł przysiąc, że słyszy przyspieszone bicie jej serca. Szeleściło pod cienką koszulką jak motyl zamknięty w dłoni.

A jednak nie uciekała. Nie potrafiła się poddać. Zaprzeczała temu, co podpowiadała jej intuicja. Racjonalizowała to, co najbardziej oczywiste. Zawsze zadziwiał go ten typ kobiety. Wszystkie one wiedziały, że czeka je śmierć, a jednak podejmowały ryzyko, by się o tym przekonać.

– Alicja – szepnął w ciemności, dwukrotnie przejeżdżając koniuszkiem języka po podniebieniu.

Żadne inne imię nie układało się tak w jego ustach.

4

Zgrzytnęła zasuwa w drzwiach. Wojciech Romanowski uniósł głowę i uważnie przyjrzał się nadchodzącemu mężczyźnie. Postawny, ciemnowłosy detektyw o kilkudniowym zarostie miał beznamiętny wyraz twarzy. Blizna ciągnąca się przez jego policzek sprawiała jednak, że po plecach nauczyciela przeszły dreszcze.

Oskar Korda usiadł na krześle, które przesunął wcześniej po podłodze z nieprzyjemnym hałasem.

Wrrrrr.

Romanowski drgnął.

Powoli oblewały go zimne poty.

Policjant ciężkim ruchem położył na biurku dyktafon.

Bach.

Pusty dźwięk poniósł się echem po pokoju.

Bez słowa, ani razu nie podnosząc wzroku na zatrzymanego, Korda wcisnął „play”.

– Na pewno uprawiacie już seks. – Pomieszczenie wypełnił miękki męski głos. – To oczywiście nic złego. Seks rozluźnia, relaksuje, ma dobroczynny wpływ na człowieka, ale nie może dekoncentrować! – Głos nagle się podniósł. – Co by powiedziała twoja mama, gdyby się dowiedziała, co? Nie dość, że jej córka się puszcza, to jeszcze zbiera same pały! Lubisz pały? Co? Lubisz? Nie lubisz? Luubisz. – Mężczyzna mięśście przeciągnął głoski.

Dopiero teraz detektyw spojrział na Romanowskiego. Nauczyciel był wysoki i szczupły, o jasnych, krótko ściętych włosach i niebieskich oczach. Uważnie słuchał. Niemalże nie oddychał.

– Niech pan przestanie! – zapiszczała dziewczyna.

– Niech pan profesor przestanie – poprawił mężczyzna.

Korda zatrzymał nagranie. Obserwował. Zatrzymany niemalże niewidocznie się poruszył. Wpatrywał się w wytarty blat stołu, który dzielił go od detektywa. Myślał. Nie spodziewał się tego nagrania. Brał pod uwagę wszystkie ewentualności, ale nie tę.

Oskar spokojnie skrzyżował ręce na piersi i wsunął dłonie pod ramiona. Oparł plecy o krzesło. Przechylił głowę.

– Co robił pan w nocy z dnia piątego na szóstego kwietnia? – Oskar podał datę śmierci pierwszej z ofiar Rozpruwacza.

Nauczyciel matematyki podniósł głowę, z zaskoczeniem zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem – wydukał.

– Gdzie pan przebywał w dniu śmierci Magdaleny Wirewicz?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie wiem – stęknął. – Musiałbym pomyśleć. Nie bardzo teraz pamiętam.

– Yhm. – Korda cmoknął. – A wieczorem siódmego maja tego roku? W dniu śmierci Weroniki Mazur?

Romanowski wlepił spojrzenie w blat.

– No chyba musi pan pamiętać. W końcu to była pana uczennica. – Korda znów przekrzywił głowę. – Na pewno kojarzy pan wieczór, w którym zginęła.

– Tak – odparł nauczyciel. – Byłem z żoną. We własnym domu. Najpierw sprawdzałem klasówki, a potem oglądaliśmy jakiś serial.

– I nie wychodził pan tego wieczoru z domu, tak? Nawet na chwilę... – sceptycznie stwierdził Korda.

– Żona potwierdzi! – podniósł głos Romanowski.

– Lubi pan młode dziewczyny? Uczennice?

Romanowski natychmiast zrobił się czerwony. Histerycznie zaczął kręcić głową na boki.

– Nie lubi pan? – zdziwił się Korda. – Bo po tym, co przed chwilą usłyszeliśmy, trudno w to uwierzyć.

Romanowski nadal przecząco kręcił głową. Był chyba w szoku. Korda znów wdusił „play”.

– Niech pan profesor przestanie – prosiła dziewczyna.

– O, tak, grzeczna dziewczynka – łagodnie szeptał mężczyzna.

– Nie chcę.

– W porządku. Wszystko jest w porządku. Nikt się nie dowie, co wyprawiasz, obiecuję. Nikomu nie powiemy.

Detektyw zatrzymał nagranie. Wyczekująco spojrzał na Romanowskiego.

– Chcę adwokata – powiedział nauczyciel.

– Oczywiście. Ma pan do tego prawo – zgodził się Korda. – Ale nie zaprzeczy pan chyba, że mężczyzna na tym nagraniu to pan? Ciekawe, co powie pana żona, gdy się dowie, że jej mąż jest pedofilem...

– Nie jestem pedofilem! – przerwał Romanowski.

– ...i mordercą.

– Ani mordercą! Nie jestem pedofilem ani mordercą! – Romanowski zerwał się z krzesła.

Momentalnie znaleźli się przy nim policjanci w czarnych uniformach.

Nauczyciel z powrotem osunął się na siedzenie.

– No to od początku – spokojnym głosem powiedział Korda. – Na nagraniu to nie pana głos?

– Mój – przyznał cicho zatrzymany.

– Pana – westchnął Korda. – A dziewczyna? Pamięta pan, jak się nazywała? – Romanowski przytaknął. – Proszę w takim razie podać jej imię i nazwisko.

– Alicja... Alicja Grabska.

– Z tego, co mi się udało ustalić, pana uczennica miała wtedy siedemnaście lat.

Romanowski znów się zaczerwienił.

– Przyznaje więc pan, że podobają się panu nieletnie uczennice?

– Neeee – jęknął nauczyciel. – To nie tak – szepnął. – Nie tak.

– A jak?

– To zdarzyło się tylko raz. Przysięgam. To była tylko ona. Alicja. Oskar podniósł brew z niedowierzaniem.

– Pan nie wierzy. Ale ja mówię prawdę. Alicja Grabska. Ta dziewczyna... – westchnął. – Nie wiem, jak to wyjaśnić. Ale miałem na jej punkcie... obsesję? Chyba tak to najlepiej można określić. Nie mogłem spać, nie mogłem jeść, ciągle o niej myślałem, jakby w jakiś dziwny sposób mnie opętała. Nie wiem czemu. Może to była... miłość, a może zwykłe zauroczenie. Tak sędzę. Jak do kobiety. Nie do dziecka czy uczennicy. Postrzegałem ją jako kobietę. A ona widziała we mnie tylko nauczyciela, choć wielokrotnie dawałem jej sygnały, że... hmm. Przysięgam. Tylko ona tak na mnie działała, że... nie mogłem się oprzeć... – Romanowski zaczął płakać.

Korda z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Skąd mam panu wierzyć, że nie molestował pan innych dziewczyn? – prychnął. – Weroniki Mazur na przykład? Obsesja to mocne słowo, panie Romanowski. Obsesja sprawia, że człowiek robi różne dziwne rzeczy, nawet jeśli napawają go obrzydzeniem. Widzi pan, bo ja mam taką teorię. Od Alicji wszystko się zaczęło. Obsesja na punkcie podobnych do niej blondynek. Nie mógł pan znieść, że one nie czuły do pana tego, co pan czuł do nich, więc ukarał je pan tak, jakby pan karał Alicję, prawda? Zwabił je pan do lasu i zabił, a potem rozebrał, ułożył wokół nich liście, pięknie wyeksponował, jakby to były trofea. A do tego zostawił pan tropy wiodące do jedynej dziewczyny, na której panu kiedykolwiek prawdziwie zależało. Do Alicji. Chciał pan, by czuła strach? Chciałeś – zaakcentował – by przypomniawszy sobie, co jej zrobiłeś? Chciałeś, by wiedziała, że ona będzie następna? – Korda poufale nachylił się ku Romanowskiemu.

Nauczyciel znowu zaczął szaleńczo kręcić głową. Łzy kapały na blat stołu.

Kap. Kap.

– Dostałem nauczkę. Dostałem za swoje! – Płakał. – Nigdy więcej nikogo nie tknąłem! Musi mi pan uwierzyć!

Korda podniósł brew.

– Jaką nauczkę?

– Mogę wstać? – poprosił nauczyciel.

Detektyw zmrużył oczy. Kiwnął.

Wojciech Romanowski ciężko się podniósł. Powoli rozpiął koszulę. Ściągnął ją i odwrócił się.

Na jego szczupłych, jasnych plecach widniały liczne zabliznione pręgi.

– Nie wiem, jak pan detektyw, ale ja zasłużyłem na swoje blizny – powiedział.

5

Dochodziła północ, a Alicja przewracała się z boku na bok. Sen nie nadchodził. Cienie liści kasztanowca tańczyły na gołej ścianie, układały się w zdeformowane, przywołujące ją dłonie. Odwróciła się na plecy i wpatrzyła się w swoje odbicie w lustrze wiszącym na suficie. Rozrzucone na poduszce blond włosy, alabastrowa skóra, szczupła sylwetka w skąpej białej koszulce, poważny wyraz twarzy tonącej w mroku. Nagle ogarnęło ją nieprzeparte wrażenie, że wygląda dokładnie jak leżąca wśród leśnych liści Weronika Mazur. Chwyciła się za szyję i przejechała po niej palcami, jakby chciała się upewnić, że nie ma tam głębokiej rany ciętej. Z niedowierzaniem pokręciła głową i szybko sięgnęła po laptop leżący tuż przy łóżku. Kliknęła w plik tekstowy. Przeleciała wzrokiem zapisane przez siebie strony: szczegółowy opis miejsca morderstwa i działań policji, które uważnie śledziła przez kilka godzin po odnalezieniu zwłok, utrwalony w jej pamięci i przeniesiony na papier obraz zamordowanej dziewczyny, wszystkie tropy, o których pisali dziennikarze i o których z racji znajomości z Kordą wiedziała tylko ona. Ta sprawa wciągała ją coraz bardziej, a pisanie o niej zmniejszało lęk, który narastał, od kiedy natknęła się na ciało Weroniki Mazur. Gdy Alicja sama stawiała się śledczym, martwa

dziewczyna przestawała być dla niej człowiekiem z krwi i kości. Zamieniała się w opowieść, którą Grabska coraz mocniej chciała poznać, by dowiedzieć się, czemu sprawca zabił... i przede wszystkim, kim był.

Znów zaczęła stukać w klawisze, tym razem zapisując informacje, których dostarczył jej Aleks. Myśli płynęły szybko i gładko. Kolejne strony zapisywały się niemalże same. Wiedziała, że Szylbach tego nie opublikuje, ale robiła to dla siebie. Nie potrafiła przestać.

W końcu odłożyła laptopa, podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Do sypialni wdarło się ciepłe, przepełnione zapachami powietrze, które miło chłodziło jej skórę.

Wychyliła się na zewnątrz. Niebo nad Sopotem było gwieździste i czyste. Ogromny księżyc jaśniał żółcią i czerwienią. No tak. Przecież wszędzie trąbiono o majowej superpełni krwawego księżycyca. Nic dziwnego, że mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Przez chwilę z niemałym zachwytem obserwowała zjawisko, po czym spuściła wzrok i powiodła nim po ciemnym podwórku. Drzewa, krzaki, auta, pojemniki ze śmieciami. Nagle mignął jej jakiś cień. Jakby coś uskoczyło i schowało się w czerni nocy. Wzdrygnęła się, wydając z siebie cichy jęk. Choć ogarnął ją strach, długo patrzyła w tamto miejsce. Nie. Nic tam nie było. Musiało jej się wydawać. A może to jakiś kot przemknął swoją zwyczajową ścieżką? Powoli popada w paranoję. Po ostatnim spotkaniu z Alekssem doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Mimo to szybkim ruchem zamknęła szczelnie okno i zasunęła zasłonę. W tym momencie jej telefon wydał znajomy dźwięk, który sprawił, że jej ciało przeszedł dreszcz.

Powoli, jakby chciała odwlec tę chwilę, podeszła do telefonu leżącego na łóżku.

„Masz dostępną lokalizację” – przeczytała komunikat wyświetlony na ekranie. Weszła w wiadomość. Wskazane miejsce znajdowało się tylko osiemset metrów od jej mieszkania. Lokalizacja była dostępna przez kolejną godzinę.

Wybrała numer Kordey. Znowu nie odbierał. Drugi raz wcisnęła zieloną słuchawkę, ale nadal nie odpowiadał.

– Szlag – stęknęła pod nosem.

Zerknęła na telefon. To tylko osiemset metrów. Osiem minut piechotą. W Sopocie, w żadnym głuchym i ciemnym lesie,

przekonywała sobie. Jeszcze raz wybrała numer Kordey, a gdy ponownie nie odebrał, włożyła dzinsy i trampki, chwyciła torebkę i wyszła z domu.

Na zewnątrz głośno cykały świerszcze. Z okolic Monciaka niosły się głosy turystów i miejscowych imprezowiczów. Z biciem serca otworzyła bramę wjazdową i wsiadła do auta. Ruszyła i wtedy wydało jej się, że w lusterku wstecznym znów mignął jakiś kształt. Raptownie zahamowała i rozejrzała się dookoła. Nic nie dojrzała, więc kilkakrotnie odwróciła się w tył, spojrzała na boki. Niczego nie było widać. Powoli zaczęła więc cofać, uważnie wpatrując się w lusterko, w którym nagle pojawił się jasny kształt.

Serce podeszło jej do gardła.

Szybko odwróciła się do tyłu, po chwili znów wpatrzyła się w lusterko.

W panującej wokół niej ciemności nie potrafiła rozpoznać przedmiotu.

Zacisnęła palce na kierownicy i zdecydowanie ruszyła. Jednak po ułamku sekundy mocno wdusiła hamulec.

– *Shit* – stęknęła, wrzucając luz. Z niedowierzaniem pokręciła głową. Znów rozejrzała się na wszystkie strony i, nie gasząc silnika, otworzyła drzwi. Wyszła na zewnątrz. Świerszcze rozspiewały się jak szalone. Włączyła latarkę w telefonie i powoli obesza samochód dookoła. Skierowała strumień światła w krzaki, w których dostrzegła wcześniej biały kształt, i raptownie cofnęła się o kilka kroków.

Pomiędzy krzewami siedziała naga porcelanowa lalka. Proste blond włosy, czerwone usta i jasnoniebieskie oczy sprawiały, że wyglądała jak miniatura prawdziwej kobiety – prawdziwej martwej kobiety, bo nie tylko miała nieruchome, zastygłe w spojrzeniu oczy, lecz także jej nieskazitelną jasną szyję przecinało pęknięcie.

Alicja czym prędzej wsiadła do auta i, buksując kołami po zawilgoconej glebie, odjechała w stronę Armii Krajowej. Po kilku minutach była na miejscu. Przeszkłone, półokrągłe wejście do komendy policji w Sopocie na szczęście było rozświetlone jaskrawym światłem, co sprawiło, że dziennikarka odetchnęła z ulgą.

– Korda ma przesłuchanie – powiedział dyżurny, odkładając telefon. – Ale niebawem kończy, proszę tu poczekać. – Wskazał jej rząd krzesel pod ścianą.

Alicja zerknęła na wyświetlacz komórki. „Lokalizacja będzie dostępna przez kolejne czterdzieści pięć minut” – przeczytała komunikat.

– Nie mogę czekać. – Nachyliła się ku policjantowi. – Powiedz to Kordzie – zaznaczyła stanowczo.

Młody mężczyzna przypatrzył jej się uważnie, po czym wstał i skierował się w głąb korytarza.

Alicja podążyła za nim.

Dyżurny nieśmiało zapukał do drzwi. Wychylił się funkcjonariusz odziany w czarny uniform. Dyżurny wskazał na Alicję i coś powiedział cicho. Tamten podniósł brew i z lekkim uśmiechem zerknął na dziennikarkę. Zniknął za drzwiami. Alicja niecierpliwie przesunęła się bliżej. Po kilkunastu sekundach drzwi ponownie się otworzyły. Na korytarz wyszedł Korda. W głębi pokoju przesłuchań siedział Wojciech Romanowski. Podniósł głowę. Na widok Alicji drgnął, jakby ktoś popieścił go prądem.

„O, tak, grzeczna dziewczynka. Nikt się nie dowie. Nikomu nie powiemy” – w głowie Alicji odtworzył się głos nauczyciela.

Drzwi zamknęły się z hukiem.

6

Zaparkowali przy ulicy Obrońców Westerplatte na chodniku przed tonącą w mroku reprezentacyjną późnoklasycystyczną willą, otoczoną przez duży ogród.

– No to odlot – skostatował Korda.

– Odlot – potwierdziła Grabska.

Doskonale wiedzieli, że po Sopocie od dekad krąży fama, że ten dwupiętrowy gmach, należący podczas drugiej wojny światowej do wysoko postawionego funkcjonariusza SS, jest nawiedzony. Horror *Medium* Jacka Koprowicza z lat osiemdziesiątych, w którym wystąpiły ogród i frontowa elewacja willi, jeszcze tę pogłoskę podkręcił. Pewnie dlatego w liceum Alicja wkradła się tam

z Radkiem. Siedzieli na przeszklonej werandzie i, paląc blanty, podziwiali widok zaśnieżonego ogrodu. To było jedno z najbardziej niesamowitych doznań w jej życiu.

Wysiedli. Po śpiącej ulicy rozniósł się głuchy dźwięk zamykanych drzwi od samochodu. Alicja otworzyła kutą bramę i znaleźli się na posesji. Przeszli obok nieczynnej fontanny i dotarli przed dwuskrzydłowe drzwi, po bokach zdobione okuciami z motywem pola herbowego, ażurową rozetą i przeszkleniem. W niszach po obu stronach nadproża stały figury wykonane z terakoty. Muza poezji epickiej i muza poezji miłosnej patrzyły niemo w dal, lecz Alicję naszło nieodparte wrażenie, że uważnie śledzą ich ruchy.

Położyła dłoń na klamce i pytająco zerknęła na Korde. Ten wyciągnął latarkę i twierdząco kiwnął głową. Drzwi ustąpiły i Alicja z Oskarem weszli do niewielkiej sieni o oliwkowej posadzce i białych marmurowych schodach, skąd przedostali się do okazałego holu. Panowała głucha cisza. Korda powiódł latarkę po wnętrzu. Ściany i sufit miały kolor ciepłej ochry, posadzki pokrywały szarozielone i beżowe marmurowe płyty. Detektyw poświecił na drewniane schody o zdobionej balustradzie wiodące na pierwsze piętro. Grabska dała mu jednak znak, by szedł na nią. Intuicja podpowiadała jej, dokąd powinni zmierzać.

Przeszli przez kolejną salę i dostrzegli werandę przeszkloną z trzech stron. Na jej środku stała postać, odcinająca się na tle starych zmurszałych okien z białymi szprosami. Korda wyciągnął broń. Postać się odwróciła. Podniosła ręce do góry. W jasnym promieniu latarki mignął przedmiot trzymany przez nią w dłoni.

– Co tu robisz?! – podniósł głos Korda.

– Nic, ja tylko miałem się tu z kimś spotkać – spokojnym głosem odparł nieznajomy mężczyzna.

– Z kim?

– Z koleżanką. Miała tu na mnie czekać.

– Z kim? – powtórzył Korda.

– Z Alicją Grabską – odparł mężczyzna. – Dostałem od niej wiadomość.

– Wiadomość ode mnie? – Zdziwiona Alicja wyszła z mroku i stanęła w snopie światła wpadającym do środka z zewnątrz.

– Alicja. – Mężczyzna odetchnął. – Myślałem, że będziesz sama.

Dziennikarka zmierzyła go wzrokiem. Lekko przygarbiony, średniego wzrostu, o krótkich włosach. Prosty nos, głęboko osadzone oczy, wokół których rysowały się głębokie zmarszczki.

„Chodź, coś ci pokażę” – zabrzmiało w jej głowie. Wyciągnięta ku niej dłoń. Zwrócona w jej stronę uśmiechnięta twarz o kpiarskim wyrazie, duże usta chowające kwadratowe zęby. Obraz z przeszłości, który od kilku dni za nią chodził.

– Radek – szepnęła.

1999

1

– Cześć. – W drzwiach pojawiła się Alicja.

Tajfun zerwał się z materaca, zdjął z uszu słuchawki, z których dudniło ostre metalowe brzmienie.

– Co ty tu robisz? – spytał i oszołomiony rozejrzał się wokół.

Tanie meble pamiętające poprzednią epokę, wytarty dywan, goła żarówka wystająca z sufitu. Na blacie obdrapanego biurka rozsypany tytoń i kilka bibulek. Na szczęście po podłodze nie walały się żadne kompromitujące skarpety ani, co gorsza, bielizna, ale i tak zalała go fala wstydu.

– Przyszłam do ciebie. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Twoja mama mnie wpuściła.

Igor raptownie się zaczerwienił.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam?

– Kiedyś machałeś mi z balkonu, pamiętasz? – Grabska roześmiała się bez troski i przysiadła na krześle.

Wydawało się, że nie dostrzega biedy i brudu, który oblepiał mieszkanie. Ale mogła też dobrze udawać.

– Aha – niechętnie mruknął Igor.

Zawsze na jej widok czuł się podekscytowany, jednak tym razem obecność Alicji nieprzyjemnie go zapiekła. Wszystko wokół wydało mu się jeszcze brzydsze i bardziej odrzucające niż na co dzień.

– Przeszkadzam ci?

– Nie. No co ty! – zreflektował się chłopak. – Tylko wiesz... Nie spodziewałem się ciebie.

– Co robiłeś? – Teraz Alicja rozejrzała się wokół.

– Nic szczególnego. – Tajfun wodził wzrokiem za spojrzeniem dziewczyny.

Znów ogarniała go panika. Tak bardzo nie chciał, by Alicja oceniała go przez pryzmat tego nędznego miejsca, przez pryzmat

zapijaczonyj matki, tego syfu, który go otaczał. Tak bardzo nie chciał, by dostrzegła, kim jest naprawdę.

– A to co? – Nagle wstała.

Podeszła do biurka i wzięła do ręki brązową skórzaną pochewkę. Wyciągnęła z niej dwunastocentymetrowy nóż o rękojeści ze sztucznego tworzywa.

– Zwykła finka – odparł. – Podobno po ojcu. – Wzruszył ramionami.

– Nie żyje? – zapytała.

– Yhm – przytaknął, choć nie było to prawdą.

Ojca nigdy nie poznał, ale może to i lepiej? Z jego matką mógł zadawać się przecież tylko menel. Zdusił tę myśl w zarodku. Tak bardzo nie chciał, by Alicja domyśliła się, że i on był zwykłym śmieciem.

– Przykro mi. – Spojrzała na niego smutno.

– Eeee. – Machnął ręką. – To było dawno. – Przypatrzył się jej uważnie. – Coś się stało – stwierdził.

– No co ty... – W jej uśmiechu dostrzegł fałsz.

– Przecież widzę.

Alicja westchnęła.

– Czasami mi się wydaje, że tylko ty tak naprawdę mnie znasz – powiedziała smutno.

– A Radek? – zdziwił się Tajfun.

Alicja wzruszyła ramionami.

– On mnie czasami przeraża – wyznała. – Przy nim jestem kimś innym.

Jej oczy nagle błysnęły.

– Co? – zapytał chłopak.

– Zawrzemy pakt? Że zawsze będziemy się chronić?

Tajfun skinął głową.

Alicja przyłożyła finkę do lewej dłoni. Chwilę się wahała, po czym przejechała ostrzem po skórze, na której momentalnie pojawiła się krew.

Igor uśmiechnął się. Ten widok go podniecił. Wyciągnął rękę, a dziewczyna wykonała kolejne cięcie i przyłożyła swoją dłoń do jego ręki.

– Zawsze będziemy się chronić – powtórzył Tajfun.

– Przed tym, co brzydkie i złe – dodała Alicja.
Wymienili spojrzenia. Tajfun poczuł, że kocha Alicję bardziej niż kiedykolwiek przedtem, o ile było to w ogóle możliwe.
– Muszę już lecieć – powiedziała.
Otworzyła drzwi i skierowała się do wyjścia.
Tajfun szedł za nią. Patrzył, jak krople krwi spływają z jej dłoni i kapią na burą wykładzinę.
Trzasnęły drzwi.
Wszystko wydało mu się dziwnym snem.
Zawrócił. Zatrzymał się przy wejściu do kuchni. Z niesmakiem spojrzał na postać matki siedzącej przy stole. Jej głowa opadła na brudną ceratę.
Zatrzymał się nad nią. Śmierdziała cebulą i łojem. Z obrzydzeniem pociągnął ją za włosy. Matka mimowolnie wyprostowała plecy, rozwarła usta. Jej głowa bezwładnie opadła do tyłu.
„Zawsze będziemy się chronić. Przed tym, co brzydkie i złe” – zadźwięczało w jego głowie.
Podszedł do kuchenki. Zabrał z niej garnek ze zjełczałym żurem. Nabral zupę na chochlę i wlał matce do gardła.

2

– No chodź! – Ze śmiechem pociągnęła go za rękę.
Zamknęła drzwi. Czuła, jak alkohol szumi jej w głowie.
– Co, wariatko? – śmiał się Radek.
Niespodziewanie popchnęła go na ścianę. Mocno. Chłopak wpadł na stojący na ziemi wazon. Ten przewrócił się i rozbił na pół. Alicja szaleńczo się roześmiała. Upadła na kolana przed chłopakiem i zaczęła rozpinać mu rozporek.
– Uważaj, bo się skaleczysz. Tu może być... – zaczął Radek, lecz w tym momencie Alicja łapczywie wzięła go do ust. – ...szkło – wykrztusił i, poddając się, oparł się głową o ścianę.
– Dobrze ci? – Alicja podniosła głowę.
– Dobrze mi – szepnął.
– Dobrze mi, suko.

Radek spojrzał na nią zaskoczony.

– Dobrze mi, suko. Powtórz – nalegała Alicja.

– Dobrze mi, suko – powiedział, a ona z aprobatą pokiwała głową, mruknęła i wróciła do pracy.

– Chodź – szepnął Radek i gestem nakazał jej wstać.

Poprowadził ją do stołu pod oknem i posadził na blacie. Podciągnął jej czerwoną sukienkę i ścisnął w kroku. Westchnęła. Jednym ruchem ściągnął z niej koronkowe majtki wraz z czarnymi rajstopami i szpilkami. Oparła się na łokciach, przygryzła wargę i rozłożyła nogi. Radek opuścił spodnie. Szlufka paska trzasnęła o podłogę. Gdy już miał się w niej znaleźć, powiedziała cierpko:

– Uderz mnie.

– Co?

– Uderz! – Spojrzała na niego wyzywająco.

– Nie chcę. – Skrzywił się.

– Uderz, do kurwy! – podniosła głos. – W twarz. Chcę poczuć na skórze twoją pięść.

– Pięść?! Co ty w ogóle mówisz?

– No już, uderz! – irytowała się coraz bardziej. – Jeśli mnie kochasz, to mnie uderzysz!

– Jesteś pijana – stwierdził. – Nie wiesz, co mówisz.

– Chcę tego, słyszysz! – Uderzyła ręką w stół.

Radek patrzył na nią bez słowa. Po chwili cofnął się o krok i podciągnął spodnie.

– Nie jesteś sobą – stwierdził, zaciągając zamek w rozporoku. – Nie wiem, kim się stałaś. Nie poznaję cię.

Alicja zamarła. Czowała, że w jej oczach zaraz zaczną zbierać się łzy, a ona nie chciała płakać. Zaciśnęła więc zęby i zsunęła się z blatu stołu. Poprawiła sukienkę.

– Jesteś mięczakiem. – W jej głosie wyczuł niesmak. – Też myślałam, że jesteś kimś innym.

3

Trzasnęła drzwiami. Głuchy huk jeszcze przez chwilę niósł się echem w jej głowie.

Co on w ogóle sobie myślał? Że będzie go prosić? Że będzie błagać? Prychnęła ze wzgardą i, zataczając się lekko na boki, zaczęła schodzić ze schodów. Była zalana, zdawała sobie z tego sprawę. Ale to nie zmieniało stanu rzeczy. Odrzucenie bolało tak samo.

„Inni zrobiliby to z chęcią” – pojawiła się myśl w jej głowie.

Nauczyciel ciągnący za jej włosy, przytrzymujący jej głowę.

Lubisz pały?

Ciągle to do niej wracało. Nosila to w sobie w każdej sekundzie, nie mogła zapomnieć. Zazwyczaj obrazy budziły w niej odrazę. Ale teraz czuła się podniecona.

Muzyka stawała się głośniejsza.

„Ja zawsze razem z moim pojazdem. I ja wiem, że Lem, Lem jest fantastą. Pisze, że przybysze są zieloni jak ciasto kiwi. Dla mnie obrzydliwi” – niósł się wokal Joki.

Powietrze podrygiwało od rytmicznych uderzeń perkusji i od basów. Wszystko wokół lekko się kręciło, jakby nie mogło znaleźć stabilizacji. Chwiejnym krokiem przepchnęła się przez tłum podrygujących osób, recytujących słowa *Filmu* Kalibra 44: „To moja kabina, to moja machina. To moja dziedzina, zaczynaj”.

Weszła do kuchni.

Tajfun.

Jak dobrze.

Szeroko się uśmiechnęła i zamknęła za sobą drzwi.

Dźwięki ucichły. Stłumione basy stały się znośniejsze.

– Co tam, mała? – Igor też obdarzył ją szerokim uśmiechem – Masz dość? – Spojrzył na nią badawczo.

– Trochę tak – przyznała. – Jestem... hmmm... pijana w sztok. – Zaśmiała się, marszcząc nos.

– Ha, widzę. – Chłopak zawadiacko przekrzywił głowę. – Ja za to wypilem zdecydowanie za mało – uznał i solidnie napełnił szklanekę wódką.

– A gdzie twoja połówka? – zapytała zgryźliwie Alicja i oparła się o kuchenny blat.

– Tu. – Igor wyciągnął dłoń z butelką luksusowej i znacząco podniósł brew. – A twoja?

Alicja wzruszyła ramionami i zmieniła temat:

– Daj zapalić.

Chłopak wyciągnął paczkę czerwonych marlboro z kieszeni ciemnych dżinsów. Stuknął nią o blat. Papieros wysunął się z paczki. Alicja po niego sięgnęła. Igor szarmancko podał dziewczynie ogień.

– Mocny. – Alicja skrzywiła się, wypuszczając z ust szary, mętny dym.

– Daj. – Igor przejął papierosa. – Zapal lepiej to. – Wydobył z drugiej kieszeni ręcznie zrolowanego jointa.

– Co to?

– Hasz. Taki leciutki, choć z pobudzającym dodatkiem. Powinien ci dobrze zrobić.

– A jak nie?

– Gorzej raczej nie będzie. – Zaśmiał się, odpalił, a gdy joint mocno się rozjarzył, podał go dziewczynie. – I jak? – zapytał po chwili.

Alicja pokiwała głową, zadowolona zamruczała:

– Miło.

– Cieszę się. – Igor stanął obok niej, też oparł się plecami o kuchenny blat.

– I co teraz?

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Stoimy.

– Stoimy.

Ich ciała zupełnie się rozprężyły, zmiękły. Ogarnęły ich przemożna błogość i spokój. Zza ściany dochodziły wygłuszone krzyki bawiącej się młodzieży. Ciche basy wyznaczały rytm ledwo słyszalnej muzyki.

– Ula nie będzie zazdrosna? – zapytała nagle Alicja.

– Niby o co?

– Że tak sobie stoimy.

– Nie wiem. Nie bardzo mnie to obchodzi.

– Ale jesteście razem?

– Skąd ci to przyszło do głowy? – obruszył się Igor.

– Myślałam, że... Nieważne.

Znów zapadła cisza.

– Miałam dziś ten sen – odezwała się po chwili Alicja.

– Jaki sen?

– Ten z nami. Też czasami go masz?

Tajfun przełknął ślinę. Przytaknął.

– Mam – szepnął.

– Teraz też tak się czuję. Jak w tym śnie. Jest pomiędzy nami taka oczywista bliskość. Oboje pragniemy się dotknąć, poczuć, ale tego nie robimy, bo wiemy, że to zakazane; wiemy, że to byłoby złe. – Alicja przeniosła spojrzenie na Igora.

Ten rozchylił usta w rozbawionym uśmiechu. Oczy mu błyszczały.

– W moim śnie trochę inaczej to wygląda – powiedział. – W moim słowniku nie istnieje słowo „zakazane”.

– No tak. Jakie to uczucie?

– Najlepsze – powiedział i przysunął się bliżej.

Ich ramiona teraz się stykały. Alicja wyciągnęła dłoń i palcem wskazującym przejechała po wewnętrznej stronie jego dłoni. Znów na siebie spojrzeli.

– Obroniłbyś mnie, prawda? – Stała przodem do Igora i pociągnęła go ku sobie za sprzączkę paska w spodniach.

– Pewnie – odparł, przywierając do niej ciałem. – Kurewsko cię pragnę – dodał nagle.

Wtedy muzyka stała się bardziej wyraźna, pomieszczenie wypełniło się basami.

– Tu jesteś! Wszędzie cię szukałam! – W drzwiach pojawiła się Ula.

Alicja natychmiast odskoczyła w bok.

2018

1

– Radek – szepnęła Alicja.

– Znasz go? – zwrócił się do niej Korda, nie spuszczając mężczyzny z oka.

– Tak. To mój chłopak z liceum – przyznała Alicja.

Detektyw mruknął, ale nie opuścił broni. Przeciwnie, jeszcze mocniej wyciągnął ją przed siebie.

– Co tu robisz? – warknął.

– Dostałem godzinę temu SMS-a od Alicji. Napisała, że będzie czekała na werandzie w willi Bergera. Mogę opuścić ręce? – Radek powoli zaczął wyglądać na zniecierpliwionego.

– Nie tak szybko! – Korda ponownie wycelował w niego broń. – Z jakiego numeru?

– Nie z numeru. Z Wapstera. W sensie z bramki. Pomyślałem, że Alicja ma jakieś kłopoty, jeśli używa do komunikacji czegoś takiego. Więc przyjechałem.

– Pokaż! – nie dawał za wygraną Korda.

Radek Turski powoli opuścił prawą rękę, sięgnął do kieszeni i wydobył z niej telefon.

– Odblokuj telefon, połóż go na ziemi i odsuń się – nakazał detektyw.

– Serio?

– Serio, serio.

Turski prychnął, ale wykonał polecenie.

– Ala, sprawdź. – Korda kiwnął do dziennikarki, wciąż celując Glockiem w stronę Turskiego.

Grabska podniosła komórkę i weszła w wiadomości.

– Zgadza się – potwierdziła.

– Co trzymasz w dłoni? – Korda znów zwrócił się do Radka.

– Łańcuszek – odparł Turski. – Leżał na parapecie na tym pudełku. Podniosłem go w momencie, gdy we mnie wycelowałeś.

Mogę w końcu opuścić ręce?

Detektyw skinął głową i skierował broń w ziemię.

– Uff. – Turski się zaśmiał. – Z tobą, Ala, nie ma nudy, co?

– No nie ma – przyznała Grabska, lekko się uśmiechając.

Korda wsadził glocka do kabury, włożył rękawiczki i przejął łańcuszek. Był miedziany, zupełnie niepozorny, z prostą zawieszka.

– Skąd go wzięłeś? – zwrócił się do Radka.

Ten wskazał miejsce palcem.

– Dokładnie stąd? – upewnił się Oskar.

– Yhm.

Na wąskim przykurzonym parapecie leżało niewielkie czarne pudełko przewiązane czerwoną wstążką – takie samo jak logo aplikacji Place to Rest.

– Poświeć mi. – Oskar podał latarkę Alicji.

Odwiązał wstążkę i zdjął pokrywkę.

W środku znajdowała się tekturowa karteczka z drukowanym napisem „SEKRET”.

Korda ją podniósł.

Pod spodem dojrzał fragment białej porcelany. A na niej czarnymi, misternymi kresczkami narysowano drogę otoczoną charakterystycznymi choineczkami, wpadającą do czegoś, co wyglądało jak jezioro.

– O co tu chodzi? – zapytał zaciekawiony Radek Turski.

Również pochylił się nad pudełkiem.

Oskar zwrócił ku niemu twarz. Ciągająca się po jego policzku blizna zaśniła w świetle ogrodowej lampy. Wyciągnął rękę ku głowie Radka.

– Nie ruszaj się – warknął.

I wyrwał mu włos.

2

Czarna alfa romeo z przyjemnym pomrukiem podjechała pod dom przy Haffnera. Ciemne podwórko rozświetliło ciepłe, słońce po ziemi światło potrójnych reflektorów. Zamknęło się dwoje drzwi.

Trzask. Trzask.

Na chwilę zrobiło się ciemno. Rozbrzmiały świerszcze.

– Gdzie znalazłaś tę lalkę? – zapytał Korda.

– Tam, pomiędzy krzakami. – Alicja wyciągnęła palec.

Detektyw wyjął broń i skierował się we wskazane miejsce.

– Nic tu nie ma! – krzyknął.

Grabska podeszła do niego szybkim krokiem.

– Siedziała dokładnie tutaj. Musiał ją zabrać z powrotem.

Korda zacisnął usta.

– No dobra, na czas śledztwa spróbuję zorganizować ci ochronę – oznajmił.

– Nie zgadzam się, Korda – prychnęła Alicja. – Zresztą wiesz, że i tak nikogo nie przydzielą. Nie ma żadnej podstawy. – Uśmiechnęła się gorzko. – Widzisz? Coś o tym waszym świecie wiem, w końcu byłam żoną policjanta – dodała.

– To się zobaczy – stwierdził Oskar. – A tymczasem chciałbym zostać na noc. – Znacząco spojrział na Alicję.

– Nie musisz, poradzę sobie – odparła.

– Poradzisz sobie. – Korda podejrzliwie zmrużył oczy.

– Poradzę.

– Jak zawsze.

– Jak zawsze – powtórzyła.

– Mimo tego chciałbym chociaż wejść na górę. Upewnić się, czy jesteś bezpieczna.

– Jestem bezpieczna, Korda. Przecież to tylko gra. Jeśli tak by nie było, to już dawno byłabym martwa. I jestem zmęczona. Potwornie zmęczona. – Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. – Co? – nie wytrzymała Alicja.

– Nic. – Korda wzruszył ramionami. – Oprócz tego, że znowu to robisz.

– Niby co?

– Uciekasz. Znowu coś się zmieniło, prawda? Tylko nie wiem co. Nadal nie potrafię cię rozgryźć.

– To witaj w klubie. Bo ja też nie potrafię – powiedziała poważnie Alicja.

Ty darmożjadzie! Ty niewdzięczny darmożjadzie!

W głowie zabrzmiały jej słowa byłego męża.

– Uważaj na tego Radka – rzucił Korda.

- To nie on.
- Bo? – Korda z niedowierzaniem pokręcił głową.
- Bo to nie on.

Alicja podeszła do drzwi prowadzących na klatkę. Żarówka w okrągłej oprawie, która nad nimi rozbłysła, rzuciła zimne światło na postać Alicji. Po chwili dziennikarka zniknęła w środku.

Oskar śledził, jak zapalają się światła na klatce schodowej, a potem w mieszkaniu na drugim piętrze. W oknie pojawiła się Alicja, pomachała mu i zniknęła w głębi. Detektyw patrzył, jak po ścianie sunie jej cień. Chwilę jeszcze tak stał, rozglądając się wokół, po czym wsiadł do auta. Odpalił silnik. Reflektory przesunęły się po liściach krzaków rosnących pod murem. Odjechał.

Alicja znów podeszła do okna. Rozchyliła jego skrzydła i przez moment wdychała świeże nocne powietrze.

Klik. Klik.

Ciche kliknięcia spustu migawki były dla niej zupełnie niesłyszalne.

3

Ulica Bohaterów Monte Cassino była oczywiście zapchana. Turyści mknęli w górę i w dół. Szeroko się uśmiechali, pokrzykiwali na pędzące przed sobą dzieci, raptownie zatrzymywali się, okręcali wokół własnej osi, zmieniali kierunek. Alicja przebijała się przez tłum, wyłapując tworzące się luki.

Przy aptece Pod Orłem skręciła w mniej obleganą ulicę Czyżewskiego i dalej pięła się w górę. Jej długą kwiecistą sukienkę rozwiewał wiatr, ciągnęła się za nią po szaroburym chodniku. Minęła eklektyczną willę z cylindryczną wieżyczką z początku dwudziestego wieku i przeszła wzdłuż lekkiego żeliwnego płotu Dworku Sierakowskich. Skręciła w prawo za biblioteką publiczną i weszła na przerzucony nad wąwozem wąski metalowy mostek. Stała pośrodku kładki i spojrzała w dół.

Zadrzewiony, stu pięćdziesięciometrowy wąwóz przecinający Skarpę Sopocką wyglądał tajemniczo i mrocznie. Choć mostek

oddalony był od Monciaka tylko o kilkaset metrów, turyści raczej się tu nie zapuszczali. W liceum Alicja powtarzała, że to była miejscówka wtajemniczonych. I nadal tak myślała.

– Zawsze lubiłaś ten widok – usłyszała męski głos.

Radek Turski stanął obok i tak jak ona przechylił się przez burgundową barierkę.

– Zawsze kojarzył mi się z tobą. – Uśmiechnęła się.

– Hm, a mnie z tobą. – Turski przyjrzał się jej profilowi.

Prosty, nieduży nos, wydatne usta, myślące czoło. Znał jej rysy na pamięć. Odtwarzał je niemal przez całe życie.

– Idziemy? – Alicja się zerwała.

Radek przez chwilę miał wrażenie, że zaraz złapie go za rękę, tak jak kiedyś, gdy tu się spotykali. Lecz ona przeszła obok niego i weszła na znajdujące się tuż obok wąskie, strome schody prowadzące w dół.

Turski podążył za nią. Patrzył, jak kobieta przemierza stopnie, jak przytrzymuje obiema rękoma materiał sukienki, jak jej proste blond włosy falują podczas ruchu. Wyglądała tak samo jak w liceum. Jakby dla niej czas też zatrzymał się właśnie wtedy.

W wąwozie zrobiło się ciemniej. Wielowiekowe drzewa o rozłożystych szczytach niemal w ogóle nie przepuszczały światła słonecznego. Panował tu przyjemny chłód, ciągnący od leśnej ziemi.

– Co u ciebie? – zapytał Radek.

– W porządku – odparła Alicja.

– Podobno jesteś dziennikarką?

– Yhm.

– Super. Zawsze o tym marzyłaś. – Uśmiechnął się.

– A ty? Spełniłeś swoje marzenia? – Spojrzała na Radka z zaciekawieniem.

Kilkakrotnie próbowała znaleźć go w sieci, lecz bezskutecznie. Nie miał profili w mediach społecznościowych, jego nazwisko nie figurowało w żadnym publicznym spisie, nie miał wystaw artystycznych, nie pisano o nim w artykułach – a przecież chciał być artystą, chciał tworzyć piękno, jak zawsze powtarzał.

Turski wzruszył ramionami.

– Wiesz, jak to jest z marzeniami. Zazwyczaj się nie spełniają – stwierdził, patrząc pod nogi.

– Ale malujesz nadal? Rzeźbisz? – dopytywała.

– Czasami, ale... – Machnął ręką. – A jak Igor? Nadal jesteście małżeństwem?

– Nie. Nie jesteśmy – powiedziała i też szybko zmieniła temat. – Pamiętasz, jak stawaliśmy w tym tunelu i krzyczeliśmy w głos? – Wskazała ręką przed siebie i uśmiechnęła się.

Doszli do niskiego, na oko dwumetrowego nieoświetlonego tunelu łączącego aleję Niepodległości z ulicą Majkowskiego, który w dawnych czasach pełnił funkcję przepustu nad nasypem kolejowym. Dopiero kilka lat temu tunel został oficjalnie dostosowany do wymogów ruchu pieszego, ale sopocianie od dekad używali go do skracania sobie drogi.

Weszli do środka i, tak jak kiedyś, stanęli naprzeciwko siebie.

– To co? – Radek podniósł wysoko brwi.

– Serio?

– Wymiękasz?

– Nigdy – stwierdziła Alicja i upewniła się, czy nikt nie idzie.

Dała mu znak głową, że jest gotowa.

Ich krzyk odbił się od niskiej półokrągłej konstrukcji i poniósł się echem. Zaczęli się śmiać.

– Dobra, uciekamy! – zarządziła Alicja.

Radek znów miał wrażenie, że złapie go za rękę i pociągnie za sobą. Nie stało się tak, znów śledził jej oddalające się plecy, obserwował wystające łopatki i smukłe ramiona. Podążył jej śladem.

– To czym się teraz zajmujesz? – podjęła Alicja, gdy usiedli na jednej z ławek stojących w wąwozie.

– Pracuję jako grafik komputerowy. Robię projekty graficzne, opracowuję loga, czasami tworzę filmiki reklamowe. Takie tam.

– O! Super! Czyli jednak wykorzystujesz swój talent. To dobrze – ucieszyła się. – Myślałam, że całkowicie odpuściłeś.

– No wiesz, jakoś trzeba zarabiać, a sztuka w dzisiejszych czasach niespecjalnie się sprzedaje.

Alicja skinęła głową.

– To co, powiesz mi w końcu, o co chodziło z tą willą Bergera? Co to było za pudełko? I skąd ta wiadomość od ciebie... czy nie od ciebie, nie wiem, już trochę się pogubiłem.

– To dość skomplikowane – odparła.

– Yhm. Rozumiem, że nie chcesz o tym mówić?

– Chyba nie bardzo mogę.

Turski zamilkł. Przez chwilę wsłuchiwali się w ptaki śpiewające jak oszalałe. Gdzieś nad nimi odezwał się dzięcioł.

Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Stuk.

– A ten detektyw? – podjął Radek.

– Co ten detektyw?

– To twój... – Turski rozłożył ręce, jakby zastanawiał się, jakiego określenia użyć – ...chłopak?

Alicja się uśmiechnęła. „Chłopak”. Chyba była za stara, by posiadać chłopaka.

– Czemu ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem – odparł. – Jakoś tak na ciebie patrzył.

– Jak? – Alicja ściągnęła brwi.

– Jak na własność – stwierdził.

Alicja skrzywiła się.

– Na własność? Nie sądzę. – Pokręciła głową. – A ty co? – dodała.

– Nadal jesteś zazdrosny? – Szelmowsko podniosła jedną brew.

– Może? – Uśmiechnął się. – A chciałabyś, żebym był?

– Daj spokój! – Szturchnęła go po kumpelsku.

– Złamałaś mi serce – powiedział nagle Radek.

– No co ty? – Alicja nadal się uśmiechała.

– Serio – westchnął poważnie Radek. – I to bardzo. Długo dochodziłem po tym do siebie – wyznał i zerknął na Alicję z wyrzutem.

Spojrzała na Radka ze zdziwieniem.

– Hm. Nie pamiętam, jak to do końca było. – Zapatrzyła się w przestrzeń.

– Nie pamiętasz tego sylwestra? – zdziwił się Radek. – Ja nigdy nie zapomnę... – Pokiwał głową. – Nigdy...

– To było tak dawno temu... Nie wiem, jakoś ten rok mi się zupełnie zatarł.

Turski zmrużył oczy. Patrzył na nią uważnie.

– Cóż, czasami trzeba zagłuszyć wyrzuty sumienia – stwierdził cierpko. – No nic. Ja już muszę iść. – Wstał z ławki. – Miło było cię zobaczyć. – Uśmiechnął się nagle serdecznie.

– Tak – powiedziała cicho Alicja.

Chciała coś dodać, lecz on już się odwrócił i podążył w stronę tunelu. Po chwili zniknął w mroku. Jego ciężkie kroki odbiły się echem od ścian.

4

Zamknięte powieki. Lekko rozchylone usta, przez które wydostawał się świszczący oddech. Blond włosy zakrywające kark. Spokojny wyraz twarzy. Leżała na brzuchu. Głowę zwróciła w lewo. Dłoń niedbale leżała nad głową. Miała zaciśniętą pięść. Druga ręka spoczywała spokojnie przy czole.

Uśmiechnął się i mocniej nachylił nad jej śpiącą postacią. Znalazł się tak blisko, że mógł poczuć na swoich ustach jej oddech. Gdyby tylko chciał, mógłby skraść jej całusa. Ale nie chciał. Zaciągnął się za to jej zapachem. Słodkim zapachem jej lekko spoczonej skóry. Zamknął oczy i przez chwilę go kosztował. Hmm, na podstawie jej feromonów powinni robić perfumy. Wykupiłby cały magazyn, a i tak byłoby mu mało.

Znów otworzył oczy i wnikliwie się jej przypatrywał. Powieki zaczęły jej lekko drżeć. Pod cienką warstwą skóry w jedną i drugą stronę przemykały gałki oczne. Coś musiało się jej śnić. Oddech przyspieszył. Poruszyła się nerwowo, jęknęła i przewróciła na bok. Gdyby tylko mógł wejść w jej głowę. Zobaczyć, jakie dręczyły ją koszmary. Znów się uśmiechnął. Miał wielką nadzieję, że to on nawiedzał ją we śnie.

Przekrzywił głowę i powiódł wzrokiem po jej ciele. Rozkopała się. Cienka kołdra w jasnej poszewce leżała w nogach, przykrywając jedynie jej stopy. Nie dziwił się. W pokoju, pomimo otwartego okna, panował upał. Zastłonka nawet nie drgnęła. Powietrze w sypialni stało.

Miała na sobie zwykłą białą koszulkę i koronkowe, mocno wycięte stringi. Koszulka podeszła pod piersi, odkrywając płaski brzuch z jasnymi, maluteńkimi pieprzykami. Znał je doskonale. Mógł z pamięci sporządzić z nich mapę. Przez stringi dostrzegał jej łono. Był pewien, że zebrała się na nim delikatna wilgoć. Było przecież tak gorąco.

Zapraǳnął poczuć jej smak, ale nie chciał jej budzić. Byłaby panicznie przestraszona, gdyby go ujrzała, co samo w sobie było kuszące, ale jednak zepsułoby to całą zabawę.

Zabawę, której tak pięknie się poddawała.

Którą tak pięknie wymyślił.

Z poczuciem spełnienia wzrokiem pieścił jej długie nogi, macał jędrne pośladki, przemierzał smukłe ramiona, gładził odkryty kark, obrysowywał sterczące obojczyki.

Znów poczuł się jak chłopiec. Poczucił się jak w tamtym dniu, gdy zrozumiał, kim jest i czego pragnie. Przypomniał sobie, jak wrócił ze szkoły, jak od progu krzyknął „cześć”, lecz nikt mu nie odpowiedział. Rzucił wtedy na ziemię plecak, zdjął buty, a kurtkę zawiesił na haczyku. Wszedł do przedpokoju. Cisza. W mieszkaniu nikogo nie było. Dla pewności jeszcze raz zawołał, odczekał i skierował się do pokoju. Drzwi o szybie w kolorze miedzi we wzór butelki były zamknięte. Nacisnął klamkę, a te drzwi ustąpiły z cichym skrzypnięciem. Skulił się, jakby ten dźwięk miał wywołać czyjąś obecność, lecz nie – nikt nie pojawił się nagle obok niego. Śmieiej uchylił drzwi i wszedł do środka.

Pokój był elegancki. Na meblościance poustawiano kryształ, a skórzaną brązową kanapę wieńczył dywanik z sierści dzika. Na podłodze leżał zielony dywan z Czechosłowacji, który częściowo przykrywał żółknące i sztywne linoleum. Na ścianie wisiał kilim z owczej wełny, a okno osłaniały musztardowe zasłony i białe zwiewne firany sięgające podłogi. Wszedł głębiej do pokoju i stanął przed wiklinowym fotelem, na którym jak na tronie siedziała duża porcelanowa lalka. Miała jasne włosy zaplecione w dwa warkocze, niebieskie oczy i różowawe policzki. Odziana była w jedwabną kwiecistą sukienkę, białe wiązane butki i słomkowy kapelusz; wyglądała przeciętnie, ale wiedział, że wystarczyło zdjąć z niej ubranie, by zaczęła przypominać kogoś innego.

Spojrzał kontrolnie na drzwi i sięgnął po lalkę. Zdjął z jej głowy kapelusz, rozpiął sukienkę, zsunął buciki. A na koniec rozplótł warkocze. Jasne włosy rozsypały się wokół jej smutnej twarzy, a on poczuł ukojenie.

Była piękna. Pod tą całą otoczką była doskonała. Alabastrowa, nieskazitelna, zupełnie niewinna. I absolutnie, zupełnie absolutnie

nieruchoma, mimo że tak bardzo przypominała człowieka.

Uśmiechnął się do niej i jak najdelikatniej położył ją na zielonym dywanie. Chwilę się jej przyglądał z góry, po czym usiadł na niej okrakiem. Wyciągnął dłoń i odgarnął z twarzy lalki pofalowane od warkoczy włosy; ułożył je pieczołowicie wokół jej głowy. Następnie palcami przejechał po jej policzku, po cienkiej szyi, klatce piersiowej, brzuchu. Była taka zimna i twarda. Absolutnie, zupełnie absolutnie martwa. Absolutnie, zupełnie jego.

– Co ty tu robisz? – usłyszał nagle głos.

Podniósł lalkę z podłogi i raptownie wstał.

– Ty mały chujku! – Matka stojąca w drzwiach zrobiła się purpurowa. – Ty zboku, ty!

Szybkim krokiem przemierzyła pokój i zaczęła wyrywać mu lalkę.

– Oddaj ją! Słyszysz! Oddaj!

Lecz on nie puszczał. Trzymał z całych sił, coraz bardziej przyciskając lalkę ramieniem.

Nagle usłyszał zgrzyt. Poczuł, że lalka pęka. Matka pociągnęła mocniej, a w jego rękach została tylko głowa.

Zupełnie nieruchoma głowa o martwych błękitnych oczach i spływających wokół nich blond włosach.

Wątpił, czy ktoś kiedykolwiek będzie w stanie mu ją zastąpić.

Do momentu gdy zobaczył Alicję.

Alicja Grabska była piękna. To trzeba było jej przyznać. Nie miała sobie równych. Wszystkie inne były jej marną podróbą, źle wykonaną kopią, która przypominała mu tylko o tym, czego nie miał na własność.

„Piękna bezlitosna suka” – pomyślał, znów pochylając się nad kobietą.

A-lic-ja. – Język rytmicznie, zupełnie bezgłośnie uderzył o podniebienie.

Kochał ją. A zarazem nienawidził jak nikogo na świecie.

5

Radek Turski miał jasnobrażowe krótkie włosy, może poprzetykane gdzieniegdzie siwizną, którą jednak z tej odległości trudno było

dojrzeć. Niebieskie oczy wydawały się rozbiegane, jakby myślami był gdzieś daleko. Wodził spojrzeniem wokół, lecz Korda był pewien, że mężczyzna nie widział tego, co go otacza. Szedł przed siebie. Niby nie było w nim nic nadzwyczajnego, jednak jego sposób chodzenia wydawał się nieco niepokojący. Głowa schowana pomiędzy ramionami, krótki, zwarty krok, niemal nieporuszające się ręce przyległe do tułowia. W reklamówce pobrząkiwały butelki. Najpewniej alkoholu.

– Artysta – prychnął na głos detektyw.

Osobiście nigdy nie miał zaufania do artystów. I tych wielkich, i tych mało znaczących. To, że nie do końca mieli równo pod sufitem, było bardziej niż jasne, gdy patrzyło się na ich twórczość.

Korda oparł ręce na kierownicy auta zaparkowanego przy niegdysiejszym osiedlu robotniczym w Górnym Sopocie. Przybliżył twarz do przedniej szyby. Obserwował, jak mężczyzna sunie po chodniku pomiędzy szeregowymi kamienicami z nieotynkowanej cegły przy ulicy Chodowieckiego, zatrzymuje się przed jednym z domów, wyjmuje z kieszeni spodni klucz i znika za drzwiami wejściowymi.

Detektyw obserwował Turskiego od kilku dni. Ten codziennie wychodził z domu o tej samej porze i szedł do znajdującego się w Dolnym Sopocie Studia Grafiki i Technologii Internetowych. Po ośmiu godzinach stamtąd wychodził, robił zakupy w spożywczym i zmierzał do domu. I tak każdego dnia. Nigdzie indziej nie chodził, z nikim się nie widywał, nie licząc spotkania z Alicją, które zresztą Korde wyprowadziło z równowagi. Co ona sobie myślała, umawiając się z tym gościem? Turski przecież na kilometr wyglądał na podejrzanego typa. Facet udawał. Odgrywał kogoś, kim nie był. Psi nos detektywa doskonale rozpoznawał ten rodzaj fetoru.

W tym momencie rozdzwonił się telefon. „Men. Men. Menda. Menda”.

– Co pan dla mnie ma? – odebrał Korda.

– Nie ma zgodności. To nie był włos Turskiego – powiedział Maciej Grzymała

– Hm – mruknął detektyw.

– Co pan myśli? – zapytał lekarz medycyny sądowej.

– Nic. To może nic nie znaczyć – stwierdził Oskar.

– Może. A może Turski nie jest po prostu elementem tej układanki – zasugerował Grzymała.

– Jest. Tylko jeszcze nie wiem którym. – Policjant rozłączył się.

Znów nachylił się ku kierownicy, starając się zerknąć w okna mieszkania Radosława Turskiego na drugim piętrze. Niezmiennie zakrywały je szare rolety. Grafik nigdy ich nie podciągał, więc w jego domu musiała panować ciągła ciemność. Lepiej tak mu się pracowało przy komputerze czy coś ukrywał? Co robił w willi Bergera w tym samym czasie, gdy Alicję zaprowadziła tam aplikacja? Kto wysłał mu SMS-a z bramki? Kto chciał, by po latach znów zetknął się z Grabską?

Pytania nie dawały Kordzie spokoju. Niespokojnie postukał palcami w skórzane obicie kierownicy, westchnął, po czym odpalił silnik. Przejechał pod kamienicą Turskiego powoli, zupełnie ostentacyjnie. Ostatni raz rzucił okiem na zamknięte okna, bacznie przyglądając się, czy nie dostrzeże za nimi jakiegoś ruchu, po czym z całej siły przycisnął pedał gazu.

6

Alicja cicho otworzyła drzwi. Oskar stał przy oknie, tyłem do niej. Weszła do środka. Na ten dźwięk on obrócił głowę. Uważnie na nią spojrzał i z lekkim uśmiechem znów się odwrócił do okna. Dziennikarka cicho przemierzyła gabinet, kątem oka dostrzegając tablicę pokrytą kopiami dowodów śledczych. Oparła się o parapet, z twarzą zwróconą do wejścia.

Chwilę milczeli.

– Jutro wracam do pracy – powiedziała w końcu.

Korda ze zrozumieniem pokiwał głową.

– To nie był włos Turskiego – poinformował w zamian.

– Mówiłam, że to nie on.

– Mówiłaś. Ale ten włos nic nie zmienia. To nadal może być on.

Alicja westchnęła. Zaczęła uważnie oglądać zdjęcia przyklejone do ściany. Krwawe cięcia na szyjach ofiar, mapa przerysowana z kawałków porcelany, łańcuszek znaleziony w willi Bergera. Na

nim zatrzymała się dłużej. Poczowała znajome ukłucie, ale zanim zdążyła złapać myśl, ta uleciała.

– Sprawdź to. – Podała Kordzie woreczek z zakrwawionym wacikiem.

– Co to?

– DNA Tajfuna – odpowiedziała, nadal wpatrując się w fotografię miedzianego łańcuszka.

Detektyw przejął zawiniątko. Ściągnął brwi.

– Uważasz, że to jest włos Olszewskiego?

Alicja wzruszyła ramionami.

– Po prostu to sprawdź – odparła i ruszyła do drzwi.

Oskar patrzył, jak wychodzi. Zerknął na trzymany w dłoni woreczek, na drzwi, znów na woreczek i znów na drzwi. Zirytowany, wybiegł z pokoju. Alicja szła korytarzem w oddali. Jej szpilki stukały o podłogę. Korda pobiegł za nią. Odwróciła głowę, westchnęła i skręciła do łazienki.

Nie miała sił na rozmowę. Jak miała to wytłumaczyć? Co miała powiedzieć? Że boi się mężczyzny, który był jej mężem? Że kolega z pracy Kordy ją przeraża?

Podeszła do lustra. Położyła dłonie na rancie umywalki i wpatrzyła się w swoje odbicie.

„Czasami trzeba zagłuszyć wyrzuty sumienia” – zahuczały jej w głowie słowa Radka.

Tak bardzo chciała zniknąć. W tym miejscu, w tej chwili. Po prostu przestać istnieć. Nie czuć. Nie być. Nie myśleć.

Zacisnęła dłonie na kamiennej białej misie. Jej spojrzenie było zimne jak sztylet.

Kim była?

Drzwi raptownie się otworzyły i zamknęły się z hukiem.

– Czemu nic mi nie mówisz? Czemu Tajfun? Co on ma z tym wszystkim wspólnego?! – Korda nie dawał za wygraną.

Spotkał się z jej wzrokiem odbitym w lustrze.

Kim była?

Podszedł do niej i obrócił ją do siebie przodem, by spojrzeć jej w twarz.

– Czemu mi nic nie tłumaczysz? – zapytał łagodnym głosem. – Ja zrozumieję. Słyszysz? Ja zrozumieję – szepnął.

Przejechał dłonią po jej policzku.

– Co on ci zrobił? Co?

– Nic – odparła. – To ja. To wszystko moja wina. – Uśmiechnęła się smutno. – Moja.

– Przestań! Kurwa, przestań! – Złapał się za głowę. – Nic nie jest twoją winą! Nic! – Zacisnął wargi. Jego blizna napięła się, zbielała. – Nic – powtórzył znów łagodnie.

Przyciągnął jej głowę do siebie czułym gestem.

– Nic – szeptał jej we włosy. – Nic.

Alicja nagle drgnęła. Wyrwała się z jego objęć. Cofnęła się o krok. Przyglądała się Kordzie z poważną miną.

Kim był?

– Nic – powtórzył i uśmiechnął się.

Dopadła jego ust. Zaczęła całować. Przyłgnęła do niego biodrami. Korda złapał ją za włosy, ścisnął. Nie odwracając się, sięgnął do zamka u drzwi i powoli go przekreślił.

7

Oskar zatrzymał auto przed Fundacją „Sztuka Serca”. Na dworze znów pachniało rozgrzanym, wilgotnym, wylanym na drogę asfaltem, znad którego unosiła się lekka mgiełka. Przeskoczył wejściowe schody i zadzwonił do drzwi.

Tym razem otworzył mu wysoki, szczupły mężczyzna z jasnobrązowymi, zebranymi w kitkę włosami.

– Pan Marek, prawda? – przywitał się policjant. Mężczyzna pytająco otworzył oczy. – Detektyw Oskar Korda. Byłem u państwa kilka dni temu w sprawie Rozpruwacza.

– Ach, tak! Oczywiście – Marek ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Zapraszam. – Uchylił szerzej drzwi. – Czym mogę służyć?

– Chciałem porozmawiać z panią Katarzyną – powiedział detektyw. – A skoro już pan tu jest... – Wydobył z kieszeni telefon. – Kojarzy pan tego gościa?

Mężczyzna przyjrzał się zdjęciu Radosława Turskiego. Ściągnął usta.

– Niestety, nic mi nie świta.

– Jest pan pewien, że nigdy u was nie był na zajęciach? Jako uczeń, a może nauczyciel?

– A kto to? – Marek zmrużył oczy.

– W sumie nikt. Ale kiedyś miał talent do malowania, a teraz zajmuje się grafiką komputerową, więc pomyślałem, że...

– Raczej nigdy kogoś takiego nie widziałem. – Marek raz jeszcze przyjrzał się zdjęciu na wyświetlaczu komórki.

– Okej. Dzięki – rzucił Korda i przeniósł wzrok na znaną mu już zielonooką kobietę, która wyszła mu naprzeciw. Katarzyna Sobolewska, podobnie jak poprzednim razem, miała na głowie ciężki kok zrobiony z cieniutkich dredów.

– Pan Oskar! – Wyraźnie ucieszyła się na widok detektywa. – Co pana znów do nas sprowadza? Jakaś nowa twarz? Mam nadzieję, że nie kolejnej ofiary? – Niespokojnie zerknęła na ekran smartfona.

– Nie. Tym razem to nie ofiara. Ale byłbym bardzo wdzięczny, jakby pani się przyjrzała temu mężczyźnie. Czy kiedykolwiek tu był? A może kręcił się wokół budynku? Jest uzdolniony plastycznie, więc może interesował się waszymi zajęciami, może tylko wszedł na chwilę, podpytywał? Nie wiem...

Katarzyna Sobolewska wnikliwie przyglądała się zdjęciu. Z każdą sekundą nadzieja Kordy rosła, jednak kobieta w końcu stwierdziła:

– Nie. Nigdy go nie widziałam. Myślę, że bym go zapamiętała, bo ma charakterystycznie rozwarte dziurki od nosa, takie idealne do przeniesienia na sztalugę.

Zawiedziony detektyw westchnął.

– Co? Nadal nic? – dopytała Sobolewska. – Nie wiecie, kim on jest?

– Niestety nie mogę... – zaczął Korda.

– Tak. Tak. Rozumiem. Dobro śledztwa. – Kobieta się uśmiechnęła, a wokół jej oczu pojawiła się sieć drobniuteńkich zmarszczek. – Pan pójdzie za mną. Może ja coś będę dla pana mieć.

Zdziwiony Korda podążył za Sobolewską, która poprowadziła go korytarzem do dużej sali.

– Rano przygotowywałam wystawkę prac naszych najbardziej utalentowanych uczniów. – Nie zatrzymując się, Sobolewska odwróciła głowę ku detektywowi. – Tak co kwartał, góra pół roku

rzucamy się na taką inicjatywę, wie pan, żeby zrobić przyjemność osobom, które do nas przychodzą...

Weszli do pomieszczenia o przeszklonych ścianach, przez które wpadało jasne, rozproszone światło.

– Tak? – Korda patrzył na Sobolewską wyczekująco.

– Więc przeglądałam wszystkie malunki, rysunki i tak dalej, które miałam w takim pudle, gdzie wrzucam co lepsze rzeczy.

– Yhm – niecierpliwił się detektyw.

– Nawet chciałam do pana dzwonić, ale gdzieś ta wizytówka mi wsiąkła i miałam poszukać...

Stanęli przed korkową tablicą, do której przyczepiono najróżniejsze prace plastyczne – wykonane farbami, kredkami, węglem, pastelami, a nawet gliną rzeźbiarską. Korda przeskakiwał wzrokiem z jednej kartki na drugą, starając się dojrzeć coś, co chciała mu pokazać właścicielka fundacji.

– To nie tu. – Sobolewska wyłapała spojrzenie Kordy i schyliła się nad dużym kartonem stojącym na podłodze. – Gdzieś to tu było... – powiedziała jakby do siebie, niespiesznie przeglądając rysunki ułożone jedne na drugich.

Korda zacisnął i rozprostował palce. Następnie rozciągnął szyję, raz po raz pstrykając kręgami. Starał się uspokoić.

– Mam! – ucieszyła się nagle Sobolewska.

Podniosła się znad pudła z kartką w ręku, rozejrzała się za pinezkami, po czym przypięła nimi pracę do korkowej tablicy.

Czarno-biały pejzaż przedstawiał drogę.

– To rysunek wykonany profesjonalnymi markerami dla ilustratorów – wytłumaczyła Sobolewska. – Niech pan zerknie tu. – Wskazała na dół kartki. – Te drzewka okalające wodę... od razu jak je zobaczyłam, to coś mnie tknęło. Widzi pan te krótkie, cieniuteńkie pociągnięcia? To one nadają tym choinkom ten specyficzny wygląd. Pamięta pan, jak mówiłam, że te choinki na porcelanie, którą mi pan pokazywał, to podpis twórcy?

Oskar Korda kiwnął głową. Jak urzeczony wpatrywał się w rysunek.

– Kojarzy pani, kto jest autorem tej pracy? – zapytał.

– Niestety nie. Ale mam coś lepszego. – Katarzyna Sobolewska odpięła pinezki od kartki, obróciła ją na drugą stronę i znów

przypięła pracę do tablicy. – Podpis autora.

8

„Aleksander, Sopot”.

Alicja długo wpatrywała się w podpis po drugiej stronie rysunku.

– Chyba wiem, kto to jest – szepnęła nagle i przejęta spojrzała na Korde. – Aleksander Nowicki, mój... kochanek, były kochanek... tak jakby. – Poczerwieniała. – Zresztą nieważne. Poznaliśmy się niecały rok temu. Aleks zawsze chciał czegoś więcej, ale ja... cóż, sam wiesz, jak to ze mną jest. No i ostatnio zrobił się dość napastliwy. Wydzwania. Wypisuje. A kilka dni temu nawet szedł za mną promenadą. Zaczął mnie gonić, a potem powiedział, że chciał się tylko przywitać. Strasznie się wtedy wystraszyłam. No i jest informatykiem, a więc mógł stworzyć aplikację. O Boże! No wszystko się zgadza, chociaż Aleks od samego początku przecież mi pomagał... – Zawahała się. – Sprawdził mój telefon i zdobył dla mnie informacje o właścicielu tej apki. I wyjaśnił mi różne kwestie informatyczne, które w tej sprawie mi się nie zgadzały.

Korda zmrużył oczy.

– Dobra. Może to jakiś trop. Zaraz sprawdzę gościa. Gdzie ten Nowicki mieszka?

– Przy Bema. I jadę z tobą.

– O nie, nie. Wykluczone. – Korda pokręcił głową. – Ty tu siedź i najlepiej w ogóle nie wychodź z domu, póki nie będziemy mieli sprawy.

– To jest twoim zdaniem rozwiązanie? Mam siedzieć sama w domu i czekać, aż ktoś tu po mnie przyjdzie i poderżnie mi gardło? Sama, bezbronna, bez jakiegokolwiek ochrony, której oczywiście nie udało ci się dla mnie załatwić? – Alicja ostentacyjnie zagryzła wargi.

– Cóż, starałem się, ale wiesz, jak to...

– Tak. Wiem, jak to jest. I wiem, że przy tobie będę bezpieczniejsza. Zresztą mogę być pomocna. Wiem, jak podejść Aleksa. Wiem, jak z nim rozmawiać, żeby powiedział prawdę.

Detektyw sarkastycznie się uśmiechnął.

– Jesteś marną aktorką, Ala – skwitował.
– Ale skuteczną – stwierdziła i czym prędzej wsunęła trampki na nogi.

– Nie wiem, czemu nie potrafię ci odmawiać – westchnął Oskar, gdy schodzili po klatce schodowej.

– Nikt nie umie – rzuciła Alicja.

Po chwili wsiedli do czarnej alfy Kordy i pomknęli na Bema. Zaparkowali pod barem Tapas, minęli pub Sztos i przedostali się do ostatniej z klatek szeregowej kamienicy. Następnie wdrapali się na czwarte piętro i zadzwonili do drzwi. Rozległ się ostry dźwięk dzwonka.

Drzwi otworzył półnagi młody szatyn o rozwichrzonej fryzurze i wyraźnie zarysowującym się kaloryferze na brzuchu.

– Pan Aleksander Nowicki? – Korda wyjął odznakę.

– Tak – odparł mężczyzna i pytająco zerknął na Alicję.

– Detektyw Oskar Korda. Komenda policji w Sopocie. Czy możemy chwilę porozmawiać?

– To nie jest dobry moment. – Aleks poprawił czarny ręcznik, którym był przewiązany w pasie.

– Jednak nalegam. – Korda nie spuszczał wzroku z Nowickiego.

– Wchodzimy, Aleks, czy tego chcesz, czy nie. – Alicja przepchnęła się do środka.

Za nią podążył Korda.

Nowicki ściągnął usta i z irytacją popukał palcem o framugę. Po kilku sekundach zamknął drzwi i powolnym krokiem przeszedł przez korytarz.

– O co chodzi? – Stał w progu dużego pokoju, do którego zdążyli wejść Alicja i Oskar.

– Chciałem zadać panu kilka pytań, jeśli pan pozwoli – powiedział poważnie Oskar. – Przede wszystkim: czy jest pan autorem tej pracy? – Korda rzucił na stolik kawowy rysunek drogi otoczonej drzewkami.

– Co to jest? – Nowicki skrzywił się.

– To pan mi powie.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? – Aleks wzruszył ramionami. – Jakieś bazgroły.

– Na tej pracy jest pana imię.

Nowicki prychnął.

– Imię? W sensie „Aleksander”? – zapytał z rozbawieniem.

Korda zmrużył oczy. Uważnie przyglądał się Nowickiemu.

– Zna pan tę kobietę? – Detektyw wskazał na Alicję stojącą obok z założonymi rękoma.

– Yhm – potwierdził Aleks.

– Rozumiem, że z Alicją Grabską łączyła pana relacja intymna. Tak?

– Łączyła? – Nowicki zerknął na nią. – To zerwanie, Alicjo? – Złowrogo zniżył głos.

Korda podniósł brew i powoli powiódł wzrokiem po obojgu.

– Tak czy nie? – ponowił pytanie.

– Tak – odparł Nowicki, ciągle taksując Alicję spojrzeniem. – To była relacja czysto seksualna. Żadnych głębszych uczuć. Ostre – zrobił pauzę – zwierzęce rżnięcie – zaakcentował.

– Przestań, Aleks – odezwała się Alicja. – Dobrze wiesz, że z twojej strony tak to nie wyglądało. Zawsze chciałeś czegoś więcej, czegoś, czego ja nie chciałam ci dać. A ty coraz bardziej się we mnie zakochiwałeś. Zupełnie straciłeś głowę, aż w końcu wpadłeś w całkowitą obsesję na moim punkcie. Zacząłeś mnie nagabywać, śledzić. W twoim chorym umyśle zaczęłam się liczyć tylko ja. Wykorzystałeś tę aplikację, żeby mnie zwabić, nastraszyć, pozbawić oddechu...

W tym momencie gdzieś na korytarzu z trzaskiem zamknęły się drzwi.

– Przeciąg – skwitował Nowicki.

Korda natychmiast wyjął broń z kabury.

– Kto tam jest? – Wycelował w Aleksa. – Idź przodem – wycedził.

– Ocipiałeś! – zdenerwował się Nowicki.

– Ruszaj – warknął Oskar i znów pogroził mu bronią.

– Kurwa – stęknął Aleksander, niespiesznie krocząc w stronę zamkniętych drzwi.

Korda i Grabska powoli szli za nim.

– Otwieraj – nakazał detektyw, gdy stanęli pod drzwiami pokoju na końcu korytarza.

Nowicki nacisnął klamkę. W pomieszczeniu panowała ciemność. Nagle coś się w niej poruszyło.

– Halo – usłyszeli cichy damski głos.
– Zapalaj światło, kurwa! – Korda przycisnął glocka do pleców Nowickiego.

Ten sięgnął do włącznika. Rozbłysło światło.

Na materacu w kącie siedziała naga blondynka. Patrzyła na nich przestraszonym wzrokiem, przyciskając dłonie do piersi.

– Aleks! – pisnęła. – Co tu się dzieje? Kim oni są?

Korda ściągnął brwi i, nadal mierząc pistoletem w Nowickiego, zapytał:

– Czy pani jest tu przetrzymywana? Czy ten pan ściągnął tu panią wbrew woli?

– Nie. – Blondynka wzruszyła ramionami. – Ja... ja tylko się z nim pieprzę od czasu do czasu – poinformowała, przeskakując wzrokiem po zebranych.

Detektyw zerknął kątem oka na skonfundowaną Alicję.

– Jak widzisz, Alicjo, nie mam na twoim punkcie aż takiej obsesji. Rozumiem, że nasz związek był niezobowiązujący i nie na wyłączność – podkreślił Aleks.

– Co pan robił wieczorem piątego kwietnia? – Korda nadal nie opuszczał glocka wymierzonego w stronę Nowickiego.

– Siódmego maja? Nie wiem. A co to był za dzień? – zapytał spokojnie Aleks.

– Dzień śmierci Weroniki Mazur – odparł policjant. – Licealistki zamordowanej w sopockim lesie.

– A! Byłem z Alicją – odrzekł Nowicki. – Cały wieczór pruliśmy się w tym pokoju, a potem pana koleżanka została u mnie na noc. Nie pamiętasz, Alicjo? Musisz pamiętać. – Uśmiechnął się. – Miałś wtedy potrójny orgazm, więc potem nawet rozmawialiśmy, jakie to życie jest niesprawiedliwe, że w tym samym czasie ktoś osiąga szczyt rozkoszy, a ktoś inny ginie z ręki psychopaty.

Korda uśmiechnął się półgębkiem.

– Tak było? – rzucił pytanie do Alicji.

Ta poczerwieniała. Przytaknęła.

Detektyw opuścił broń.

Obudził ją jakiś hałas. Alicja otworzyła nagle oczy, czując mocne bicie serca, które waliło tak, jakby chciało wyrwać się spod skóry. Za oknem zrobiło się już jasno. Słyszała przelatujące nieopodal mewy. W pokoju było gorąco. Pomiedzy piersiami zebrała się strużka potu.

Znów ten dźwięk.

Serce przyspieszyło.

Wstała i wyszła na korytarz.

Huk.

I drugi.

Jakby ktoś kopał w drzwi.

Najciszej jak mogła podeszła do drzwi. Pod gołymi stopami czuła przyjemny chłód kafli.

Spojrzała przez judasza.

Igor.

Stał na klatce i kopał w jej drzwi.

Odeszła kilka kroków w tył. Myślała intensywnie, co robić.

Kopnięcie.

I jeszcze jedno.

W końcu sięgnęła do zamka. Chciała go przekręcić w prawo, lecz klucz napotkał napór.

Drzwi były otwarte, zrozumiała.

Nacisnęła klamkę.

Noga Igora zawisła w powietrzu. Na jej widok uśmiechnął się czule.

– Alaaa! – rzekł przymilnie, jakby przed chwilą nie kopał szaleńczo w jej drzwi. – Zawsze najbardziej lubiłem cię taką. – Zbliżył się do niej. – Naturalnie piękną, pachnącą snem. – Zaciągnął się nią jak papierosem.

– Czego chcesz? – fuknęła.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Tak po prostu chciałem odwiedzić swoją żonę. – Naparł na drzwi, odpychając Alicję, i przecisnął się do środka.

Chwiejnym krokiem przeszedł przez korytarz. Wszedł do dużego pokoju.

Alicja zagryzła usta i, zamknawszy drzwi na klatkę, podążyła za nim.

– Ładnie się tu urządziłaś – stwierdził, rozglądając się wokół. – Zawsze miałaś dobry gust.

– Chyba nie przyszedłeś rozmawiać o moim guście?

Alicja chwyciła leżące na kanapie dzinsy i zaczęła wciągać je na siebie.

– Może tak, a może nie. – Tajfun wzruszył ramionami.

Przypatrywał się jej lubieżnie. Miał ten mętny wzrok alkoholika, który tak dobrze znała.

– Pamiętasz nasz pakt? – zapytał nagle.

Szybkim ruchem złapał ją za rękę. Odwrócił jej dłoń wierzchem do dołu. Palcem wskazującym przejechał po cienkiej bliźnie rysującej się na jej skórze.

Alicja bez słowa wpatrywała się w jego twarz.

Pamiętała. Doskonale pamiętała, choć przez lata starała się zakopać w sobie to wspomnienie...

Nauczyciel idzie przodem. Ręką odgarnia gałęzie. Wiatr szeleści w koronach drzew.

– Daleko jeszcze? – pyta.

– Idź – komenderuje Alicja. – Jeszcze chwilę.

Dochodzą na niewielkie wzgórze schowane wśród leśnych drzew.

– Cieszę się, że chciałaś się ze mną zobaczyć – mówi z ulgą Romanowski. – Po tym wtedy... Bałem się, że mnie znienawidzisz. – Wyciąga rękę w jej stronę.

Przejeżdża palcami po jej twarzy.

– Czemu miałabym cię znienawidzić? – Uczennica pyta bez cienia uśmiechu. – Bo mnie zgwałciłeś? Wykorzystałeś moją ufność? Nakłoniłeś do zrobienia czegoś złego i brzydkiego?

Nauczyciel ściąga brwi i odsuwa rękę.

Szeleszczą liście.

Coś trzaska z tyłu.

Wojciech Romanowski gwałtownie się odwraca.

– Co to ma być?! – pyta z przestrawieniem.

Nieopodal niego stoi Tajfun. W rękę trzyma grubą kij z licznymi sękami.

Z całych sił się zamachuje...

Alicja zamyka oczy. Obraz znika, lecz nie może wyciszyć dźwięku – szumu kija przecinającego powietrze, głuchego uderzania o coraz bardziej bezwładne ciało, dzikiego szelestu drzew, które są świadkiem tego, czym stali się Alicja i Igor.

– Często to wspomnienie do mnie wraca. – Tajfun usiadł na sofie. Wyciągnął nogi, które oparł na małym szklanym stoliku. – To wtedy postanowiłem, że zostanę policjantem, wiesz? – Zaśmiał się. – Władza nad życiem to wspaniała sprawa. Hmm. – Zamyślił się. – Choć nic nie równa się z uczuciem, którego doznajesz, gdy to życie zabierasz. – Spojrzał na Alicję znacząco.

– Skąd...? – wydukała. – Przecież cię odciągnęłam... – Zaczęła się cofać. – Odciągnęłam cię wtedy od niego... – Nie rozumiejąc nic, zaczęła kręcić głową.

– Gdy odbierasz komuś życie, wychodzisz z siebie. Stajesz się wszechwładny. Stajesz się niemal Bogiem. – Igor uśmiechnął się szeroko. – Ty natomiast nie jesteś Bogiem. Jesteś uciekającą zwierzyną. Jakie to uczucie, Alicja? Jakie?! – Zerwał się z miejsca, przewracając nogą wazonik stojący na stoliku.

Cofnęła się do ściany. Igor Olszewski złapał ją za szyję.

– Mam cię obronić? – szepnął.

Poczuła na swoich ustach jego oddech. Wódka i papierosy. Tak dobrze знаła ten zapach.

– Chcesz, żebym cię obronił? Chceeeeesz?! – wykrzyczał dziko.

– Kim się stałeś? – Alicja bezradnie oparła tył głowy o ścianę. – Kim? – Po jej policzku zaczęły płynąć łzy.

– Tym, kim mnie uczyniłaś – odparł zimno. – To ty mnie takim stworzyłaś! – zawył. – To wszystko twoja wina. Twoja! To, co zrobiłem matce, to, co zrobiłem Romanowskiemu, to, co się zdarzyło podczas tamtego sylwestra! – Nerwowo kiwał głową. – To twoja wina! Ty jesteś za to wszystko odpowiedzialna! – Puścił jej szyję i splunął jej pod nogi.

Chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju.

Po chwili głośno trzasnęły drzwi.

Na podłodze została gęsta plama białej śliny.

Tajfun, ubrany w ciemną kurtkę, stał odwrócony do niej plecami. Na tle czarnej wody połyskującej w świetle księżyca niemal nie było go widać. Czerwony ogień zatlił się przy jego ustach, na chwilę się rozmył i ponownie rozżarzył, gdy mężczyzna nerwowo się zaciągnął.

Ula chwiejnym krokiem podeszła bliżej i zatrzymała się kilka metrów za nim. Obcasy letnich szpilek zatopiły się w nierównym, topniejącym śniegu. Jej długie blond włosy wzlatywały w powietrze, targane przez porywisty wiatr. Przez chwilę bez słowa obserwowała unoszący się ogieniek, który rozdzielił się nagle na pół, podobnie jak plecy mężczyzny i otaczające ich drzewa. Próbowała znów złapać ostrość, ale świat nie przestawał wirować.

Niepewnie ruszyła do przodu. Miała wrażenie, że brnie w gorącym błocie. Obcasy raz po raz zagłębiały się w grząskim podłożu. Niemal wpadła na niego i w ostatnim momencie asekuracyjnie objęła go w pasie. Przyłgnęła twarzą do materiału jego kurtki, poczuła aksamitne zimno.

– Mmmm – zamruczała. – Tu jesteś.

Igor pstryknął papierosem w pustkę nocy, chwycił ją za nadgarstki i odsunął od siebie. Przyjrzał się jej. Miała na sobie czarną, obszytą cekinami sukienkę na cienkich ramiączkach. W jej rozbieganych oczach była dzikość.

– Zmarzniesz – stwierdził i zaczął rozpinać swoją kurtkę.

– Nie! – Ula podniosła głos. – Nie chcę. Ciepło mi – dodała miękko i szeroko się uśmiechnęła. – Wręcz gorąco – stwierdziła. – Zobacz!

Sięgnęła do ramiączek sukienki i, ledwo trzymając się na nogach, zsunęła je w dół, obnażając pełne piersi i sutki o szerokiej otoczce.

– Zakryj się. – Igor się skrzywił.

– Już ci się nie podobam? – warknęła Ula, chwiejąc się niebezpiecznie do tyłu. – Już cię to nie kręci? – Wulgarnie ścisnęła piersi, starając się złapać pion. – Nie kręca cię one?! Co?! Już nie

kręca. Tak. Teraz wolisz cycki tej chudej zdziry! – krzyknęła nienawistnie.

– Przestań. Jesteś pijana – odpowiedział zniesmaczonym głosem.

– I co z tego? Nigdy ci to nie przeszkadzało – wymamrotała przez łyży i zatoczyła się do przodu.

Przyparła nagimi piersiami do jego ciała. Pomimo panującego zimna ona była gorąca. Doskonale to wyczuł, gdy zaczęła wodzić rękoma po materiale koszuli opiętym na jego klatce piersiowej. Mrucząc, zjechała dłonią do rozporka jego spodni i nieporadnie starała się go otworzyć. W końcu sięgnęła za bokserki i mocno ścisnęła.

– Odsuń się – powiedział beznamiętnie Tajfun.

Ale ona nie ustępowała. Zapamiętała starała się go pobudzić.

– Co jest? – warknęła ze złością. – Cholerny impotent! – syknęła, przewracając oczami.

Igor pchnął ją do tyłu. Upadła. Na tle roztopiającej się śniegowej brei Ula w eleganckiej, opuszczonej do pępka sukience wyglądała żałośnie. Z trudem podniosła się na kolana, przeciągając dłońmi po ziemi, jakby czegoś szukała. Niemal zrobiło mu się jej żal. Nie zdążył jednak do niej podejść, bo stanęła nagle na wyprostowanych nogach. Podniosła głowę. W jej ręku mignęło szkło. Z krzykiem zaczęła biec w jego kierunku.

– Dziesięć, dziewięć, osiem... – Gdzieś niedaleko dały się słyszeć radosne, tubalne głosy.

Na niebie rozbłysły pierwsze noworoczne fajerwerki.

Igor uskoczył, a Ula Jankowska znów wylądowała w błocie. Tajfun z niesmakiem pokręcił głową, podszedł do dziewczyny i splunął w jej kierunku.

– Jesteś odrażająca – wysyczał i odszedł.

2018

1

Podobno pomiędzy piętnastym a dwudziestym piątym rokiem życia kreujemy swoją opowieść: kim jesteśmy, kim będziemy, czego tak naprawdę pragniemy. To wszystko pojawia się właśnie wtedy. Chwile doświadczanej euforii, chwile największego strachu, pierwsze pożądanie, pierwsza miłość, pierwsza strata, pierwsza prawdziwa rozpacz. To punkty zwrotne w naszej autonarracji. To one nas lepią, kształtują, a potem nie wiedzieć kiedy blakną. Ale pamięć to zwodnicza sprawa. Z biegiem lat przebiegle wydobywa z nas to, co dawno zapomniane.

Czy kiedykolwiek wracałam myślami do tamtego dnia? Oczywiście. Nieraz go wspominałam. Za każdym razem dodawałam jakiś szczegół od siebie i zamazywałam to, czego nie chciałam widzieć.

Pierwszy dotyk, pierwszy pocałunek, pierwszy seks z Igorem. Namietność, która nas ogarnęła i przyciągnęła do siebie na lata. Objawienie preradzające się w neurotyczną miłość, której trzymaliśmy się tak kurczowo, że w końcu nie mogliśmy na siebie patrzeć. Ale to było potem. A w tym wspomnieniu liczyło się przedtem. Przedtem, które kolorowałam wszystkimi barwami fajerwerków rozbłyskujących nad nami.

Nie było w tym wspomnieniu żalu w oczach Radka, nie było w tym wspomnieniu krzyku, który wyrwał nas z rozkoszy, nie było ciała dryfującego w ciemnej, zimnej wodzie. Jakbym to wymazała. Jakby nigdy tego nie było.

Ale my nie zapominamy. Nigdy. Wszystko to, co mroczne, złe i brzydkie, czai się w nas, uśpione, i wychyla w najmniej oczekiwanym momencie, jakby coś je przywołało.

– Złamałaś mi serce – mówi Radek.

Niby się uśmiecha, a jednak w jego oczach dostrzegam tamten żal.

– No co ty? – Śmieję się, lecz w brzuchu czuję małe ukłucie.

Mijają dni i nic się nie dzieje. Wracam do pracy. Szylbach nie komentuje mojego powrotu. Nie wraca też do sprawy artykułu, który mi zlecił. Jak gdyby nic się nie wydarzyło. Jak gdyby ta diabelna aplikacja nigdy nie powstała. Ale ja nie potrafię zapomnieć. Przecież my nigdy nie zapominamy.

Znów piszę o sprawach mało dla mnie ważnych. Wakacje zbliżają się wielkimi krokami, więc banalnych tematów, niewymagających ode mnie większego myślenia, nie brakuje. Największe grzechy plażowiczów, praktyczne walizki, najmodniejsze wzory paznokci, listy najbardziej pożądanym i najniebezpieczniejszymi destynacjami – trzepię i publikuję jeden artykuł za drugim. A w międzyczasie obsesyjnie patrzę na telefon, ale aplikacja milczy, jakby w zamian to ona przestała pamiętać o mnie. Zdaję sobie w końcu sprawę z tego, że brak wiadomości niepokoi mnie bardziej niż to, co miałyby się pojawić na moim ekranie.

Mariusz Kierski przechadza się po korytarzu. Niby coś załatwia, a jednak raz po raz łapię go na tym, że mi się przygląda. Ma na twarzy ten uśmiech. Uśmiech fałszywej sympatii, który napawa mnie lękiem.

Podchodzę w końcu do drzwi i zamykam je z hukiem. Nie potrafię się skupić, gdy ktoś patrzy. Ale pomimo zamkniętych drzwi niepokój nie mija.

Wieża widokowa w Gdyni, pustostan we Wrzeszczu, zatoczka w drodze na Kościerzynę, plaża nudystów w Dębku – prawdopodobnie wszędzie tam uprawiałam z kimś seks. To bardzo możliwe, nawet jeśli nie do końca wszystkie te miejsca pamiętam. Radek Turski, Tajfun, nauczyciel matematyki, czasy liceum w Sopocie, potem studia dziennikarskie w Gdańsku. Próbuję łączyć fakty. Wiem, że dotyczą tylko mnie. Ktoś usilnie chce mi przypomnieć przeszłość. I sekret, który został w niej zakopany.

Łańcuszek, myślę. Łańcuszek.

„Jaki ładny” – słyszę w głowie swój własny głos i przed oczami staje mi obraz.

Proste jasne włosy. Promienny uśmiech. Lekko skrzywiony nos, który szpeci tę ładną twarz. I biała szyja, na której połyskuje medalik.

Czy to ten sam, który znaleźliśmy w sopockiej willi? Nie jestem pewna. Nigdy mu się nie przyglądałam.

– Pewnie tani.

Tak wtedy powiedziałam i odeszłam. Poczułam się zazdrosna. To uczucie mnie zaskoczyło.

Otwieram maila, w którym Korda załączył mi kopię mapy naniesionej na porcelanę. Wpatruję się w nią nieustannie.

Żal w oczach Radka.

Miedziany łańcuszek na białej szyi.

Biała ślina na podłodze i wypowiedziane przez Tajfuna zdania: „To wszystko twoja wina. Twoja! To, co zrobiłem matce, to, co zrobiłem Romanowskiemu, to, co się zdarzyło podczas tamtego sylwestra!”.

Wspomnienie się rozrasta i gilgocze. Połyskuje w nim woda.

Raptownie wstaję.

„Czy to tam?” – zadaję sobie pytanie.

Będę musiała to sprawdzić.

Ale już wiem, że pojedę sama.

Tak długo, jak długo nie muszę, nie mam ochoty dzielić się z nikim tym wspomnieniem wyłaniającym się z ciemności.

2

Szuuuuuuu. Szuuuuuuu. Szuuuuuuu.

Skrzydła wentylatora przesuwają się ciężko tuż pod sufitem gabinetu Kordey.

Detektyw bez słowa wpatrywał się w przypięty do ściany pejzaż, wiszący pomiędzy makabrycznymi zdjęciami z miejsc zabójstw a wydrukiem mapy naniesionej na kawałki porcelany.

„Aleksander, Sopot”. Kim był? W Krajowym Systemie Informacji Policji mieli niemal tysiąc mężczyzn o takim imieniu mieszkających w Sopocie, a tych, którzy nie widnieli w bazie, musiało być co najmniej kilka razy tyle.

Oskar zacisnął pięści. Mieli imię, mieli mapę, a jednak nie wiedzieli, gdzie szukać. Jeśli to była gra, jej twórca musiał bawić się świetnie. Nieustannie byli kilka kroków za nim.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Cześć – usłyszał zachrypnięty męski głos.

Korda oderwał wzrok od tablicy i przeniósł go na Igora Olszewskiego.

– Czego chcesz, Tajfun?

– Miałeś jakiś kontakt z Alą?

Olszewski wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

– A co? Ręka cię znowu świerzbi? – Oskar zmrużył groźnie oczy.

Tajfun z sykiem zagryzł usta.

– Nie odbiera ode mnie telefonu, a podobno przed chwilą wyszła nagle z pracy.

– Skąd wiesz? Znowu ją śledziłeś? – warknął Oskar.

– Co? Nie! Nigdy jej nie śledziłem – obruszył się Tajfun. – Po prostu mam swoje źródła.

– Swoje źródła... Niech ci będzie, stary. – Korda z niedowierzaniem pokręcił głową i znów zwrócił się do ściany z przypiętymi dowodami śledczymi. – Ode mnie też nie odbiera. Wysłałem jej nawet kilka wiadomości i też nic.

– Martwię się o nią, wiesz? Bo ostatnio nie jest sobą. Ja zresztą też nie jestem. To skomplikowane – westchnął Igor i stanął obok Kordy. – Ale obiecałem jej kiedyś, że zawsze będę nad nią czuwać. I czuwam. Na swój sposób...

Spojrzał na tablicę wiszącą na ścianie. Jego spojrzenie zatrzymało się na przypiętej z boku fotografii Alicji, na której widniał czerwony znak zapytania.

– Co tu robi zdjęcie Ali?

– Pewnie obito ci się o uszy, że to ona znalazła ofiarę, licealistkę Weronikę Mazur – sarkastycznie odpowiedział Korda.

– Wiem, że znalazła ofiarę. – Tajfun cmoknął. – Ale co znaczy ten znak zapytania?

– Nie wiesz? – Korda bacznie przyjrzał się Igorowi.

– Niby czego?! Czego niby, kurwa, nie wiem?!

Oskar strzelił paliczkami, przez chwilę zastanawiał się, ile powinien powiedzieć.

– Alicja twierdzi, że to wszystko, co dzieje się wokół sprawy mordercy z sopockiego lasu, w jakiś sposób jest z nią powiązane – wyjaśnił w końcu. – Miejsca, do których wiedzie ją aplikacja, osoby,

które pojawiają się w toku śledztwa, tropy. Mówi, że to ma jakiś związek z jej przeszłością. Z Wojciechem Romanowskim, który was uczył matmy, z Turskim... – Zawiesił głos. – Z tobą – dodał twardo. Nie spuszczał wzroku z Olszewskiego.

Zaskoczony Tajfun wysoko podniósł brwi.

– I ty jej, kurwa, dajesz chodzić po mieście? – warknął i ponownie zaczął śledzić ścianę dowodów. Zbliżenia poderżniętych gardeł, ślady stóp, wymiociny...

– Mówiłem jej, że ma siedzieć w domu i nigdzie się nie wychylać, ale znasz ją. Uparła się, że wraca do pracy.

...znaleziona na miejscach zbrodni karty pamięci, kaset magnetofonowa... – lustrował tablicę Olszewski.

– W każdym razie, jeśli Alicja ma rację, to w przeszłości w głowie zabójcy pojawiła się fantazja na temat dokonania zbrodni. Popełnione zabójstwa były tylko realizacją tego, co przez lata rozrastało się w głowie tego psychologa – kontynuował swój wywód Korda.

... wydruk mapy, czarne pudełko z zieloną wstążką...

Igor Olszewski nadal przyglądał się zdjęciom przyczepionym do tablicy. Zatrzymał się na fotografii łańcuszka. Sięgnął po nią i bez ruchu wpatrywał się w zdjęcie.

– Co to?

– Znaleźliśmy to w wili Bergera. Razem z ostatnim kawałkiem mapy. – Korda wskazał na wydruk.

Tajfun zmrużył oczy i znów powiódł wzrokiem po ścianie z dowodami.

...twarz przesłuchiwanego nauczyciela matematyki, zdjęcie Radosława Turskiego, kawałki porcelany...

– A to co? – Wzrok Tajfuna tym razem zatrzymał się na wykonanym markerami rysunku drogi do lasu.

– Podejrzewamy, że mógł to narysować sprawca. Z tyłu nawet się podpisał – wyjaśnił Oskar. Igor niespokojnie zerknął na niego. – Aleksander. A ściślej: Aleksander, Sopot.

– Aleksander? – powtórzył Tajfun.

– Znasz kogoś o takim imieniu, kto mógłby mieć jakiś związek z Alicją?

Igor Olszewski zacisnął pięści.

– Nie. Nie znam – odparł hardo.

Zbyt hardo.

W tym samym momencie odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z gabinetu.

– Mmm – mruknął Korda i wybrał numer do Gustlika. – Nie spuszczaaj oka z Tajfuna – nakazał. – I daj mi znać, dokąd pojechał.

3

Alicja gwałtownie wstała, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

– Muszę wyjść – powiedziała w przelocie do szefa siedzącego u siebie i, nie czekając na jego odpowiedź, zaczęła zbiegać schodami. Znów poczuła się obserwowana. Odwróciła głowę. Na szczycie klatki schodowej stał Mariusz Kierski. Trzymał w ręku telefon i pisał coś na klawiaturze, ale jego wzrok zwrócony był prosto na nią. Na ustach asystenta Szylbacha czaił się uśmiech, który przyprawiał ją o dreszcze. Ostentacyjnie prychnęła i po chwili znalazła się na zewnątrz. Po niebie kołowały mewy, dorodnie kwitnące kasztanowce wydzielaly słodkawy zapach, po malowniczym skwerze przy 1 Maja przechadzali się spacerowicze. Wszystko pozornie było w jak najlepszym porządku, a jednak wypełniał ją niepokój. Nim wsiadła do auta, nogi ponownie się pod nią nieznacznie ugięły. Znów ktoś patrzył. Tego była pewna, lecz nie oglądała się za siebie, trzasnęła drzwiami.

„Gdzie to było?”. Starła się skupić.

Na pewno gdzieś na Kaszubach. Jakaś mała wieś nieopodal Trójmiasta. Jej matka na pewno by wiedziała. To ona ich wtedy odwoziła. Ją i Radka. Nigdy nie potrafiła odmówić żadnemu mężczyźnie, oczywiście z wyjątkiem ojca Alicji, dlatego to Turski załatwił im tę podwózkę.

Alicja chwyciła za telefon, wyszukała kontakt, ale jej palec zawisł nad zieloną słuchawką. Poczwała, że wykreca jej żołądek. Ilekroć rozmawiała z Beatą Rostocką, tylekroć miała ochotę odrąbać sobie uszy. Literalnie. Słowa matki zawsze raniły celnie i naprawdę głęboko. Doskonale wiedziała, gdzie uderzyć. Nigdy nie pudłowała.

Rzuciła telefon na siedzenie pasażera i starała się odtworzyć trasę, którą wtedy jechali. Zima. Brudne wilgotne ulice, wysokie szarzące zaspy na poboczach chodników. Na pewno jechali Sopocką. Pamiętała, że zrobiło jej się niedobrze od zakrętów, które matka pokonywała, naprzemiennie naciskając to na hamulec, to na gaz. Radek żartował, że szarżuje jak kierowca Formuły 1. Matka też się śmiała, coraz radośniej przyduszając pedały. Alicja nie znosiła tego jej śmiechu, bo nigdy nie był skierowany w jej stronę.

Co było dalej? Co dalej? Alicja nie potrafiła sobie przypomnieć, jakby droga ucięła się w sopockim lesie. Pamiętała natomiast, jak wysiedli przed murowanym domem o spadzistym dachu. Przed wejściem paliły się lampki choinkowe, a ze środka dobiegała muzyka.

– Szlag – stęknęła i znów sięgnęła po telefon.

Ignorując nieprzyjemny ucisk w brzuchu, szybko wybrała numer.

– Tak, słucham? – Matka odebrała formalnym tonem, który był przeznaczony tylko dla córki.

– Cześć – wykrztusiła Alicja.

– Hm. No proszę. Moja córka dzwoni. Czym sobie zasłużyłam na ten zaszczyt?

Alicja bezwiednie wbiła sobie paznokiec lewego palca serdecznego pod paznokiec kciuka. Sprawdzony sposób, który stosowała od lat, by bólem fizycznym rozproszyć ból zadawany jej psychice.

– Mam do ciebie pytanie – powiedziała, ignorując przytyk matki.

– Oczywiście. Bezinteresownie byś nie zadzwoniła.

Paznokiec mocniej nacisnął skórę. Wbił się w nią głęboko, niemal do krwi.

– Pamiętasz tego sylwestra, na który mnie i Radka odwoziłaś w liceum?

Matka przez chwilę milczała. W końcu odparła cierpko:

– Tak, dziecko. Pamiętam.

– Gdzie to było?

– A po co ci to?

– Gdzie, mam?

Znów chwila milczenia.

– Znów chcesz się wpakować w jakieś kłopoty? Igorek mówił, przez co ostatnio przeszłaś...

– Gdzie?! – Alicja podniosła głos.

– Ty się nigdy nie zmienisz, co? Zawsze zbuntowana, opryskliwa, bez szacunku do matki. – Beata Rostocka westchnęła. Czekwała na reakcję córki, lecz ta nie nadeszła. – Karczemki – powiedziała w końcu. – To były Karczemki. To tam przez waszą niedojrzałość doszło do tej tragedii.

Alicja rozłączyła się bez słowa. Wbiła nazwę miejscowości w Google Maps i ruszyła. Przeleciała Sopocką, przebiła się przez Karwiny i skierowała na zachód. Po niecałych trzydziestu minutach dojechała do zakorkowanego ronda w Chwaszczynie. Po chwili dostrzegła zielony znak drogowy z dwujęzyczną nazwą: „Karczemki, Karczemci”. Wjechała do miejscowości. Minęła stację benzynową, skierowała się na Dobrzewino, a potem znak poinformował ją, że wyjechała ze wsi. Zawróciła i tym razem z ulicy Gdańskiej skręciła w Jeziorną. To musiało być gdzieś tu. Stała na poboczu drogi wyłożonej ażurowymi płytami i rozejrzała się wokół. Niemal dwadzieścia lat temu to miejsce musiało wyglądać zupełnie inaczej. Na pewno nie było tych nowoczesnych domów stojących wzdłuż głównej ulicy. Pamiętała raczej pola. Rozciągające się wzdłuż i wszerz pola i stojący nieopodal lasu budynek mieszkalny, w którym odbywał się sylwester. Ruszyła przed siebie i po chwili wjechała na polną dróżkę obrośniętą dębami. Tym razem znak drogowy poinformował ją, że wjechała do Tuchomia.

– Jasny gwint – stęknęła i rozejrzała się po otaczających ją łąkach porośniętych wysokimi trawami.

Nic ten widok jej nie mówił. Zdenerwowana uderzyła dłońmi w kierownicę.

W tym momencie usłyszała dźwięk.

Przeszywający, krótki sygnał, którego z niepokojem tak długo wyglądała.

„Masz nową lokalizację” – pojawił się komunikat na wyświetlaczu.

– To tutaj? – zwrócił się Korda do Gustlika.

Przyjrzał się stojącemu tuż przy linii lasu blokowi z wielkiej płyty przy ulicy Mickiewicza w Górnym Sopocie.

– Tak. Nadal jest w środku – odparł Gustowski, poprawiając okulary. – Wjechał windą na drugie piętro.

– Okej. Czekamy. – Oskar oparł się o maskę swojego samochodu.

W tym samym momencie podjechał czarny van, z którego wysiadł postawny mężczyzna z czarnym wąsem. Podał rękę Kordzie i Gustlikowi.

– Oby się pan detektyw nie mylił – powiedział. – Bo nam łeb urwą, że znowu zabrałem chłopaków.

Korda kiwnął głową i bezwiednie przejechał palcem po bliźnie ciągnącej się po policzku.

– Nie myślę się – odparł stanowczo i wpatrzył się w drzwi prowadzące na klatkę A.

Jak na zawołanie wypadł z nich Tajfun. Gdy podniósł głowę, natychmiast spotkał się wzrokiem z Kordą. Przystanął i zacisnął pięści.

– Co tam, kolego? – Korda szybkim krokiem podszedł do Olszewskiego. – Udało ci się z nim spotkać? Kim on jest?

– Sam rozwiązuj swoje sprawy, Korda. – Tajfun splunął komisarzowi pod nogi.

Detektyw uśmiechnął się sarkastycznie.

– Zaopiekuj się panem, Gustlik – zwrócił się do Gustowskiego, dając znak funkcjonariuszom w czarnych uniformach, kominiarkach i kamizelkach kuloodpornych, którzy wyłonili się z vana, że mają kierować się za nim. Powoli, zupełnie bezszelestnie przemierzali schody na górę. Gdy znaleźli się na miejscu, Oskar odsunął się do tyłu. Jego miejsce zajął policjant z wąsem, który zaczął walić w drzwi:

– Policja antyterrorystyczna! Otwórz drzwi! Otwórz drzwi, bo wyważymy!

Po chwili zamachnął się wybijakiem taktycznym i kilkoma ruchami wyważył płytowe drzwi.

Do środka wrzucono racę dymną. Za nią do mieszkania wtargnęła ekipa antyterrorystów.

– Policja! – Po klatce poniósł się krzyk. – Łapy do góry! Łapy do góry! Nie ruszaj się! – dało się słyszeć tubalny głos jakiegoś funkcjonariusza.

– Czysto! – Wychylił się inny, dając znak Kordzie.

Ten wszedł do środka. Przeszedł korytarzem. W kuchni siedziała starsza kobieta. Jej twarz przecinały liczne zmarszczki. Siwe włosy założyła za ucho, błękitne oczy patrzyły tępo w przestrzeń.

– Gdzie jest Aleksander? – zapytał Korda. – Gdzie?! – krzyknął, gdy kobieta nie zareagowała.

Starsza kobieta w końcu przeniosła na niego wzrok, westchnęła.

– Nie wiem – powiedziała. – Syn od dawna się tu nie pokazywał.

– Kiedy ostatnio miała pani z nim kontakt?

– Przed chwilą mówiłam przecież. Jak wrócił ze Srebrzyska. Czyli dość dawno. Ze dwa lata będą. – Wzruszyła ramionami.

– Był w psychiatryku?

– Taak. Nawet dwa razy. Zdiagnozowano u niego schizofrenię paranoidalną. Jak za pierwszym razem stamtąd wyszedł, to tak dobrze się czuł, że studia nawet zaocznie zrobił, informatyczne. Jakieś kursy komputerowe porobił, choć w sumie to zawsze marzył, że policjantem zostanie i nawet przy sobie taką zabawkową odznakę lubił nosić. Potem znowu mu się pogorszyło. Słyszał jakieś głosy, szmery czy szelesty, nie pamiętam dokładnie. Omamy miał, ciągle mówił o wymierzeniu sprawiedliwości. To go zawiozłam na to Srebrzysko. I po jakimś czasie znowu się lepiej poczuł. Wypuścili go. Przez kilka miesięcy ze mną tu mieszkał. Pilnowałam, żeby lekarstwa brał, ale coraz częściej zamykał się w pokoju i czasami nie wychodził stamtąd przez kilka dni. A potem wsiąkł, przestał się odzywać. Zostawił mnie tu samą na pastwę losu... – Kobieta załamała rękę.

– Ma pani jakieś podejrzenie, gdzie mógłby...

– Nie mam. Igorowi też już mówiłam, że nie mam pojęcia, gdzie on się może podziewać.

– Panie komisarzu. Pan zobaczy... – W tym momencie do kuchni wszedł Gustlik.

Poprawił okulary i poprowadził Kordę do pokoju, którego drzwi przed chwilą wyważono.

– Miałeś, kurwa, Gustlik, pilnować Olszewskiego... – syknął Korda, wchodząc do pomieszczenia.

Zamilkł. Obrócił się powoli wokół własnej osi.

Stała tu stara sofa, biurko, ikeowska szafa, wysiedziany fotel. Normalny pokój. Taki jakich wiele. Gdyby nie ściany. Ściany pomalowane od góry do dołu cieniutkimi czarnymi kresczkami. Gęsty las otaczający lśniący staw wypełniony brzoźami złamanymi wpół.

5

„Masz nową lokalizację”.

Alicja z biciem serca wzięła telefon do ręki. Powoli wypuściła powietrze, starając się uspokoić oddech. Odblokowała.

Wiedziała, jakie miejsce chce jej pokazać aplikacja, a jednak na chwilę zawirowało jej w głowie.

Licznik tym razem był wyzerowany.

00:00. Zera przechylały się na boki, kręciły się wokół jak węże połykające swoje ogony.

„Co ja robię?” – pomyślała w panice. „Co ja robię?!”

Przeszła do kontaktów i wybrała numer Kordy. Był poza zasięgiem. Spróbowała po raz kolejny. Włączyła się skrzynka głosowa.

– Oskar – powiedziała słabym głosem. – Jestem w Karczemkach. Czterysta metrów od celu. Myślę, że to będzie ten staw z filmiku. Wysłałam ci screena i idę tam. Mam nadzieję, że ty też niedługo się tam zjawisz.

Odłożyła telefon i jak w malignie nacisnęła gaz. Samochód powoli toczył się po polną dróżką, jak po sznurku prowadzony przez GPS. Znow znalazł się na drodze wyłożonej betonowymi płytami, otoczonej teraz przez dorodne wysokie buki, których korony tworzyły zacieniony tunel. Słońce przeciskało się przez liście. Jasność. Ciemność. Jasność. Ciemność. Promienie raz po raz przemykały po jej twarzy. Sunęła wzgórzem w dół, a po chwili zaczęła się wspinać. Skręciła w lewo i w końcu podjechała pod dom stojący pod ścianą lasu.

Przyglądała mu się przez przednią szybę. Ze ścian odchodził szary tynk. Stara dachówka wypłowiwała. Biała farba, którą pomalowano okienne framugi, zbutwiała. Nad przykurzonymi brązowymi drzwiami wejściowymi nadal wisały choinkowe lampki, które lekko wirowały na coraz bardziej wzmagającym się wietrze. Jak w hipnozie wyszła w końcu z auta, zatrzasnęła drzwi i obeszała dom.

„To moja kabina, to moja machina. To moja dziedzina, zaczynaj” – w pamięci zabrzmiał jej wokal Joki z Kalibra 44, który na okrągło puszczano na tamtym sylwestrze. Niemal słyszała charakterystyczną pętlę sampli pianina, pobrzękujący kontrabas, cichy, rytmiczny dźwięk perkusji. Przez chwilę wydało jej się, że w rozbitym w poprzek oknie mignął jej jakiś kształt, ale może to tylko jej odbicie? Przystanąła i wpatrzyła się w szybę przysłoniętą od środka firaną, w której śledziła swoją postać: głowę z rozwianymi blond włosami, ramiona i pęknięcie przechodzące dokładnie na wysokości jej szyi, jak zły omen. Wzdrygnęła się i ruszyła przed siebie.

Była niemal na miejscu. Przeszła przez zapuszczony ogród i znalazła się na leśnej, opadającej w dół drodze.

– *Alicja! Ala! No weź!* – Wiatr niósł głos wyłaniającego się z przeszłości Radka, którego cień szedł tuż za nią. W górze strzelały fajerwerki. Choć nie rozświetlały nieba kolorami, wyraźnie słyszała, jak wybuchają.

– *Alicja!*

Piasek pod jej nogami był suchy i sypki. Wystające korzenie układały się w oplatające ją fale. Wysoko podnosiła nogi, by się nie potknąć.

Dostrzegła staw. Na samym końcu drogi. Przyspieszyła i po chwili znalazła się przy brzegu porośniętym trawami. Woda była spokojna, jaśniała od słońca. Kikuty drzew o białych konarach poprzecinanych szarymi kreseczkami wyrastały z niej w nieregularnym szeregu.

Martwy las.

Czy wtedy zwróciła na niego uwagę? Raczej nie. Było zupełnie ciemno. Zresztą pamiętała jedynie blond włosy dryfujące na powierzchni stawu. To one odcinały się od ciemności tamtej nocy, podobnie jak leżąca teraz na trawie nieopodal biała porcelanowa lalka wielkości kilkuletniego dziecka, nad którą stanęła Alicja. Lalka

nieruchomymi jasnymi oczami patrzyła w niebo. Wokół jej głowy niczym u Meduzy wiły się jasne włosy ułożone w fale.

– Jesteś! – usłyszała tuż za sobą męski głos.

Wiedziała, że tym razem nie wychynął z przeszłości. Był realny i przerażająco znajomy.

Powoli się odwróciła.

6

Są takie kobiety, które wciągają jak otchłań. Skaczesz i już nigdy nie wydostajesz się na powierzchnię. Zostajesz w tej zimnej, ciemnej, porośniętej mchem dziurze, a mdły zapach wilgoci to jedyne, co znasz. To jedyne, czego pragniesz.

Alicja...

To imię nieustannie wiruje w mojej głowie, szeleści w niej jak wiatr, wypełnia ją po brzegi.

A-lic-ja.

Usta Tajfuna otwierają się.

Język wygina się jak kot, rytmicznie uderza w podniebienie.

A potem powstaje zaskakująca otchłań.

Otchłań, w którą znów się rzucam jak głupiec, jak totalny ryzykant, który nie ma żadnych granic.

Czy pamiętam tamten sylwester?

Jak mógłbym zapomnieć?

Twoje blond włosy, które jaśnieją w ciemności jak stado świetlików. Twój śmiech, który zagłusza niespokojny szum wiatru kołyszącego drzewami. Twój wzrok, gdy patrzyłaś na ciało unoszące się na wodzie. Twój krzyk, pełen niedowierzania i wyrzutów sumienia.

Kim się stałaś?

Kim wtedy się stałaś?

Uśmiecham się na to wspomnienie. Mimowolnie ocieram pot z łysej skóry głowy i pędzę, by się z tobą spotkać.

By cię posiąść, obłaskawić, odzyskać.

By cię obronić.

Obiecałem ci przecież, że nigdy cię nie opuszczę.

7

– Co to za miejsce?! – Oskar Korda wpatrywał się w siwowłosą kobietę.

Oniemiała matka Aleksandra zastygła bez ruchu. Z otwartymi ustami wodziła wzrokiem po ścianach pokrytych drzewami. W końcu zatrzymała się na stawie połyskującym wśród lasu.

– Syn ciągle to rysował. Psychiatryczka mówiła, że popadł w manię. Ściany jego pokoju w zakładzie wyglądały tak samo.

– Co to za miejsce? – powtórzył detektyw.

– On nazywał to „obrazem miejsca”. – Jej twarz skrzywił dziwny uśmiech. – Tak jakby to był tylko rysunek, który powstał w jego głowie. A przecież to miejsce istnieje naprawdę, choć od tamtej pory przestaliśmy tam jeździć. I sprzedać też nie chcieliśmy, bo to tak jakby oddać komuś swój własny grób.

– Pani Mario. – Oskar zbliżył się do kobiety. – Musi pani powiedzieć, gdzie to jest. To bardzo ważne – powiedział delikatnym głosem.

Kobieta pokiwała głową i spojrzała na stojące na półce zdjęcie jasnowłosego chłopca w okrągłych okularach. Wyglądał jak aniołek.

– Karczemki. Nasz letniskowy dom.

Korda wydał rozkazy mundurowemu prowadzącemu akcję i szybkim krokiem wyszedł z mieszkania.

„Men. Men. Menda. Menda”. Gdy zbiegał schodami, rozdzwonił się jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Grzymała.

– Mamy zgodność – powiedział medyk. – To włos łonowy Igora Olszewskiego.

– Kur... – stęknął Korda i przyspieszył.

Po chwili znalazł się na dole. Nerwowo zaczął się rozglądać.

– Gdzie jest Tajfun?! – krzyknął do Gustlika.

– W aucie u mnie go zostawiłem. – Gustowski wskazał szarego opla i złapał się za głowę: – Żeż kurwa...

– Ja pierdołę, Gustlik! – wykrzyknął Korda. – Ktoś widział Olszewskiego?! – zapytał. – Komisarza Igora Olszewskiego widziałeś? – zaczął zaczepiać policjantów.

Jednocześnie wykręcił numer, ale abonent był poza zasięgiem.

– Kurwa – przeklął soczyście, wsiadając do swojej czarnej alfy.

Dziwne, jak działa pamięć. Widzimy tylko jakieś drobne szczegóły, które przysłaniają nam całość, albo całość obrazu, który zacierza szczegóły. Jak było w naszym przypadku?

Ja od zawsze widziałem wszystko. Wszystko, co dotyczyło ciebie, miało dla mnie znaczenie. Twoja sukienka, spinka, którą wpięłaś we włosy, jasny meszek na twoich przedramionach, tembr twojego głosu, każde spojrzenie, wszystkie rodzaje twojego uśmiechu, wszelkie zmiany, jakie zauważyłem w twoich ruchach. To, co dostrzegałaś w innych. To, czego zazdrościłem każdemu mężczyźnie, którego obdarzyłaś uwagą. To, jak dotykałaś, to, jak wyginałaś plecy, jak wzdychałaś, przeżywałaś, oddawałaś siebie. Rejestrowałem te detale skrupulatnie, uwieczniałem je w swojej pamięci, nie pozwalałem jej na wybiórczość. Chciałem mieć z ciebie tyle, ile tylko się da.

Wspinałem się na drzewo, które rosło nieopodal okna twojego pokoju. Patrzyłem, jak tańczysz, słuchając walkmana. To było zabawne. Podrygiwania do rytmu, którego nie było słyhać. Czasami nuciałaś, a wtedy cicho dla ciebie śpiewałem. Patrzyłem, jak odrabiasz lekcje, jak marzysz, jak zmieniasz ubranie, jak kłócisz się z matką, a potem płaczesz albo wybiegasz z domu i wściekła idziesz przed siebie. Zawsze szedłem za tobą. Czuwałem nad tobą, choć nigdy mnie o to nie prosiłaś.

I byłem niewidzialny. Dla ciebie. Jakbym nie istniał, nie miał żadnych cech szczególnych, nie był rzeczywistą postacią. Byłem cieniem. Nikim. Duchem, przez którego przechodziłaś, nie zauważając go, jak w bajkach.

To ty sprawiłaś, że stałem się sobą.

To wszystko twoja wina, Alicjo.

1999

Na niebie wybuchały fajerwerki. Czerwone, zielone, żółte, niebieskie, srebrne, purpurowe. Raz po raz rozświetlały sylwestrową noc.

– Alicja! Ala! No weź! – Radek Turski starał się ją dogonić, lecz wciąż mu uciekała.

Jego buty raz po raz ślizgały się na roztopiającym się śniegu. Nie rozumiał, jak dziewczynie udawało się utrzymać równowagę w wysokich szpilkach. Zbiegała wzgórzem pewnie i szybko, choć jeszcze niedawno ledwo trzymała się na nogach.

– Alicja! – znów za nią zawołał, starając się przekrzyczeć salwę petard.

Powoli ześlizgiwał się w dół ku stawowi.

– Alicja, do cholery!

– Daj mi spokój! – rzuciła w przestrzeń, nie zatrzymując się.

Czuła się doskonale. Myślała klarownie i jasno. Nigdy bardziej nie czuła się sobą. Narkotyk wyostrzył jej zmysły, dodał siły, sprawił, że była niezwyciężona.

Na drodze pojawiła się postać. Zdziwiona Alicja zatrzymała się i patrzyła, jak ta osoba się do niej zbliża. Niebo znów eksplodowało kolorami. Rozpoznała łysą, kształtną czaszkę i sportową sylwetkę.

– Tajfun! – ucieszyła się. – Co ty tu robisz? – Zaśmiała się.

– Alicja! – dało się słyszeć za jej plecami.

Po chwili Radek znalazł się tuż obok nich.

– Co cię opętało? – zapytał, sapiąc.

Próbował złapać oddech.

– Nic mnie nie opętało. – Wzruszyła ramionami. – Prosiłam, żebyś dał mi spokój.

– Ala, porozmawiajmy – poprosił Radek. Zerknął na Tajfuna. – Sam na sam, jeśli można – zaakcentował.

– Mów – stwierdziła Alicja. – Ja przed Igorem nie mam nic do ukrycia.

Tajfun uśmiechnął się. Ostentacyjnie podniósł brwi, patrząc wyzywająco na Radka.

Radek go zignorował. Zwrócił się do dziewczyny:

– Nie wiem, co ostatnio się z tobą dzieje. Nie poznaję cię.

– Może w ogóle mnie nie znasz? – Skrzywiła się.

– Bo nic mi nie mówisz.

– Nie zrozumiałbyś.

– Ale czego?

– Niczego. To już nieważne.

– Jak to?

– Tak to! – ostro rzuciła Alicja. – Nie chcę już z tobą być.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu – odparła. – Teraz chcę być z Tajfunem. – Zrobiła krok w stronę Igora.

– Z tym śmieciem? – warknął Radek.

Igor Olszewski wymierzył cios. Radek się zachwiał. Przyłożył rękę do krwawiących ust.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Powodzenia – rzucił i zaczął wspinać się po wzgórzu.

Alicja patrzyła za nim bez słowa, a gdy zniknął wśród drzew, chwyciła Tajfuna za rękę i ze śmiechem pociągnęła go za sobą w stronę otaczającego ich lasu.

Oparła się o drzewo. Tajfun patrzył na nią z uwielbieniem, aż w końcu dopadł jej warg. Podciągnął do góry czerwoną sukienkę. Nie miała rajstop ani majtek. Wszedł w nią szybko, jakby się bał, że ucieknie. W jej nagą skórę rytmicznie wbijała się ostra kora.

2018

1

– Jesteś! – tuż za nią odezwał się męski głos.

Odwróciła się powoli.

Bardzo powoli.

Mężczyzna miał brodę, a na głowie czarną czapkę z daszkiem. W prawej ręce trzymał dwunastocentymetrowy nóż o rękojeści ze sztucznego tworzywa.

– Widzisz mnie? – zapytał nerwowo.

– Widzę – powiedziała cicho.

– Widzisz – powtórzył. – Ale nadal mnie nie kojarzysz. – Pokręcił głową.

Jego niebieskie oczy były jasne i przejrzyste.

„Mieliśmy iść do mnie, ale nie zdołaliśmy tam dotrzeć” – w jej głowie rozbrzmiał jego śmiech. „Byłaś zbyt napalona. Nie pamiętasz?”.

– Jesteś mężczyzną, którego spotkałam pod bramą – stwierdziła. – Mężczyzną, którego poznałam w klubie...

– Nie mężczyzną, którego poznałaś w klubie – westchnął. – Mężczyzną, którego musisz sobie przypomnieć. – Zmrużył oczy, zaciskając palce na trzonku noża.

Sopocki klub Trzy Siostry pęka w szwach. Głośna muzyka, śmiechy, rozmowy, krzyki. Wszechogarniający gwar, w którym paradoksalnie Alicja czuje się bezpiecznie. Nie umie ostatnio wysiedzieć w ciszy. Cisza kojarzy jej się z zapowiedzią bólu. I choć nie musi już się obawiać Igora, jest jak pies Pawłowa – przedłużający się spokój sprawia, że robi się nerwowa.

Zerka na ciemnowłosą przyjaciółkę, tańczącą na stole stojącym na antresoli z różowych desek. Ewa Damięcka w obcisłej sukience podkreślającej jej obfity biust przyciąga wzrok facetów znajdujących się na parkiecie. Alicja jej zazdrości. Nie wie, gdzie podziła się jej

pewność siebie i czy kiedykolwiek ją odzyska. Tak czy siak, zrobiła dziś pierwszy krok. Dziś na sali rozpraw zawańczyła o siebie. Uśmiecha się na tę myśl i zaczyna przeciskać się do baru.

Choć drzwi wejściowe są szeroko uchylone, w lokalu panuje duchota. Alicja czuje, jak pomiędzy piersiami spływa jej kropla potu. Przepycha się do przodu i staje w drugim rzędzie obok jakiegoś mężczyzny o jasnej brodzie. Ten zerka na nią kątem oka. I raz jeszcze.

– Cześć! – mówi z dziwnym wyrazem twarzy.

– Cześć – Alicja odpowiada, lekko się uśmiechając.

Od alkoholu trochę wiruje jej w głowie, ale nie ma dość. Dziś pije do oporu.

– Co u ciebie? – brodacz zagaduje.

– Dobrze – kobieta przekrzykuje hałas. – Nawet bardzo dobrze. – Uśmiecha się. – Dzisiaj się rozwiodłam! – Zbliża głowę do jego ucha.

– Serio? – mężczyzna dziwi się.

– Seeerio, seeerio. – Alicja z uśmiechem przeciąga głoski.

Odruchowo liże górną wargę. Ależ jest spragniona.

– W takim razie muszę postawić ci drinka.

– Nie odmówię. – dziennikarka przekrzywia głowę i wyciąga do niego dłoń: – Alicja – przedstawia się. – O, chodź, pchamy się! – Ciągnie mężczyznę za rękę.

Po chwili piją shoty. Jeden za drugim. Jeden za drugim. Za ich plecami przewijają się klubowicze, ktoś wali ich łokciem, ktoś na nich wpada, ktoś próbuje wcisnąć się pomiędzy nich. Głośna muzyka, pot, śmiechy, gwar.

– A ty? – Alicja w końcu pyta. – Czym się zajmujesz? – Patrzy odruchowo w bok.

Ewa dalej tańczy na stole, wyciąga ręce do góry. Po obu jej stronach dreptają jacyś wpatrzeni w nią faceci. Każdy z nich próbuje zwrócić na nią swoją uwagę. Spotykają się wzrokiem. Ewa szeroko się uśmiecha, wskazuje na stojącego obok Alicji mężczyznę, podnosi kciuk w górę.

„Bierz go” – Alicja czyta z jej ust.

Prycha z rozbawieniem. Odwraca się do mężczyzny. Ten coś tłumaczy, ale kobieta niespecjalnie kojarzy, o czym mówi. Ma dość

ładne, jasne oczy. Chyba ładne, bo jego twarz zaczyna się jej trochę rozjeżdżać.

– Chodź, idziemy – przerywa mu i znów ciągnie go za rękę.

Na dworze jest przyjemniej. Chłodniejsze powietrze muska jej ramiona.

– Idziemy do ciebie czy do mnie? – pyta dziennikarka. Obcas jej buta przechyla się w bok, Alicja chwije się i instynktownie łapie mężczyznę pod rękę. – Albo nie! Mam lepszy pomysł!

Przebiegają przez ulicę Powstańców Warszawy i znajdują się przy Morskiej.

– Tutaj. – Alicja wskazuje otwartą bramę i ciemne podwórko. Po chwili podciąga sukienkę i opiera się nagimi pośladkami o ścianę kamienicy.

– Poranisz się. – Mężczyzna uśmiecha się, rozpinając rozporek.

– To nic – mówi. – Lubię tak.

2

Tajfun minął rondo w Chwaszczynie i zjechał w stronę Dobrzewina. Karczemczy – po chwili odczytał znak. Jak dobrze, że matka Alicji do niego zadzwoniła. Zresztą jak po każdej rozmowie z córką. Od lat Igor był jej powiernikiem. Traktowała go jak syna, jak jedyne dziecko, które nigdy jej nie zawiodło.

Ulica Gdańska otoczona była żółtymi barierkami, za którymi ciągnęły się pola. Minął stację benzynową i skręcił w lewo w Spacerową. Podjechał pod stromą górkę, minął szkołę podstawową i sunął wzdłuż jednorodzinnych parterowych domów otoczonych bujną roślinnością. Czy to tu? Nie rozpoznawał tego krajobrazu kojarzącego mu się z małymi toskańskimi miejscowościami. Ale w tamtym czasie ciągle był upalony. Nie pamiętał nawet, kto go podrzucił na tamtego sylwestra. Z czasów liceum pamiętał przede wszystkim Alicję. Jej twarz, jej ciało, jej ruchy, jej uśmiech, jej smutek. Zawsze liczyła się tylko ona.

– Kurwa! – zawył, pędząc przed siebie. – Gdzie to jest? Gdzie?!

Gorące powietrze wpadało przez otwarte okno do środka samochodu. Nawet jazgot silnika nie zagłuszał cykających wokół

świerszczy. Drzewa kiwały się na wietrze. Grupa stojących na łące krów spokojnie przeżuwała trawę.

Dojechał do skrzyżowania. Spojrzał na polne dróżki ciągnące się w obie strony. Znak po lewej wskazywał Tuchom, znak po prawej – Warzno.

– Ja pierdołę – jęknął. – Gdzie ja jestem? – Zatrzymał się i gorączkowo starał się przypomnieć sobie drogę.

W końcu skręcił w lewo i wcisnął mocno gaz. Piasek posypał się spod kół. Auto zaczęło podskakiwać na wybojach, nieustannie myszkując na boki.

„Jadę do ciebie, Ala” – pomyślał Tajfun. „Muszę cię obronić. Muszę cię odzyskać. Musisz znowu być moja”.

3

– Pamiętasz? – spytał zimno. – Gdy skończyliśmy, obciągnęłaś sukienkę, rzuciłaś „dzięki” i odeszłaś w swoją stronę. Choć mi się oddałaś, choć, kurwa, zostawiłaś na tej cholernej ścianie swoją krew, nadal mnie nie widziałaś! I nadal, kurwa, nie wiesz, kim jestem! – krzyknął, wyciągnął przed siebie nóż i niespodziewanie znalazł się tuż obok niej.

Alicja odskoczyła w tył. Zrobiła kilka kroków w prawo. Mężczyzna podążył jej śladem. Pobiegła w lewo. Mężczyzna ze śmiechem powtarzał jej ruchy.

– A przecież ja zawsze cię widziałem! Widziałem wszystko, czego nie powinienem był widzieć! – parsknął złowieszczym śmiechem. – Wszystko – wycodził. – Wszystkie szmery, wszystkie pękające patyki, wszystkie mijające cię twarze, wszystkie szeleszczące liście, które kiedykolwiek przyprawiły cię o gęsią skórkę. To byłem ja! Byłem we wszystkich tych miejscach, które sama mi pokazałaś, we wszystkich tych miejscach, które ja pokazałem tobie.

Twarz mężczyzny wykrzywił szaleńczy grymas.

Alicja zacisnęła oczy, a z ciemności wychynęły obrazy.

Mężczyzna kryjący się na jej podwórku, mężczyzna stojący pod fryzjerem we Wrzeszczu, mężczyzna siedzący na turystycznym krzeselku przy leśnej zatoczce, mężczyzna pod bramą jej kamienicy,

mężczyzna pod ścianą klubu Tan, mężczyzna, który ciągle migał jej w tłumie. Teraz we wszystkich tych wspomnieniach podnosił na nią przejrzyste jak woda spojrzenie i patrzył jej prosto w twarz.

Otworzyła powieki.

– Zaczynasz kojarzyć, co? Pamięć to podstępna suka. Bardzo wybiórcza. Głęboko ukrywa przed nami to, na co pozornie nie zwracamy uwagi. A ty nigdy nie zwracałaś uwagi na nikogo poza sobą, co? – Mężczyzna znów zbliżył się o krok.

Alicja zaczęła się rozglądać w panice. Z trzech stron otaczały ją wysokie trawy wyrastające z brzegów nieregularnego stawu.

„Jak tu się znalazłam? Czemu sama zapędziłam się w tę pułapkę?” – myślała gorączkowo.

– Zastanawiasz się pewnie, jak to się stało, że na własną prośbę znalazłaś się w tej nieco ryzykownej sytuacji, co? – Mężczyzna uśmiechnął się lodowato. – Zastanawiasz się pewnie też, czy tamte dziewczyny były tak głupie jak ty – prychnął. – Odpowiedź brzmi tak: na pewno nie były mądrzejsze. – Zaczął chichotać, jakby opowiedział najlepszy żart, i nagle zupełnie spoważniał. – Magdalena Wirewicz łatwo dała się wkręcić w aplikację. Zresztą sam jej o niej powiedziałem. Kiedy zobaczyła mnie w tym lesie, nawet się ucieszyła. Od kiedy poznaliśmy się w fundacji, chyba lekko się we mnie podkochiwała. Nie musiałem jej nawet zmuszać, żeby się położyła. Nie wiem, czy w ogóle miała świadomość, że wyciągam nóż. To był ułamek sekundy, gdy zrozumiała, że umiera. Z tą drugą było trudniej. Była harda i z początku zupełnie niezainteresowana moją apką. Co chwilę wyskakiwała jej reklama w telefonie, a jednak nie zechciała spróbować. Więc złowiłem ją na inny haczyk. Podrzuciłem aplikację kolesiowi, w którym się bujała. – Uśmiechnął się lubieżnie. – Ale gdy znalazła fragment mapy, to wpadła po uszy. Werka tak jak ty, Alicjo, lubiła ryzyko. To właśnie ją napędzało. – Mężczyzna znów zbliżył się o krok. Alicja się cofnęła. Suchy patyk pękł pod jej ciężarem. – Ale gdy poczuła na szyi ostrze, zaczęła współpracować i pokornie położyła się na ziemi. Może myślała, że chcę ją zgwałcić? Może słyszała, że z psychologami tak trzeba? – Wzruszył ramionami, jakby nadal się nad tym zastanawiał. – W każdym razie poszło łatwiej, niż przypuszczałem.

Mężczyzna zrobił kolejny krok w jej stronę, a ona cofnęła się i weszła do stawu. Woda wlała się jej do butów. Powinna uciekać. Przec do przodu. Jak taran. Przecież świetnie biegła. Ale była jak otępiała. Strach ją obezwładnił, otoczył gęstą chmurą.

Wiatr znów się wzmógł. Otaczające ich drzewa wygięły się na boki. Liście szaleńczo szeleściły. Ten dźwięk mącił jej myśli.

– Proszę... – wydukała. – Zrobiłeś swoje. Tamte dziewczyny nie żyją. Wystarczy.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem. Głośnym, tubalnym. Jego głos podniósł się echem po wodzie.

– Ty nadal nic nie rozumiesz, co? – Wyzywająco spojrzał jej w twarz. – One nic nie znaczyły. Były tylko twoimi marnymi kopiami, były jedynie zapowiedzią tego, co ma nastąpić.

Alicja zaczęła niespokojnie kręcić głową. Mężczyzna podniósł wyżej nóż, zaczął nim kręcić ósemki.

– A tę finkę? Poznajesz? Tajfun chyba miał do niej jakiś sentyment, więc to właśnie nią poderznąłem gardła tamtym dziewczynom. A wiesz, skąd ją mam? Zabrałem ją z waszego domu. Waszego... Jak dziwnie to brzmi. Ty i Tajfun. Ty i ten śmieć. Kto by pomyślał, że tyle lat będziecie razem, że tyle lat będziecie mieszkać pod jednym dachem. Hmm. Czasami przyglądałem się wam, gdy spaliście. Nieraz byliście tak blisko, że aż to bolało. Dwa splecione ciała... A nieraz taaaak daleko, że biodrami dotykaliście brzegów łóżka. Nie powiem, to właśnie te noce lubiłem najbardziej. No, nie rób takiej miny. Przecież tylko patrzyłem. Choć dobrze cię rozumiem. Sam bym nie chciał, żeby ktoś patrzył, jak śpię... taki bezbronny, zupełnie pozbawiony maski. A wiesz – mężczyzna przyłożył na chwilę dłoń do ust – lubiłem też kłaść się na twojej połowie. Nie no. Znowu ta mina. Nie było cię wtedy obok, choć wyobrażałem sobie oczywiście, że jesteś. Układałem się tak jak ty, dokładnie w tym niewielkim zagłębieniu, które przez te lata twoje ciało zrobiło w materacu. To stamtąd zabrałem twój włos łonowy. Jasny, kręcony, delikatny. Pięknie pachniał. Wiedziałem, że kiedyś się przyda. Musiałaś się zdziwić, gdy znaleziono go w gardle ofiary, co? Twój strach musiał sięgnąć wtedy zenitu. – Mężczyzna zaczął się śmiać. – No nie mów, że nie domyślili się, że to twój. – Urwał

śmiejąc i bacznie się przyjrzał Alicji. – Myślałem, że ten detektywik ze szramą ma większą intuicję – westchnął.

– Podobno to był włos mężczyzny – odezwała się Alicja.

Czuła, że w końcu się budzi z odrętwienia.

– Słucham?

– To był włos mężczyzny. Tak stwierdził genetyk. Nie ma opcji, by się pomylił. Musiałeś więc wwąchiwać się we włos Tajfuna. – Alicja roześmiała się głośno.

Po twarzy mężczyzny przemknął cień. Podniósł wysoko finkę i wrzasnął:

– Milcz, suko! To nieistotne. Przypomniałaś już sobie, kim jestem? No kiiiiim?!

Ziemia była zimna i lepka. Przyłożyła do niej policzek, brzuch, nogi. Przyległa do niej cała. Nie dbała o to, że się pobrudzi. Było jej wszystko jedno. Wokół niej świszczały fajerwerki. Roztopiający się śnieg barwił się kolorami. Las głośno huczał nad jej głową. Wiatr musiał się wzmóc, choć tu na dole było spokojnie, zupełnie bezwietrznie, jak w kokonie.

– Jesteś odrażająca! – Słowa Tajfunu bębniły w jej głowie, powoli tracąc znaczenie.

Choć z oczu Uli ściekały łzy, zachciało jej się śmiać. Była żałosna. Igor miał rację. Była marną podróbą Alicji, może dlatego on w ogóle zwrócił na nią uwagę. Nawet nie udawał, że było inaczej, choć Ula nieustannie sobie wmawiała, że się myli.

– Alicja – wypowiedziała.

Język Uli dwukrotnie prześlizgnął się po podniebieniu.

Nawet jej imię brzmiało jak magia.

Dziewczynie zdawało się nawet, że nieopodal usłyszała jej perlisty śmiech.

Nagle sobie o czymś przypomniała. Lewą ręką wymacała opadający pomiędzy obojczykami łańcuszek. Nawet nie był złoty, zwykły miedziany łańcuszek z najprostszą zawieszka, który Igor znalazł na plaży i zawiesił na jej szyi. Ula wielokrotnie wspominała ten gest. Uznała, że znaczył dużo więcej, niż znaczył naprawdę.

Tajfun... Kochała się w nim od samego początku liceum. Głośny, wesoły, postawny. Zawsze szedł na całość. Czowała się zaszczycona, gdy na jakiejś imprezie wziął ją w łazience. Oszukiwała się, że od tej pory są parą, ale tak naprawdę nigdy nią nie byli. On widział tylko ją.

Tylko ją.

Alicję.

Zacisnęła pięści. W lewej ręce wyczuła coś ostrego. Przez chwilę zapiekły ją palce. No tak, przypomniała sobie. Wciąż trzymała w dłoni znaleziony na ziemi kawałek szkła. Co chciała zrobić,

rzucając się z nim na Igora? Sama nie była pewna. To był instynkt. Instynktownie chciała bronić resztki swojej godności, ale przecież z niej już nic nie zostało.

Była odrażająca. Była nikim.

Fajerwerki powoli ustawały. Rozbłyskały jeszcze w oddali, ale w końcu zrobiło się ciszej. Liście wokół szeleściły teraz mocniej i odważniej, jakby zbliżał się kataklizm. Odnajdowała w tej myśli jakieś dziwne ukojenie. Szelest pieścił jej głowę, muskał jej skórę, niósł początkowo trudne do wychwycenia dźwięki. Powoli zaczęła je jednak rozpoznawać. Stawały się coraz głośniejsze, wypełniały jej umysł:

„In your head, in your head
Zombie, zombie, zombie-ie-ie
What's in your head, in your head
Zombie, zombie, zombie-ie-ie, oh”.

Zombie The Cranberries. Lubiła tę piosenkę. Co tu robiła ta muzyka? Co robiła wśród tych drzew, nad tym zmarniałym stawem wypełnionym chorymi drzewami? Martwy las... Tak nazywała te stojące w wodzie kikuty brzoź. Nagle zapragnęła być tak samo martwa jak te drzewa. Też chciała zniknąć pod taflą wody.

Dźwignęła się z ziemi i usiadła. Spojrzała na trzymane w dłoni szkło. Było jasne, cienkie i ostre. W sam raz, by dobrze skaleczyć.

„Du, du, du, du”.

Podśpiewywała w takt muzyki, którą nieustannie produkował jej mózg. Przeciągnęła szkłem po przedramieniu. Z dołu do góry. Mocno przyciskając. Przełożyła szkło do drugiej dłoni. Znow przeciągnęła nim po skórze.

Ściągnęła but i z wysiłkiem rzuciła nim przed siebie. Drugi już wcześniej spadł jej z nogi. Wstała i, chwiejąc się, podążyła w stronę stawu.

Weszła do wody.

Nic nie czuła.

Ani zimna, ani wilgoci. Nic.

Tylko wzmagający się szelest, który prowadził ją do przodu.

2018

Policyjne radiowozy bezgłośnie mknęły ulicą. Promienie majowego słońca prześlizgiwały się po szybach i karoseriach. Zapalone niebieskie koguty były niemal niewidoczne w dziennym świetle.auta zjechały przed stacją paliw i zaczęły podskakiwać na betonowych płytach na drodze. Gwałtownie zatrzymały się na podjeździe domu. Jak na rozkaz równocześnie otworzyły się ich drzwi. Funkcjonariusze wyskoczyli ze środka. Z bronią w ręku otoczyli budynek. Weszli na ganek. Wyważyli drzwi. Uważnie rozeszli się po pomieszczeniach.

W korytarzu znaleźli policyjny mundur. Gabardynowa, błękitnoszara czapka miała daszek z czarnego plastiku. Najpewniej, jak cały strój, została zakupiona w sklepie z karnawałowymi kostiumami. Pierwszy pokój był niemal pusty. Na drewnianej podłodze leżał jedynie stary materac nakryty kocem w kratę. Tym razem szarych ścian nie pokrywały rysunki stawu, tylko zdjęcia. Liczne fotografie: czarno-białe i kolorowe, małe i duże, stare i nowe, przybliżenia i oddalenia, profilem i *en face*, same oczy, usta, nos, szyja, twarz, sylwetka. Wszystkie pokazywały tę samą osobę: idącą, jedzącą, tańczącą, pijącą, biegnącą, śpiącą, uprawiającą seks pod ścianą, drzewem, na piasku, w parku, w samochodzie. Proste blond włosy, grafitowe oczy, smukła sylwetka. W kolejnym z pokoi odkryli lalki. Porcelanowe lalki. Nowe i stare. Uśmiechnięte i smutne. Wszystkie nagie, o jasnych włosach i niebieskich oczach. Siedzące w każdym kącie, na krzesłach, kanapie, szafkach i szkrzyniach. W piwnicy natknęli się na piec, w którym, jak się potem miało okazać, zabójca spalił rzeczy osobiste ofiar, i na maski. Dziesiątki wypalonych z porcelany masek, mniej lub bardziej udanych, rozbitych i całych, leżących na dużym, zbutwiałym stole. Wyglądało to niczym po wielkiej zabawie na ulicach w Rio.

Oskar Korda biegł w tym czasie leśną ścieżką w dół. Skóra na jego policzkach i odkrytych ramionach wibrowała, napięte mięśnie zaciskały się. Wokół niego po lesie rozpierzchnęli się policjanci, ale

on nie zwracał na nich uwagi. „Wysłałam ci screena i idę tam. Mam nadzieję, że ty też niedługo się tam zjawisz”. W głowie pobrzękiwał mu głos Alicji. W oddali dostrzegł powiewające na wietrze blond włosy. Patrzył tylko na nie. To one stały się jego drogowskazem.

Był już blisko. Bardzo blisko. Lecz sprawca morderstw był bliżej. A w ręku trzymał nóż, którego ostrze połyskiwało. Alicja stała w wodzie. Prześlizgiwały się po niej malutkie fale, które rozbijały się o białą korę kikutów martwych brzóz.

Doszedł go krzyk:

– Kim jestem? Kiiiiim?!

Alicja cofnęła się o krok. Zapadła się w wodzie po pas. Niebezpiecznie się zachwiała, ale złapała równowagę. Mężczyzna zbliżył się do brzegu i nagle podniósł nóż. Wysoko, jakby szykował się do ataku.

Korda zatrzymał się w pół kroku. Dostrzegł na ciemnej czapeczce napastnika przemieszczającą się czerwoną malutką plamkę. Odnalazł wzrokiem strzelca. Potwierdzająco kiwnął głową.

– Kim jestem? Kiiiiim?! – wrzeszczał mężczyzna w czapeczce, a szelest drzew nagle zamarł.

– Jesteś chujem – wycedziła Alicja.

Spojrzała w oczy Kordzie. Za nim dostrzegła nadbiegającą postać spóźnionego Tajfunu. Ten nerwowo wymachiwał bronią, jakby to mogło przyspieszyć jego ruchy.

Morderca niespokojnie drgnął, zrobił krok w jej stronę. W tym momencie powietrze przeszył dźwięk strzału, który poderwał z gałęzi drzew wszystkie ptaki.

Zaczęły kołować nad stawem.

Alicja odchyliła głowę do tyłu. Patrzyła w niebo. Na ptaki. Na czubki kołysanych wiatrem świerków. Na białe chmury sunące nad nią.

Starła się nie myśleć o ocierającym się o nią ciele przyjaciółki, które dryfowało kiedyś w tej wodzie.

Starła się nie myśleć o leżącym na brzegu mężczyźnie, którego krew rozlewała się po suchych, pokrywających ziemię gałązkach. O mężczyźnie, na którego nos włożyła w myślach okulary w okrągłych oprawkach, o mężczyźnie, któremu w myślach odjęła

brodę. O mężczyźnie, którego imię natrętnie zaczęło brzęczeć w jej głowie.

Aleksander Jankowski.

Olek.

Brat Uli.

1999

1

– Alicja! Ala! No weź! – nawoływał Radek Turski.

W górze, rozświetlając niebo, strzelały fajerwerki.

– Alicja! Zatrzymaj się!

Radek poślizgnął się na roztopiającym się śniegu. Zaparł się nogami i przytrzymał się dłonią, zabezpieczając się przed upadkiem.

– Kurwa – syknął, podnosząc się i strzepując z rąk wilgoć.

Olek Jankowski przystanął bez trudu. Jego trapery idealnie sprawdzały się w taką pogodę. Począł, aż nowy się ogarnie, i ruszył za nim. Alicja się oddalała. Trzeba było przyznać, że była szybka. Nie to, co ta łajza tutaj. Olek najchętniej by go minął. Nie lubił tracić Alicji z oczu. Ale na tym odcinku drogi nie miał jak go wyminąć, by nie zwrócić na siebie uwagi.

Powoli schodził w dół. Alicja się zatrzymała. Olek dostrzegł obok niej Tajfun. W jego łysej czaszce odbijał się księżyc. Radek powoli się do nich zbliżał. Olek rozejrzał się wokół. Oceniał sytuację i postanowił podejść do grupy od strony drzew. Tu śnieg był bardziej zwarty i skrzypiący. Trapery Olka raz po raz się w niego zapadały. Na szczęście petardy zagłuszały jego kroki.

– Mów. Ja przed Igorem nie mam nic do ukrycia – doszedł go głos Alicji.

– Nie wiem, co ostatnio się z tobą dzieje. Nie poznaję cię – stwierdził Radek.

– Może w ogóle mnie nie znasz? Dlatego nie chcę już z tobą być.

– Tak po prostu?

– Teraz chcę być z Tajfunem.

Alicja wzięła pod rękę Igora, a serce Olka zaczęło walić. Zaciśnięła dłonie w pięści.

– Z tym śmieciem? – warknął Radek.

– Z takim śmieciem! – powtórzył cicho Olek, obserwując, jak Tajfun rzuca się na Radka i z całych sił popycha go na brejowaty

śnieg.

– Powodzenia. – Turski zerwał się na równe nogi i odwrócił się do nich plecami.

Olkowi wydało się, że ręką otarł z oczu łzy. Radek zaczął się od nich oddalać.

– Chodź! – Alicja złapała Tajfuna za rękę i oboje popędzili w dół, roześmiani.

Olek wyszedł zza drzew i też zaczął schodzić w stronę stawu. Dostrzegł, jak Grabska i Olszewski znikają za ścianą lasu na drugim brzegu. Kolejna salwa fajerwerków rozgorzała nad wodą, barwiąc ją kolorowymi, drobnymi punkcikami.

Jankowski przystanął. Nad brzegiem mignęła jakaś biała plama. Przyjrzał się uważnie. Na konarze przy stawie siedziała Ula. W sumie z tej perspektywy można byłoby pomyśleć, że to Alicja. Podobne blond włosy, jasna skóra. Ale nie. To nie była Alicja. Zdecydowanie jego siostra nie dorównywała jej urodą. Ciekawe, czy Ula miała świadomość tego, co w tym momencie wyprawiał jej ukochany Igorek z jej najlepszą przyjaciółką, skrzywił się Olek.

Usłyszał śmiechy i podążył za dźwiękiem. Przeciął drogę i wszedł do lasu po śladach odcisniętych w śniegu. Przystanął za jednym z drzew i wychylił ostrożnie głowę.

Tajfun wbijał się rytmicznie w Alicję. Oboje dyszeli.

Olek skupił wzrok. Starał się wydobyć z ciemności jak najwięcej szczegółów. Wodził po pośladkach dziewczyny ocierających się o kore, patrzył, jak Igor zaciska dłoń na jej piersi, jak Alicja odchyła do tyłu głowę, jak obnaża nagą, nieskazitelną szyję. Nie pierwszy raz widział ją w akcji, ale za każdym razem nie mógł się nadziwić temu, jak niewinnie wygląda, robiąc wszystkie te brudne rzeczy.

Chyba to najbardziej go w niej fascynowało.

Tajfun przeciągle stęknął, wbił się w dziewczynę jeszcze raz i przystanął. Spojrzał na Alę z uwielbieniem. Olek doskonale znał ten wzrok. Widział go wielokrotnie. Znów zacisnął pięści i bezszelestnie schował się za drzewem, pozwalając, by Tajfun i Alicja przeszli obok, tak blisko, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby złapać dziewczynę za włosy.

Uśmiechnął się na tę myśl, ale się nie poruszył. Patrzył, jak odchodzą, jak przystają przy stawie, jak wpatrują się w wodę, jak

Alicja raptownie puszcza rękę Tajfuna i krzyczy. Krzyczy, jakby ktoś przypalał ją żywcem. Olek już wie, co się stało. Przecież bliźniacy czują takie rzeczy. I wie, że to tylko i wyłącznie wina Alicji.

2

Dziwne, jak działa pamięć. Widzimy tylko jakieś drobne szczegóły, które przysłaniają nam całość, albo całość obrazu, który zaciera szczegóły.

Nie do końca pamiętam twoją twarz, siostrzyczko. Oczywiście kojarzę ją ze zdjęć, które matka stawiała po twojej śmierci wszędzie, gdzie się dało. Ale nie mogę jej przywrócić w żadnym konkretnym wspomnieniu. Tak jakby twoje rysy wymazała woda, w której postanowiłaś utonąć.

Masz ciało i proste blond włosy, które otaczają jasną porcelanową masę, pomalowaną cienką kreską. Pamiętasz lalkę matki, którą połamalem? Tę, którą sobie przywiozła, gdy byliśmy na wakacjach w Czechosłowacji? Też mi się podobała. I to bardzo. Bardziej niż cokolwiek przedtem, bardziej niż cokolwiek potem, nie licząc Alicji oczywiście. To jej twarz pojawiła się tak wyraźnie w mojej głowie tego dnia, gdy umarłaś. To pierwsze, co przyszło mi na myśl, gdy wypadłem wtedy z lasu, gdy przystanąłem na brzegu i patrzyłem, jak Igor wbiega do wody i wyławia z niej twoje ciało. Jak brnie z tobą na rękach, raz po raz zapadając się w mule. Jak kładzie cię na ziemi i naciska na klatkę piersiową. Jak przykłada usta do rozbitej twarzy porcelanowej lalki, którą stałaś się w moich oczach.

Ten widok nawiedzał mnie przez lata. Wracał do mnie jak flashback, nakładając się na wszystkie inne wspomnienia z dzieciństwa. Ty siedząca w szkolnej ławce, ty stojąca przed szkołą, ty chlupiąca się w morzu, ty malująca paznokcie, ty oglądająca w telewizji *Z Archiwum X*, ty z zazdrością spoglądająca na Alicję. Wszędzie masz twarz tamtej martwej lalki.

Dziwne, jak działa pamięć. Wspomnienia są jak zmieniająca swój kształt ameba. Nigdy nie stają w miejscu. I nigdy nie przestają nas pochłaniać

2018

1

Oskar Korda mruknął niespokojnie. Przekręcił się na jeden bok, na drugi. Znów wydał z siebie pomruk, tym razem urwany, bardziej donośny, gwałtowny. Zaczął kręcić głową, jakby chciał uchronić się od jakiegoś nieprzyjemnego dotyku. Nagle usiadł na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Sięgnął dłonią do twarzy i przejechał palcami po bliźnie przebiegającej po policzku, jakby się upewniał, czy wciąż tam jest.

Jeszcze chwilę głęboko oddychał, po czym wstał z łóżka i przeszedł do łazienki. Stał przy umywalce i wpatrzył się w odbicie w lustrze. Ciemne, lekko kręcone, rozczochrane włosy, brązowe oczy, kilkudniowy zarost, przez który przebijała się jasna, cieniutka, połyskująca blizna. Podniósł kącik ust. Blizna podniosła się wraz z nim, nadając jego twarzy ten charakterystyczny wyraz. Opuścił kącik ust, znów podniósł, ponownie opuścił. Odkręcił kurek z zimną wodą, nabrał ją w dłonie i ochlapał twarz. Raz, drugi i trzeci. Zakręcił kurek. Stał nad sedesem, podniósł klapę. Wysikał się na stojąco, jak prawdziwy facet. Uśmiechnął się przekornie. Jak co rano robił jej na złość, zagłuszając głos z przeszłości, który zawsze w takich momentach świdrował mu w głowie. Spuścił wodę, umył ręce i poszedł do kuchni.

Zaparzył kawę i w bokserkach wyszedł na balkon. Odpalił papierosa, spoglądając w oczy mewie stojącej na barierce.

– Co tam, 72P1? – odezwał się. – Ładna pogoda, nie? – Wypuścił dym z płuc i zapatrzył się w morze, po którym kursował jakiś statek. – W sam raz, by znowu kogoś przyskrzynieć. – Zaciągnął się papierosem. – Masz to gdzieś? – Spojrzał na ptaka. – I racja. Na twoim miejscu bym się tym w ogóle nie przejmował. – Zaśmiał się.

Mewa przeskoczyła z barierki na parapet. Łypnęła okiem.

– Co? Chcesz jeść? Przecież wiesz, że nie mogę ci nic dać. Zakaz jest – powiedział poważnym głosem.

72P1 spojrzała na niego z wyrzutem.

– Żartowałem tylko. Co, na żartach się nie znasz? – Sięgnął po worek z ziarnem i wysypał karmę na parapet. – Poczucia humoru nie masz? – zapytał zadziornie.

Mewa zaczęła dziobać śniadanie. Nawet nie spojrzała na niego więcej.

Wzruszył ramionami i wrócił do kuchni. Upił czarnej kawy i sięgnął po telefon. Wszedł na stronę „Dziennika Trójmiejskiego”.

Jest. Artykuł wyświetlał się jako pierwszy na głównej.

Sopocki Rozpruwacz, aplikacja i tajemnica znad stawu autorstwa redaktorki Alicji Grabskiej.

Jak długo można myśleć o zbrodni? Jak długo można ją planować, rozrysowywać, układać w głowie, odtwarzać wciąż na nowo, póki się jej nie zrealizuje? Obsesja Aleksandra Jankowskiego, cichego, inteligentnego okularnika o blond włosach, zaczęła się dziewiętnaście lat temu, gdy zakochał się w jednej z koleżanek z licealnej klasy – zaczął czytać Korda.

Detektyw upił kawę, usiadł do stołu i kontynuował lekturę. Uśmiechnął się przy fragmencie z wypowiedzią profesora Maurycego Ignasiaka: *Wobec chorego zastosowano leczenie farmakologiczne, a także realizowaną w zakładzie arteterapię, podczas której Jankowski malował i rysował. Jako że od dziecka wykazywał słabość do porcelanowych lalek, które z czasem zaczął kolekcjonować, uczęszczał też na zajęcia wypalania porcelany, podczas których najchętniej tworzył ludzkie maski.* To Oskar skierował Alicję do psychiatry prowadzącego Aleksandra Jankowskiego w Wojewódzkim Szpitalu Psychiatrycznym w Gdańsku, od którego Grabska jako pierwsza dziennikarka w kraju pozyskała szereg informacji rzucających nowe światło na sprawę.

Dopił kawę i doczytał artykuł do końca. Był wstrząsający. Merytoryczny i psychologiczny zarazem. Rzucił też okiem na długą listę komentarzy zamieszczonych pod spodem przez czytelników. W internecie wrzało.

Brawo, Alicja, pochwalił ją w myślach. Inni po czymś takim by się załamali, a ty przekułaś tę historię w swoją siłę. Nie jesteśmy od siebie tacy różni...

Korda mimowolnie przejechał palcami po bliźnie i przewinał tytuły kolejnych artykułów zamieszczonych na stronie dziennika. Jeden z nich przyciągnął jego uwagę. Cofnął przelatujące ikonki.

Sopocki podkomisarz Igor Olszewski o Rozpruwaczu: Znałem go z czasów liceum. To ten fakt pomógł nam złapać mordercę. Autorem artykułu był redaktor Mariusz Kierski.

– Spóźnialska łajza, nie podkomisarz – prychnął detektyw.

Sam chciał uratować Alicję, ale mu się nie udało. Niemniej jednak Korda musiał przyznać, choć niechętnie, że gdyby nie ta łajza, byłiby na miejscu zdarzenia dużo później.

Oskar z niedowierzaniem pokręcił głową, znów potarł policzek i chwycił sportową torbę.

Po kilku minutach podjechał pod MOSiR. Nagimi stopami przeszedł po białych, śliskich kaflach, stanął na niebieskim słupku, pochylił się do przodu, wyciągnął ręce przed siebie i skoczył. Płynął pod powierzchnią wody tak długo, aż starczyło mu tchu, aż nie wypuścił z płuc wszystkich bąbelków powietrza, aż blizna przestała w końcu go palić.

2

Zamknęła oczy.

Szszszsz. Szszszsz.

Szelest stojących nad nią drzew.

Nie mogła go z siebie wyrzucić. Wypełniał jej głowę, sącył się, wydostawał każdym porem skóry.

Szszszsz. Szszszsz.

Zacisnęła powieki, jakby to mogło sprawić, że ten szelest zniknie.

Lecz on nie znikał.

Zdała sobie sprawę, że towarzyszył jej od lat, choć nigdy nie był tak głośny. Wcześniej sącył się cicho, bezwiednie, jakby mimochodem.

Uniosła powieki. Przed oknem pięły się kasztanowce obsypane białymi kwiatami, w oddali wyrastały sopockie kamienice. Gdzieś tam za nimi szumiało morze. Ono też ją wzywało.

Spojrzała na monitor stojącego na biurku komputera. Pod artykułem jej autorstwa, który pojawił się w sieci dzisiejszego ranka, piętrzyły się komentarze. Na wyciszonym telefonie miała kilkadziesiąt nieodebranych rozmów. Dziennikarze z całego kraju chcieli poznać jej źródło, by móc napisać o sprawie równie skrupulatnie jak ona. Ciekawe, ile czasu minie, gdy zorientują się, że była jedną z bohaterek tej tragicznej historii.

Mariusz Kierski kolejny raz przemierzył korytarz. Za każdym razem ostentacyjnie patrzył w jej kierunku. Nie zamknęła drzwi. Nie tym razem.

Nagle asystent Szylbacha cofnął się i stanął w progu jej pokoju.

– Jak tam, Ala? – zapytał z uśmiechem na ustach.

Jakąż opanowaną szują był ten mężczyzna! Dobrze знаła ten typ. Pod tym sztucznym grymasem serdeczności krył się mrok. Wyczuwała go na odległość.

– Spoko – odparła i rozparła się w obrotowym fotelu.

– Gratuluję artykułu. Dogłębny. Bardzo emocjonalny. – Zawiesił głos. – Bardzo osobisty – dodał po chwili.

Ten wzrok. Ten dwuznaczny wzrok też znała doskonale. Była przekonana, że informacja, że to właśnie ona jest główną bohaterką zbrodni Rozpruwacza, wypłynie lada chwila.

– Dziękuję – odparła spokojnie mimo to.

Z uśmiechem. Tak samo nieszczerym jak uśmiech redaktora.

– Jeślibyś czegoś potrzebowała... jestem do usług.

„Pewnie, że jesteś” – pomyślała zgryźliwie.

Wstała i ostentacyjnie minęła Mariusza.

Patrzył za nią. Jej ciało doskonale to wiedziało. Przyciągała takich psycholi jak magnes. To już nigdy się nie zmieni.

Weszła do łazienki. Zamknęła zamek i podeszła do lustra. Nie odrywając wzroku od swojego odbicia, puściła wodę i zamknęła odpływ.

W jej głowie rozbrzmiewał męski głos:

Jebałaś się z nim? No powiedz, jebałaś?

Ty darmozjadzie! Ty niewdzięczny darmozjadzie!

To przez ciebie taki się stałem! To ty mnie takim stworzyłaś!

Uciekaj, uciekaj i tak cię dogonię, suko!

To już nigdy się nie zmieni. Nigdy. Pokiwała głową, zakręciła kurek i spojrzała na taflę wody wypełniającą umywalkę, w której rozpływała się jej twarz; twarz potwora, którym się stała.

Czuła, że w jej gardle uwiązł krzyk. Mogła jak zwykle dać mu upust. Musiała tylko podjąć decyzję. Pozwolić, by jej włosy rozsypały się jak u Meduzy, by zawirowały wokół niej pęcherzyki powietrza, by schować się przed rzeczywistością pod taflą wody.

Schyliła się. Jeszcze raz obejrzała swoje drgające odbicie, po czym sięgnęła do umywalki i wyciągnęła korek.

Patrzyła, jak woda krąży wokół odpływu.

I znika.

Podziękowania

W pierwszej kolejności ogromne podziękowania ślę Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie – redaktorce z prawdziwego zdarzenia, najlepszej z najlepszych, która poznała się na Sobczak i nigdy nie przestała we mnie wierzyć. To Aga była dobrym duchem *Szelestu*, a także wszystkich *Kolorów*. Po stokroć dziękuję za wsparcie, intuicję i przyjaźń.

Szelest nie powstałby bez pomocy moich sprawdzonych i zawsze gotowych do działania (najlepiej!) konsultantów. Za wszystkimi tajnikami informatycznymi stoi Paweł Wawrzyniak, który udzielał mi wyczerpujących i zrozumiałych dla laika, jakim jestem w tej dziedzinie, wskazówek. Jeśli pojawiły się na tej płaszczyźnie jakieś nieścisłości, to są one wyłącznie moją sprawką (choć zawsze staram się trzymać faktów, historia ponad wszystko!). O meandrach pracy policji opowiadał mi Andrzej vel Kyokushin. Jego elaboraty na wszystkie moje zapytania były nie tylko przydatne, ale i nadzwyczaj pobudzające – dziękuję! Oczywiście wszelkie fantazje na temat zawodu Oskara Kordy również biorę na siebie.

Za inspirację do stworzenia fabuły *Szelestu* bardzo dziękuję Sarze Bergmann, która wraz ze znajomymi pewnego wakacyjnego dnia wybrała się na „trip” z Raudonauticą (to ta aplikacja stała się pierwowzorem mojej zmodyfikowanej apki Place to Rest). Sara była dla mnie również źródłem natchnienia w kilku innych kwestiach – za co bardzo dziękuję!

Najmocniej dziękuję szefowi kuchni i współwłaścicielowi trzech restauracji: Fino w Gdańsku, Osteria Fino w Gdyni i Fino Noir w Sopocie, Jackowi Koprowskiemu. To dzięki pomocy Jacka w *Szeleście* znalazły się sugestywne opisy kulinarne, a ja poczułam się tak, jakbym sama potrafiła przygotować ceviche z kałamarnicy.

Za prawdziwe opowieści, które przemyciłam do fabuły niniejszej książki, tym razem serdecznie dziękuję niepowtarzalnym urwisom – Wujkowi Sierakowi i Mai Modrzejewskiej.

Za pracę z maszynopisem *Szelestu* serdecznie dziękuję Marii Tengowskiej i Joannie Dąbrowskiej-Resiak.

Pisząc *Szelest*, korzystałam z wielu różnych artykułów i publikacji, których tym razem nie będę wymieniać. Na szczególną uwagę zasługuje jednak *Podręcznik Shearera* pod redakcją Johna C. Webera, z którego ściągnęłam fragment o trójkącie przednim szyi, jak i inne anatomiczne wiadomości.

Oczywiście poczyniłam kilka mniej lub bardziej celowych przeinaczeń na potrzeby fabuły, za które przepraszam. Przykładowo superpełnia w 2018 roku wystąpiła nie w maju, jak w 2021 roku, a w styczniu, ale... co tam – ta historia nie zdarzyła się naprawdę, choć wszelkie podobieństwa do osób i zdarzeń są... jak zwykle zamierzone. Sorka!

Na koniec składam wyrazy miłości Moim Ludziom, których wsparcie, jak i samo istnienie, są trudne do przecenienia. Kłaniam się wszystkim czytelnikom – dziękuję, że czytacie mnie legalnie i poświęcacie swój cenny czas na moje mroczne opowieści – LOVE!

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska
Redaktorka prowadząca: Maria Tengowska

Redakcja: Joanna Dąbrowska-Resiak
Korekta: Małgorzata Denys, Milena Domańska

Projekt okładki: Natalia Twardy
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Envato Elements/oizostudios,
Freepik/h9images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-9096-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo